

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



4

(48) 2006

Początki skautingu: Skole ♦ Pisemko krakowian w obronie Lwowa ♦ Rozmowa z dr K. Grodziską ♦ Pani Winowska obchodzi stulecie ♦ P.M. Stański o pomnikach Mickiewicza ♦ 190 lat szkoły Marii Magdaleny ♦ Dni Lwowa w Poznaniu ♦ Nowe książki ♦ Wydarzenia

ILE BĘDZIE INSTYTUTÓW?

Pamiętamy: na samym wstępie obecnej kadencji Zarządu Głównego TMLiKPW, w maju 2004 r., uchwalono rozpoczęcie starań o powołanie do życia Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich (długa nazwa, ale chyba wyjaśnia wszystko, prawda?). Do prowadzenia prac w imieniu władz Towarzystwa wyznaczono członka ZG Andrzeja Chlipalskiego z Oddziału Krakowskiego¹.

Od czego rozpoczęto? Pierwszym etapem działań pełnomocnika stało się szerokie poinformowanie nie tylko członków Towarzystwa, ale także – a może przede wszystkim – szerokiego zespołu ludzi kreujących opinię publiczną, i pozyskanie ich moralnego poparcia. W dotarciu do nich znakomicie pomogły oddziały Towarzystwa i w efekcie napłynęło ponad 1000 deklaracji solidarności z ideą Instytutu². Było wśród nich paru wojewodów i prezydentów miast, rektorów i profesorów uczelni, biskupów i wybitnych księży, znakomitych ludzi kultury i sztuki. I oczywiście większość działaczy TMLiKPW oraz wielu innych organizacji kresowych.

To był krok pierwszy, który dał nam poczucie pewności, że nasza myśl została dobrze zrozumiana, uznana za sensowną i ważną. Przypomnijmy, że Instytut Polskiego Dziedzictwa ma w pierwszym rzędzie podjąć studia i badania naukowe nad wieloma niezwykle zaniedbanymi – w porównaniu z regionami dzisiejszej RP – dziedzinami historii, kultury Ziemi Wschodnich. Ziemi, które – choć nie mają dziś bezpośredniego powiązania z Polską – dały jej bardzo wiele w ciągu wieków i same od Polski niemalże zyskały³. Dodajmy, że niepełna wiedza na temat Ziemi Wschodnich – zwłaszcza o czasach najdawniejszych i czasach najnowszych – daje okazję do niezwykle zafaszowań, z którymi polska strona dać sobie rady nie potrafi (o zwykłej głupocie lub złej woli nie wspominając).

Założone cele Instytutu (to też dla przypomnienia) miałyby być realizowane trzema głównymi drogami:

- poprzez wspomniane już prace naukowe zarówno własnego zespołu, jak i pozyskiwane od innych badaczy różnych dyscyplin (prehistoria, historia polityczna, militarna, społeczno-obyczajowa, gospodarcza; kultura religijna, literacka, artystyczna; geografia, etnologia i językoznawstwo, biografistyka itd.);
- gromadzenie zbiorów archiwalnych i muzealnych;
- monitorowanie stanu zachowania pozostałych za wschodnią granicą polskich zabytków i zbiorów oraz podejmowanie starań o ich ratowanie.

Dodatkowym celem miałyby być dorobienie się kadry naukowej, która tematykę kresową podejmuje nie – jak dziś – okazjonalnie, lecz zawodowo, osiągając pełne rozeznanie i głęboką wiedzę.

O tych sprawach pisaliśmy wielokrotnie zarówno w CL⁴, jak i w listach, wysyłanych do wspomnianych wyżej adresatów.

Nigdy jednak dotąd nie informowaliśmy, w którą stronę kierowały się (i kierują) nasze propozycje lokalizacyjne dla Instytutu⁵. Brano pod uwagę kilka ośrodków, gdzie można by liczyć na autentyczne zainteresowanie, aż wreszcie z Wrocławia wyszła propozycja, by Instytut związać z Zakładem Narodowym im. Ossolińskich, ekspatriowanym wszak ze Lwowa. Instytut miałby tam znakomite oparcie o przebogaty potencjał archiwalno-biblioteczny Ossolineum i jego kresowe tradycje, nie ograniczające się bynajmniej do Małopolski Wschodniej⁶. Dyrektor ZNiO, dr A. Juzwenko, przyjął myśl przyłączenia instytutu kresowego – z zachowaniem jego tożsamości – do ZNiO i intencję tę nadal podtrzymuje⁷. Niestety realizację oddala na razie brak dostatecznej przestrzeni lokalowej, ale budowa nowego gmachu niebawem się rozpocznie.

Nie ma więc powodu do pesymizmu. Ale problemy są. Nie ma co ukrywać, że każdego dnia tracicie ulegają kolejne prywatne dokumenty i pamiętki ze Wschodu, które powinny stać się eksponatami archiwalno-muzealnymi. Nie chodzi tu o przedmioty „wielkiej sztuki” – te, jeżeli znalazły się po polskiej stronie granicy, trafiły w większości do muzeów lub klasztorów w całym kraju (nawet do bogatego Krakowa!). Chodzi natomiast

FONTANNA

Drugiego października uczestniczyliśmy w uroczystości uruchomienia na Plantach krakowskich fontanny, zaprojektowanej przed pięćdziesięcioma laty przez Marię Jareme. Artystka nie dożyła tego wydarzenia. Projekt fontanny, który miał uczcić obchody Roku Szopenowskiego, przeleżał wiele lat w piwnicach magistratu. Był na swoje czasy zbyt nowoczesny, a przede wszystkim nie spełniał wymogów sztuki socrealistycznej.

Urodzona w Samborze artystka nigdy nie poddała się rygorom panującego podówczas socrealizmu. I podczas kiedy twórcy tegoż kierunku opływali w Polsce ludowej w dostatki, ci, którzy się temu trendowi przeciwstawiali, płacili za swoją nieustępliwość – co tu dużo mówić – nędzą. Byli spychani na margines życia społecznego. Nie należały się im żadne stypendia ani zapomogi, nie dostawali żadnych państwowych zamówień. Marysia – bo tak o Niej mówili wszyscy Jej przyjaciele – nigdy nie skarżyła się na biedę, i wręcz przeciwnie, uważała, że wolność artysty od wszelkich politycznych i niepolitycznych nacisków jest ważniejsza, aniżeli dobre zarobki.

Odwiedzałam Ją w tych czasach i z zainteresowaniem śledziłam powstające pod Jej ręką abstrakcyjne formy. Dziś już nikt nie ingeruje w pracę artysty. Ale żeby tak się mogło stać, musieli istnieć ludzie, którzy o tę wolność dla artysty walczyli. I Marysia właśnie o to walczyła całe swoje życie. Nie doczekała tych czasów. Ale doczekało Jej dzieło. My wszyscy, którzyśmy Ją znali i pamiętamy, patrzyliśmy na to z dumą, i co tu dużo mówić, ze wzruszeniem. Po wielu latach została uhonorowana nie tylko twórczyni fontanny, ale też i zostało potwierdzone to, o co walczyła.

Muszę dodać, że realizacją tego dzieła zajęła się po latach równie znakomita artystka i zarazem admiratorka Marii Jaremy, rzeźbiarka Wanda Czełkowska, urodzona w Wilnie. Tak więc powstało dzieło – jakby się rzekło – samborsko-wileńskie, jeszcze jeden dar naszych Ziemi Wschodnich dla Krakowa.

Barbara Czałczyńska

Dla przypomnienia: Marii i rodzinie Jaremów ze Starego Sambora poświęciła Autorka felieton w CL 1/03.

JESTEŚMY W INTERNECIE!

Idąc z duchem czasu i myśląc o wszystkich zainteresowanych, założyliśmy stronę internetową naszego kwartalnika, która umożliwi szersze korzystanie z materiałów w nim zawartych – tak w kraju, jak i za granicą. Nasz adres internetowy:

www.cracovia-leopolis.pl

Nie jest to forum dyskusyjne ani informator bieżących wydarzeń, a jedynie archiwum, umożliwiający dostęp do numerów czasopisma od początku jego wydawania, tj. od roku 1995. Zawartość bazy nie jest jeszcze kompletna – w tej chwili sięga wstecz do roku 2003. Utworzenie tak dużej bazy wymaga czasu i środków. Dlatego prosimy o wyrozumiałość i cierpliwość. Prosimy więc korzystać z tego, co już udało się zamieścić, oraz przekazywać adres naszej strony wszystkim zainteresowanym polskim dziedzictwem historii i kultury oraz ludzi Ziemi Południowo-Wschodnich.

Uwagi, propozycje oraz ewentualne materiały do następnych numerów kwartalnika prosimy przysyłać na adres poczty elektronicznej: cracovia@fall.pl

Wołyńska Pastoralka

Na trzygłosowy chór żeński

Tekst: Krzysztof Kołtun

Muzyka: Włodzimierz Dębski

1. Heblowana kolebeczko
z wołyńskiej brzeziny.
Płacze, kwili Dzieciąteczko,
Syn Panny Maryi.
Li-li, li-li
Wołyńskie Anioły, orły i sokoły,
Śpiewajcie Dziecinie.
2. Malowane biegunki
z Mielnicy, z Mielnicy.
Płacze, kwili Dzieciąteczko
Maryi Dziewicy.
Li-li, li-li...
3. Drobniućkie w tobie sianko
z Otyki, z Otyki.
Płacze, kwili Dzieciąteczko
muzyki, muzyki.
Li-li, li-li...
4. Wyszywana poduszeczka
z Zaturzec, z Zaturzec.
Płacze, kwili Dzieciąteczko
nieduże, nieduże.
Li-li, li-li...
5. Zadzwonili dzwoneczkami
kolędników czworo.
Pyta Matka, skąd ta dziatwa –
od Hołob, od Hołob.
Li-li, li-li...



Wszystkim naszym Czytelnikom, Dobrodziejom, Autorom i Współpracownikom, Rodakom na Wschodzie i Przyjaciółom (oraz nieprzyjaciółom) – z głębi serca płynące życzenia spokojnych i radosnych świąt Bożego Narodzenia oraz szczęśliwego Nowego Roku 2007 i następnych

*składa
REDAKCJA „CRACOVIA-LEOPOLIS”*

Ludwik Piotr Bułgar-Nowakowski

Wspomnienie uczestnika kursu skautowego w Skolem

Poniższy tekst ukazał się w „Krakowskim Roczniku Historii Harcerstwa”, Kraków 2005, s. 16–22. Wydawca – Zarząd Okręgu Małopolskiego ZHR – wyraził zgodę na przedruk w naszym kwartalniku, za co serdecznie dziękujemy.

Młodzież polska, przeczuwając intuicyjnie nadejście czasów próby narodowej, zapisywała się gremialnie do paramilitarnych organizacji, jak również wstępowała do konspiracyjnych kółek postępowo-niepodległościowych.

Kilka uwag o skautingu

Ja na razie stałem się członkiem – dopiero co powstających – gniazd skautowych przy stowarzyszeniu „Sokół”. Od kilku tygodni trenowałem zawzięcie w drugiej drużynie piłki nożnej „Kresy”. To była świetna okazja do zdzierania butów i chwytania licznych siniaków na nogach. Ale wszystko było w porządku, bo w nauce szczęście mi się. Klasę trzecią ukończyłem z bardzo dobrym wynikiem. W nagrodę rodzice sprawili mi kompletny strój skautowy wraz z kapeluszem – na wzór angielski – o dużym rondzie. A całe moje marzenie to było właśnie takie kowbojskie nakrycie głowy. Ten ekwipunek przydał mi się w sam czas, gdyż w połowie lipca zostałem wyznaczony na pierwszy ogólny kurs skautowy w Skolem. Wraz ze mną udział w tym kursie wzięło kilku kolegów z Tarnopola. Między innymi znaleźli się tam Janiszewski, Strzembosz, Domaradzki, Tennenbaum¹.

Ruch skautowski, jako nowość w Galicji, stawał pierwsze kroki. Właściwej, centralnej organizacji jeszcze nie było. Ośrodki tego ruchu tworzyły się lokalnie. Pełna organizacja nastąpiła dopiero w 1911 roku. Na razie przygotowano jej początkowe zręby pod patronatem „Sokoła”².

Przyjęta nazwa „skaut”, pochodzenia angielskiego, oznaczała zwiadowcę. Początek tej młodzieżowej instytucji w Anglii sięgał 1884 roku. Twórcą jej był generał Baden-

-Powell. Przeszkoleni angielscy skauci brali udział w walkach z Boreami [Burami – red.] jako łącznicy, zwiadowcy, wartownicy i sanitariusze. Angielscy skauci pozdrawiali się słowami *Be prepared*, co po polsku oznaczało „Bądź gotów”. Stąd też pochodziło nasze zawołanie „czuwaj”. Ukłon skautowy przed zwierzchnikiem składaliśmy dotykiem trzema palcami do czoła lub do kapelusza. Kolegów pozdrawialiśmy przez podniesienie trzech palców na wysokość ramienia.

W początkowym stadium rozwoju nasza pierwsza sekcja tarnopolska składała się z patrolowego, zastępcy i sześciu skautów. Moja osoba była obarczona funkcją zastępcy patrolowego. Członkowie zespołu – poprzez egzaminy – uzyskiwali stopnie: wilczka, skauta lub patrolowego. W niektórych zespołach nazwy stopni zmieniały się zależnie od uchwały sekcji na ciurę, młodzika, ochotnika, wywiadowcę czy ćwika. Gdy w 1913 roku zmieniono nazwę skautingu na harcerstwo, wówczas doszedł jeszcze jeden stopień do zdobycia pod mianem „harcerz”³.

Celem polskiego ruchu skautowego było:

- wzbudzenie patriotyzmu
- wyrobienie charakteru jednostki
- służenie innym pomocą
- wyuczenie sprawności pod każdym względem.

W związku z tym każdy nowo wstępujący składał ślubowanie wierności Ojczyźnie, gotowości niesienia pomocy potrzebującym jej oraz posłuszeństwa prawu skautowemu.

W początkowych pogadankach wpajano nam takie oto myśli wielkiego wychowawcy Stanisława Szczepanowskiego: „Nie ma żadnej siły dziejowej, która za nas bez nas to zrobi, do czego Naród dąży”. „Pamiętaj, żeś synem zabitej Ojczyzny i żeś chwili spokoju nie powinien doznać, dopóki zabita nie będzie na nowo do życia wskrzeszona”.

Skole i okolice

Dobrze przygotowani duchowo rozpoczęliśmy bardzo ciekawy dla nas kurs. Miejscowość, w której mieliśmy przebywać w

ciągu trzech tygodni, była wybrana trafnie. Miasteczko, uroczu położone nad rzeką Oporem wśród świerkowych lasów, przyciągało liczne rzesze letników z całej wschodniej Galicji.

Nad wąską doliną rzeki wznosiły się, po obu jej brzegach, stoki górskie gęsto zalesione drzewem iglastym. Wschodnim obrzeżem doliny wiała się wstęga linii kolejowej, znad granicy węgierskiej, od Ławocznego przez Stryja do Lwowa. Ze Skolego do Stryja trasa wynosiła wszystkiego 38, a do Lwowa 113 kilometrów. Ogólnie, położenie tego karpackiego zakątka było wspaniałe. Wszędzie góry. Na zachód od Skolego, w odległości 5 godzin marszu, dominował nad wszystkimi grzbietami szczyt Fraszki, sięgający 1268 metrów ponad poziom morza. W kierunku południowo-wschodnim, w odległości 30 kilometrów, wznosi się druga taka kopa, zwana Magurą. Wysokość jej wynosi 1365 metrów. Cała okolica dookoła Skolego była otoczona górami, na których wznosiły się rozległe, ciemne bory. Za moich młodych lat były one pełne dzikiego zwierza. Panem tych niedostępnych uroczysk był niedźwiedź, a jego świtę tworzyły stada dzików, wilków, rysi i żbików. Spokojne ostępy zamieszkiwały rosłe jelenie i chyże sarny. Górą, nad koronami drzew, szybowały statecznie orły, żarłoczne jastrzębie i szybkołotne dzikie gołębie. Płazów i drobnicy ptasiej było w tych lasach zatrzęsienie.

Bojkowie

W głuchych zakątkach, nad rwącymi potokami spotykało się tu i ówdzie ludzkie siedliska, które chyba od setek lat nie zmieniły swego oblicza. Chaty niskie, ciasne i kurne. Nad strzechą nie sterczał żaden komin. Dym z wewnątrz unosił się przez zwykły otwór w dachu. Dziki ten kraj zamieszkiwali Bójki, tacy górale Bieszczad Wschodnich. Lud gór zbliżony językowo i wiarą do

Rusinów. W mowie miał dużo naleciałości wołosko-węgiersko-polskich. A oto niektóre wyrazy przejęte z obcych języków:

- z wołoskiego: pianina – połonina, bójko – wolarz, bałta – siekiera, meryndia – pożywienie, tajstra – torba, płaj – ścieżka, syhla – las, watra – ogień;
- z węgierskiego: hunia – opończa, łęgień – parobek, kotiuca – pies, marżyna – bydło;
- ze starosłowiańskiego: skot – bydło, werczy – obracać, kuł – worek, saraj – szopa.

Bojkowie byli narodem biednym i niedożywionym. Ze względu na trudne warunki bytowania, Bójko był usposobienia powolnego oraz bez zrozumienia wartości czasu. Jemu nigdy się nie spieszyło. Przy tym był zarozumiały i skory do bałaganiarstwa. Mimo ubóstwa Bojkowie byli bardzo gościnni. Wędrowiec bez względu na pochodzenie i stanowisko zawsze znalazł tu cichy kątek na odpoczynek. Lud przedsiębiorczy, z dużym sprytem handlowym. Szalenie lubili tańczyć kołomyjki przy prymitywnej muzyce. Skrzypce, bas i bębenek to najczęściej spotykane u nich instrumenty muzyczne. Ubiór ich był skromny i nieskomplikowany. Mężczyźni nosili w lecie kierzce, białe spodnie lniane, lnianą koszulę związaną pod szyją czerwoną tasiemką, kamizelkę, a na niej wełnianą kurtkę. Głową okrywano filcowym względnie słomkowym kapeluszem. W okresie zimowym zakładali sukienne spodnie, zwane chołoszniami, wyszywany kożuszek bez rękawów, a na głowę kuczmę, czyli czapkę baranią. Gazda nosił obowiązkowo długie włosy. Niewiasty nosiły również kierzce. Na siebie wdziewały wyszywaną wzorkami czerwono-czarnymi długą koszulę lnianą. Na nią wkładały koszulę z dyмки lub kolorowy kilmowy fartuch. W lecie nosiły wełniane serdak, a w zimie wyszywany kożuszek z rękawami, uzupełniając tym całość ubioru. Bojczychy przepadały za koralami czy paciorkami, które wkładały na szyję. Barwne chusteczki stanowiły nieodmiennie nakrycie głowy. Dziewczęta nosiły długie warkoczki. Natomiast mężatki obcinały warkoczki poniżej szyi. Kobiety bojkowskie prawie nigdy nie myły głów. Porządek wśród głów robiono iskaniem. Co znamienitsze elegantki smarowały włosy odrobiną masła dla nadania im połysku. Oczywiście przy takiej higie-



nie panowały wśród nich nagminnie: zapalenie skóry, kołtuny i wszawica. Jednakże tameczni kawalerowie na takie drobnostki nie zwracali żadnej uwagi. Bo miłość nie znała żadnych przeszkód.

Gleba tego pięknego zakątka uboga, kamienista, była trudna do upraw. Zaś krótki okres wegetacji dawał za mało, ażeby normalnie żyć, a za dużo, żeby umrzeć. Nabiału też nie było za wiele, gdyż gazda chował bydło raczej dla produkcji nawozu, a nie mleka. Tę niewesołą sytuację góralską ratował – w dość poważny sposób – zarobek przy wyrębie i wywózce drzewa.

Ludność wzmiankowanego rejonu żywiła się bardzo jednostajnie. Zamiast chleba konsumowano placki owsiane. Zasadniczo podstawą żywienia były ziemniaki, kapusta, żur owsiany i bób. Z jarzyn znano tylko czosnek, cebulę, buraki ćwikłowe i marchew. Mięso uważano za rarytas, który mógł być spożywany tylko w wielkie święto. Chyba że udało się schwytać jakąś zwierzynę we wyniki. Wówczas używano sobie na mięsie, ile tylko dusza zapragnie – aż do zachorowania. Drób szedł zawsze na sprzedaż, by za otrzymane pieniądze zakupić soli i nafty. Bo to były najbardziej potrzebne artykuły w każdym gospodarstwie (...).

I kto by uwierzył, że wśród tych Bojków, pomiędzy borami i górami, trafiali się jeszcze, częściowo zniszczone, szlacheckie zaścianki zasiedlone w tym bezludziu od setek lat. Potwierdzeniem tych faktów były takie oto nazwiska, jakie na terenie skolczyzny spotkałem: Łodzińscy, Jaworscy, Hołyńscy czy Winnicy. Trzeba jednak przyznać, że odróżniali się oni od sąsiadów wyglądem, organizacją pracy, ubraniem, obyciem i kulturą. Wiele innych ciekawych wiadomości o tej pięknej krainie zbierałem z opowiadań wujka, który był pochodzenia bojkowskiego, oraz z własnych obserwacji. Często moi rodzice i ja bywaliśmy w tych stronach jako wczasowicze, a także jako ich mieszkańcy.

Kurs skautowy w Skolem – budowa obozu

W takim właśnie uroczym zakątku, na szerokiej szmaragdowej łące, u podnóża Paraszkii rozbiliśmy po raz pierwszy obóz skautowski. Obok, skrajem łąki, płynął gęsto zadrzewionym korytem wiecznie szemrzący potok górski.



W pierwszej kolejności budowy obozu został wzniesiony wysoki maszt z proporcem biało-czerwonym u jego szczytu. Wyznaczono plac zbiórek. Następnie półkołem wokół masztu, pod okiem instruktora, ustawiliśmy 16 namiotów dla 32 kandydatów na skautowskie stopnie. Po przeciwnej stronie, za masztem i za placem zbiórki, ustawiono 3 większe namioty. Dla kierownictwa obozu, instruktorów i na magazyn. W odległości 50 kroków od linii namiotów, tuż nad potokiem, zbudowaliśmy paleniska pod duże kotły kuchenne, a nad nimi dach.

Gotowaniem zajęła się rutynowana kucharka, do pomocy której wyznaczano codziennie po dwóch skautów ze służbowego zastępu. W górnym rejonie potoku o czystej, krystalicznej wodzie urządzono polową umywalnię. W każdy ciepły wieczór obowiązywała nas kąpiel generalna w niedaleko przepływającej rzece Oporze. W dalszej odległości od rzeki i od obozu przygotowaliśmy obszerną i pojemną latrynę. Wszystkie wymienione urządzenia i prace zostały wykonane w ciągu jednego dnia.

Miejscowe stowarzyszenie „Sokoła” objęło nad nami troskliwą opiekę. Dostarczało ono nam codziennie świeżą żywność, słomę do namiotów oraz zaopatrzyło każdego skauta w koc i prześcieradło. Poza tym każdy z nas miał w tornistrze: koc zapasowy, przeciwdeszczową pelerynę, zapasowe płócienne trzewiki, drugi komplet bielizny, ręcznik i menażkę. W chlebaku mieściły się: manierka, sztucce i przybory toaletowe wraz ze szczoteczką do zębów. Oczywiście do tych zawartości należałoby jeszcze dodać zaopatrzenie matczyne w postaci różnych frykasów. Zastęp był jeszcze wyposażony w dwa kompasy, łopatkę, kilof i siekierkę. Obowiązkowo każdy skaut w marszu dzierżył w rękę długą laskę skautową.

Wszystkimi sprawami kierował pionier tego ruchu dh Małkowski wraz z trzema

Tadeusz Krzyżewski

Obijak

„Obijak” – czasopismo polowe krakowskiego 4 pułku piechoty WP i jego relacje z walk na froncie północno-wschodnim Lwowa w okresie od grudnia 1918 do marca 1919 roku.

Zdawałoby się, że wszystko, co łączy się z dziejami obrony Lwowa 1918 roku i późniejszego oblężenia w pierścieniu wojsk ukraińskich, które przeciągnęło się do wiosny 1919 roku, zostało już opisane, ujęte w kronikach, opracowane literacko, opowiedziane przez uczestników ówczesnych wydarzeń na łamach „Pobudki” i innych współczesnych wydawnictw. Otóż nie wszystko! Zwłaszcza od strony relacji braci legionowej WP, której ochotnicze oddziały z terenu Śląska, Krakowa, Poznania, Warszawy i Lublina przybyły w ramach odsieczy dowodzonej przez ppłk. M. Karaszewicza-Tokarzewskiego.

Wyruszyły one już 19 listopada 1918 roku z bazy w Przemyślu, trasą na Chyrów i Sambor. W skład tych oddziałów weszło 140 oficerów, 1228 podoficerów i szeregowych, 8 dział, kilkanaście karabinów maszynowych, 507 koni i 79 wozów. W odsieczy brał udział gen. Roja z Krakowa, który przybył do Lwowa na czele sztabu i 2 kompanii 4 pp WP. Od 22 XI kompanie te stacjonowały w koszarach na Zamarstynowie, ubezpieczając północno-wschodnią część miasta. Ich walki obronne, perypetie koszarowe, trudności aprowizacyjne, zabawy i smutki, ujęte z reguły rymem częstochowskim, spisane zostały ręcznie w ramach kroniki na łamach pisma polowego pt. „Obijak”, towarzyszącego wydarzeniom wojennym tego pułku.

Sześć kolejnych numerów „Obijaka” 26–31, odbitych na hektografie, wydanych zostało w czasie udziału w obronie Lwowa od 22 XI 1918 do marca 1919 roku. Zachował się jeden niepełny zbiór (76 stron) tych numerów, wydanych prawdopodobnie w 16 egzemplarzach hektografowanych, przy czym większość ilustrowanego pracowicie tekstu da się dziś tylko z trudem odczytać.

Treść i układ „Obijaka” są chwalebny mi świadectwem pasji pisarskiej i redakcyjnej jednego człowieka – podchorążego Ludwi-

ka Markowskiego, redaktora „od kozy”, który świadomie naśladuje styl lwowski i przestrzegając zasady „jeśli wlażeś między wrony, musisz krakać jak i one”, pozornie bez troski opisuje dole i niedole kolegów frontowych, broniących polskiego Lwowa.

Wiedział on, że lwowiaci walczyli raczej „na wesoło”, bez demonstracyjnego cierpiętnictwa i ten właśnie styl stara się narzucić krakowskim „legunom”. Jego rymowane kronikarskie relacje błyskają czasem satyrycznym zacięciem, a cała epopeja obronna osnuta jest właściwie na kanwie kilku wersów znanej wszystkim, a tylko swoiście zmodyfikowanej piosenki wojennej:

*Wojenko, wojenko, zwodnicza syreno,
w całej Polsce krzyże zostawiłaś jeno...*

I ta właśnie

*... wojenka się toczy, toczy się bez przerwy
Legun dostaje wieczór chleb i trzy konserwy*

*.....
I idzie pewny, że hajdamakom tego kurtę skroi.
Bnie więc Czwartak po błocie lub w śniegu
się kopie,
Dniem i nocą bez przerwy na wojennej stopie.
Oczyszcza z band grabieżczych lwowskie
okolice*

*Zjadając w polskich siołach ser i jajecznicę.
Bo chłop polski gdy w oplotkach Leguna
sposztrzeże
Każe zaraz babie warzyć obfitą wieczerzę...*

Do najkrwawszych na północnym froncie obrony należały Zboiska. Im też redaktor „Obijaka” poświęcił oddzielne strofy:

*Przyszła kryska na Matyska,
Poszedł Czwartak na Zboiska
Tu ekrazytówka pryska,
Tam armatni strzał się łyska,
Po chałupach przytuliska...
Więc choć śmierć zagraża z bliska,
Czwartak przetrwa i Zboiska...*

I już pierwsze Boże Narodzenie – grudzień 1918 roku wita „Obijak” własną, podlwowską kolędą:

*Gdy się Chrystus rodzi
Nasz kraj w krwi powodzi
Pod grad kul armatnich*

*Mkną żołnierze młodzi,
By rozdarte do tej pory
W całość złączyć trzy zabory.
Wojenka, wojenka, kto czas z tobą spędza
Temu głód jest bratem, a siostrzyczką nędza.*

Skarży się w początkowym okresie pobytu na peryferiach Lwowa redakcja „Obijaka” na kiepskie zaprowiantowanie, braki mundurowe; narzeka na okradanie magazynów ze słoniny, marmelady i papierosów przez wygłodniałą ludność przedmieścia:

*Oj zaprawdę prowiantura
Wypasie człowieka,
Bo dostajesz na osobę
Tłuszczu po dwa deka.*

Z upływem czasu jednak organizacja zaopatrzenia krzepnie i Czwartacy po Nowym Roku 1919 umieszczają na łamach swego „Obijaka” weselszą już, noworoczną *Pieśń dziadowską*:

*Na nowy Roczek wasz czwartacki dziadek
Ma dużo nowych i bajek, i gadek,
Jeśli się na nie zagniewa cenzura,
Wtedy da nura...*

.....
*W naszej kadrowej menaż się polepsza
W kocioł wsadzają od razu pół wieprza.
Naszą kawusią dziś się nie zasroma
Kawiarnia „Roma”.*

Poszerzają się też znajomości towarzyskie, krakowscy „relutoni” wnikają w społeczeństwo lwowskie, organizują w koszarach nawet własny kabaret:

*... Bo do wszelkich uciech Czwartak jest na
szpicy,
Czy to jakiś kabaret, czy raut na Strzelnicy,
Uczęszcza na nie hurmem, hucząc
śmiechem w koło,
Bo reluton to cwaniak, lubi żyć wesolo,
Nie opuszcza go nigdy humor i ochota,
Jeśli tylko w kieszeni szeleści mu „flota”.*

Czwartakom już i amory w głowie. W kolejnych numerach „Obijaka” pojawia się kilka serdecznych, miłością podszytych rymowanek pt. *Listy Pietryka Zamaszystego-Czwartaka – do Helci Pyskatej we Lwowie*. Wojna zaś trwa nieubłaganie...

*Wojenka, wojenka, przekłete twe oczy,
Bo na kogo spojrzysz, ten zaraz krwią broczy.*

W następnym zeszycie z 27 II 1919 r. „Obijak” przypomina, iż trzy miesiące już trwa walka Czwartaków o Lwów.

*22 XI 1818–22 II 1919
Trzy miesiące grodu broni
Polski żołnierz z mocą
Błyski armat wciąż migocą
Słychać strzały dniem i nocą.
Śmierć za nami goni...
Wroga upór ten rozsierzda
Lecz z pomocą Bożą,
Choć okopy kule orzą,
Choć się wszędy groby mnożą
Lwów – to jedna twierdza!...
Obronimy kresy wschodnie
Od ruskiej grabieży,
Szarych naszych tłum żołnierzy
Swą powinność jak należy –
Spełni niezawodnie...*

* * *

*Wojenka, wojenka królujesz we Lwowie
Mogilki się mnożą, hen na Łyczakowie.*

Spełnił żołnierz polski swą powinność jak należy, podkreślając krwią serdeczną na przedpolach Lwowa wieczystą aktualność starego, szlacheckiego przysłowia, które Marian Hemar sformułował nieco inaczej, po lwowsku: *słowo się rzekło – mogilka u płotu!*

Nagrobek na cmentarzu Rakowickim w Krakowie



Dokończenie na s. 83

Anna Obfidowicz

LIST Z KAZACHSTANU

Autorka listu, lwowianka, z domu Dolińska, była absolwentką Akademii WF w Warszawie (w r. 1930). W 1940 r. została wraz z siostrą wywieziona do Kazachstanu. Adresatką listu była jej koleżanka ze studiów w Warszawie, też lwowianka, Alina Łukowska we Lwowie.

Kochana Alu! 13 I 41

Przed paru dniami dostałam Twój list z 11 XII. Szedeł tak niesamowicie długo, bo był na adres kołchozu i tam się zdrowo przeleżał. My od początku września, odkąd poszliśmy na robotę do kołchozu, więcej w tym kołchozie kazachskim nie pokazałyśmy się. W czasie roboty przeniosłyśmy rzeczy, a teraz po zakończeniu prac na przerwę zimową, która ma trwać do marca, urządziłyśmy się w Georgewce – znacznie tu lepsze życie, zwłaszcza w zimie, bo większe ludzkie skupisko, kwatery możliwsze i łatwiej się zaopatrzyć w prowianty. Mieszkamy b. miło w trójkę (p. Łuszczynska, pewno ją znasz z hali „Pogoni”, Krysia i ja). Mamy domeczek dla siebie, izba i kuchenka (które ogrzewa jeden piec kuchenny), domek małuški i gliniany, ale zawsze ciepły kąt własny. Gospodarujemy jak się da, roboty z tym dużo, bo to i latać i szukać żywności trzeba, i palić, wodę nosić, śnieg odgarniać, gotować itd. itd., roboty „chwatił” dla wszystkich, wiadomo! Chętnie byśmy poszły teraz na jakąś robotę, zamiast czekać, aż będzie cieplej, na roboty pomiarowe, ale żebyś się zabiła – nie ma pracy, nawet „ubo...” [nieczytelne] (mycie podłóg, palenie itp. w instytucjach), nie mówiąc o swojej specjalności, w której nikt tu nie pracuje z naszych, nawet przyjętych Polaków lekarzy zwolniono. Zima tu fantastyczna – wziąć na kupę „Białe piekło”, filmy arktyczne itp., a będzie się miało smak tej syberyjskiej zimy. Śniegi tego roku ogromne. Zasy dookoła domu znacznie przewyższają nasz dach. Mrozy też bywają niezłe – największy dotychczas mroz był 46, ale dziwnie się je tu lekko znosi, bo jak duży mroz, to nie ma wichrów. Te ostatnie to tutejsza plaga – tzw. „burzany”, które wieją zresztą z każdej strony, są po-

tworne – zupełnie świata wtedy nie wiadać, ludzie przepadają i zamarzają nawet w bliskości domów, za-

sypuje domy i zamrozi wszystko. Ostatnio przez dwa dni siedzieliśmy w domu jak w grobowcu w czasie takiego cholernego burzanu. Wyobraź sobie miłe uczucie, kiedy otwierasz drzwi wejściowe i chcesz pójść na świat, a przed tobą gładka ściana śnieżna jak grobowa płyta – gdyby nie znajomi, którzy przyszli po burzanie i nas od zewnątrz odkopali – nie wiem, co by z nami było. Zresztą nie ma się czym przejmować, bo tu często takie rzeczy bywają. Ta śmierć jednak, myślę, nam nie grozi – prędzej głodowa – ceny coraz efektowniejsze. Pud mąki od 150 do 200 rubli, kilo ryżu 20 rubli, wiadro (małe) kartofli 30 rubli, kilo słoniny ±50 rb, do tego trzeba dodać, że dobrze się trzeba narozbijać po domach i mieć szczęście, żeby w ogóle to zdobyć. Cukier, cukierki podobno bywają w tych stronach, ale to chyba legenda. Śnimy często o ciastkach, owocach jako kompensacji naszego życia. Ale wiesz, mimo że tu tak strasznie ciężko, są rzeczy których nie ma we Lwowie – przede wszystkim spokoju i wolności myśli. Tu, nie licząc tubylczych Kazachów, 95% ludzi jest nie z własnej woli, jeżeli nie teraz, to dawniej, i tu się zaaklimatyzowali – farba tu tak łatwo do głębi nie wnika. Na mityngu od wyjazdu ze Lwowa nie byłam. Zresztą nawet nie byłoby gdzie pójść, paszporty mamy, a tu w ogóle żadnego głosowania nie było od naszego przyjazdu. „Prazniki” są okazją do siedzenia w stołówce i jedzenia mieszaniny niesamowitej (gulasz, lody, kapuśniak, wszystko pod rząd, po równym porządku) i tak tu idzie wszystko. Rok Nowy powitaliśmy (w naszym domu w miłym kółku kilkunastu osób) godnie, śpie-



Anna Obfidowicz i Alina Łukowska, lata przedwojenne

Feliks Budzisz (Gdańsk)

O SPRAWIEDLIWE TRAKTOWANIE OFIAR WOJNY I OKUPACJI

Rozpad Związku Radzieckiego (XII 1991) postawił przed naszą polityką zagraniczną trudne zadania ułożenia ze wschodnimi sąsiadami dobrosąsiedzkich stosunków. Trudności spiętrzała tragiczna przeszłość, interpretowana przez wschodnich sąsiadów często niezgodnie z prawdą historyczną i polską racją stanu. Szczególnie trudne w stosunkach polsko-ukraińskich okazały się sprawy losów ludności polskiej na Kresach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej, gdzie Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i tzw. Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) przy pomocy miejscowych nacjonalistów dokonały bestialskiej eksterminacji mniejszości polskiej, w wyniku której śmierć poniosło blisko 140 tys. osób, od niemowlęcia do starca.

Podczas gdy w PRL obowiązywał – głównie na żądania kryptonacjonalistycznych władz sowieckiej Ukrainy – surowy zakaz wracania do eksterminacji ludności polskiej na Kresach, w zachodnich diasporach ukraińskich (W. Brytania, Kanada, USA, RFN) trwała intensywna propagandowa działalność (wspierana przez tamtejsze rządy) nad

nobilitacją i heroizacją OUN-UPA oraz innych formacji ounowskich, kolaborujących militarnie z III Rzeszą. Już pod koniec lat 80. ruszyła stamtąd do zachodnich obwodów Ukrainy rzesza ounowskich propagandystów, zaopatrzonych w odpowiednią literaturę. Przy entuzjastycznym wsparciu miejscowych ounowców-upowców już w połowie lat 90. obwody te uległy całkowitej ounizacji – stały się skansenem kultu OUN-UPA. Przywracanie tam ounizmu inspirowała i ukierunkowywała skandaliczna uchwała OUN z 27 VI 1990, w której m.in. zostały określone dyrektywy i zadania w zakresie ounizacji historii polsko-ukraińskich stosunków XX wieku. OUN zobowiązywała swój aktyw – wykazywać, że UPA nie tylko nie znęcała się nad Polakami, ale przeciwnie, brała ich w obronę przed hitlerowcami i bolszewikami. Mordy, którym zaprzeczyć nie można, były dziełem sowieckiej partyzantki lub luźnych band, z którymi UPA nie miała nic wspólnego; pomniejszanie roli wyzwolenczej UPA w skali europejskiej jest niedopuszczalne.

Na początku lat 90. ruszyła szerokim frontem ofensywa propagandowa OUN w Polsce. Prowadził ją przede wszystkim Związek Ukraińców w Polsce (ZUwP) przy wsparciu neoliberalnych mediów („Gazeta Wyborcza”, „Tygodnik Powszechny”, „Kultura” paryska i wiele innych pism) i ugrupowań politycznych, zwłaszcza Unii Wolności, której sekretarz generalny, M. Czech cynicznie i butnie pisał: *UPA to cześć i duma Ukrainy* („GW”, „Kultura” paryska). Przyjęta przez nasze elity *zasada poprawności poli-*

▶ wając pieśń i stając na baczność – swoją drogą bardzo udany był sylwester, z wódką, śpiewankami i wcale bez ptaków. To samo zresztą z wilią, którą miałyśmy w czwórkę. Mimo ściśniętego serca nikt nie płakał, bo w ogóle powiedzieliśmy sobie, że ten wyjazd stąd, kto się nie będzie poddawał. Bardzo Kochanie dziękujemy za opłatek – tym symbolem podzieliłiśmy się wszyscy, bliscy i dalecy, i może nigdy nie czuliśmy się wszyscy tak jedną wielką rodziną, jak tych Świąt.

Napisz, bardzo Cię proszę, tak strasznie się zawsze cieszę listem od Ciebie! Mocno bardzo całuję Cię i ściskam, Mamie ręce ucałuj, Siostrę pozdrow, a znajomych – co komu należy, uściśnij, ucałuj itp. A.

Co tam robi Wacusi mój „ulubiony”? Fajno tam nakręcił z moimi rzeczami, ale Bóg z nim, innym ludziom jeszcze więcej niż mnie przypadło. Czy jeździsz na deskach? My jeździliśmy tylko na robocie, ale na takich dziadowskich nartach w ogóle się odcieciewa tego sportu! Czy jest w szkole ślizgawka w tym roku? [...]

Nie są nam znane dalsze losy Anny Obfidowicz. Zdaje się, że po wojnie nie wróciła do kraju. Kto wie? Więcej o Kazachstanie – patrz omówienia książek A. Bober i E. Cieńskiej-Fedorowicz w tym numerze.

Tekst listu przygotowała do druku p. Lidia Tokarzowa, za co bardzo dziękujemy. Pisownię uwspółcześniono.

► *tyczonej* w stosunku do *strategicznej part-nerki* – Ukrainy, zamknęła Kresowianom dostęp do mediów, zwłaszcza elektronicznych, eliminując z programów radiowych i telewizyjnych tematykę zbrodni OUN-UPA na ludności polskiej. Media te poruszały jedynie i często zbrodnie katyńską i akcję „Wisła”, za którą politycy polscy wielokrotnie i bez wzajemności przepraszaali, przemilczając fakt, że akcja ta położyła kres krwawej depolonizacji południowo-wschodniej Polski, jaka została już dokonana na Wołyniu, południowym Polesiu i Małopolsce Wschodniej. Większość konferencji na tematy stosunków polsko-ukraińskich, w tym i organizowanych przez IPN, uwzględniały głównie racje OUN-UPA, oskarżając II RP jako okupanta tzw. *Zachodniej Ukrainy*. Przemilczały fakt, że II RP uchroniła swoich Ukraińców przed Wielkim Głodem, jaki tragicznie dotknął sowiecką Ukrainę, że dzięki II RP ocalał tzw. Piemont galicyjski, a który kilkanaście lat później, w najtrudniejszym dla Polaków okresie wojny i okupacji, zgotował im apokaliptyczną pozoę.

W latach 90. OUN w Polsce triumfowała: stawiała pomniki UPA bez zezwolenia polskich władz i wbrew protestom miejscowych społeczności; organ prasowy ZUWP „Nasze Słowo” bezkarnie oskarżał (i robi to nadal) Polaków nawet o zbrodnie ludobójstwa (!), gloryfikując notorycznie OUN-UPA.

Zdziesiątkowani przez wojnę i okupację Kresowianie, marginalizowani w swoich zaszłościach, podjęli spontaniczny protest przeciwko fałszowaniu ich tragicznych losów i nachalnej nobilitacji, gloryfikacji OUN-UPA. Ale skrzyknęci przez swoje organizacje, niechętnie postrzegane przez władze polskie i media, rozpoczęli dokumentowanie zbrodni ounowskich w oparciu o zachowane źródła i relacje świadków. Ofiarna, często benedyktyńska praca społeczna dokumentalistów przyniosła wstrząsający obraz ludobójstwa i wywarła głębokie wrażenie na patriotycznej części społeczeństwa w kraju i za jego granicami. Dwutomowe, monumentalne dzieło Władysława i Ewy Siemaszków *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945* odstąpiło apokaliptyczną panoramę eksterminacji ludności polskiej Wołynia. Uzupełniały ją nie mniej makabryczne opisy mordów w Małopolsce

Wschodniej, na południowym Polesiu i południowo-wschodnich terenach PRL, drukowane w kilkudziesięciu numerach kwartalnika „Na rubieży” i wielu wspomnieniach. Pod naciskiem odkrywanych niepodważalnych faktów oraz spontanicznie powstających komitetów obchodów 60. rocznicy ludobójstwa elity rządzące, zwłaszcza urząd Prezydenta RP, przerwały kompromitujące milczenie i rozpoczęły działania przygotowawcze również do wspólnego polsko-ukraińskiego uczczenia tragicznej Rocznic. Jednak silny nacisk strony ukraińskiej (ounowskiej), by nie dopuścić do oficjalnego ujawnienia całej prawdy o zbrodniach OUN-UPA, wymusił na stronie polskiej, zwłaszcza sejmowej, daleko idące odstępstwa od prawdziwego obrazu wydarzeń na Kresach. Sejm pod przewodnictwem marszałka M. Borowskiego przyjął 9 lipca 2003 polsko-ukraińskie oświadczenie, które nie spełniało uzasadnionych oczekiwań i gorących prośb Kresowian. Sejm, obradujący w atmosferze kapitulancji *poprawności politycznej*, nie spełnił patriotycznego obowiązku wobec męczeństwa swoich kresowych Rodaków, bo:

- nie uczcił odważnie i godnie pamięci Ofiar ounowskiego ludobójstwa należnym, mądrym słowem prawdy i choćby chwilą ciszy, jak to przyjęto w patriotycznym zwyczaju polskiego Parlamentu;
- nie nazwał po imieniu i nie potępił ludobójstwa, czego domagało się również wielu posłów i polityków i nie wskazał jego sprawców, którymi są zbrodniarze spod znaku OUN-UPA;
- nie oddał należnego hołdu obrońcom ludności polskiej – bohaterskim samoobronom i oddziałom AK i BCh oraz 27. Wołyńskiej Dywizji AK, które w nierównych, desperackich walkach obroniły przed zagładą dziesiątki tysięcy ludności polskiej;
- nie wyraził wdzięczności tysiącom Ukraińców, którzy ratowali Polaków, płacąc nierzadko życiem za ludzką postawę.

Naganne zaniechanie Sejmu, brzemienne w złe skutki, w pewnym stopniu zrekompensował w Porycku dwa dni później prezydent A. Kwaśniewski i biskup połowy gen. S.L. Głódź nazywając zbrodnie na ludności polskiej ludobójstwem. Prezydent powiedział: *Żaden cel ani żadna wartość, nawet tak szczytne jak wolność i suwerenność*

Adam Trojanowski

... UT LIBERI VIVAMUS

Wspomnienie patriotyczne

Jeszcze przed wojną czytałem książkę pod tytułem *Ziemia gromadzi prochy*. Tytuł to symboliczny, ale uniwersalny. Ziemia – gdziekolwiek ona jest! Prochy – za jakąkolwiek przyczyną powstały!

Szczególnego znaczenia nabiera ten tytuł w odniesieniu do skutków czynu zbrojnego. Tutaj, na Cmentarzu Obrońców Lwowa, świadkami jego były równe szeregi grobów rozmieszczonych po żołniersku, jak do raportu. Podniosłość miejsca podkreślały monumentalne elementy architektoniczne, ukoronowane kaplicą na wzgórzu, ujętą obustronnie pomnikami ochotniczych sojuszników. Miasto nasze było jedynym, które w latach przedwojennych otrzymało Krzyż *Virtuti Militari*. Posiadało bogatą tradycję walk o swoją wolność podczas najazdów obcych sił, ale znalazło się także w obliczu lokalnego konfliktu za sprawą upadającego mocarstwa rozbiorowego, kiedy to brat zabijał swojego słowiańskiego brata, walcząc o to samo miasto. Dramat ten rozpisala historia, a ludzie uwiecznili go tak nam drogą Nekropolią Orląt.

Pewnego cichego jesiennego dnia stałem jako młodzieniec, wraz z ojcem, przed Łukiem Triumfalnym z jego obydwojma pylonami oraz wspaniałą kolumnadą i czytali-

śmy w myślach: *Mortui sunt, ut liberi vivamus**. Śmierć oraz jej sens! Nawiązując do aktualnej sytuacji, ojciec myślał na pewno o swoich Krzywopłotach, Konarach i Kostiuchnowce, a także odległej rzece frontowej, Tagliamento**.

Dzięki usilnej pracy łacinnika gimnazjalnego Grzegorza Jasilkowskiego byłem w stanie pojąć tekst przekazany pomnikową antykwą. Myśli moje nawiązywały – w obliczu tutejszych grobów i odwiedzonych wcześniej kwater powstańców listopadowych oraz styczniowych – do teraźniejszości. Na rubieżach miasta trwały ślady ofiarności lwowian z różnych epok. Na garbach Zniesienia, na Górze Stracenia, Persenkowce oraz na zadwórzeńskich polach. Na lwowskiej Katedrze pokazywano mi kule armatnie wrogich działań z przeszłych wieków. Moje myśli dotyczyły sumy dziejów lwowskich oraz krwawych ofiar składanych Ojczyźnie. *Ut liberi vivamus* – w czasach pokoju nadal obowiązywały takie wartości jak duch narodowy, gotowość do walki oraz siła zbrojna. Cel wyrażony drugą częścią przeczytanego łacińskiego hasła należało manifestować przez stałe utrzymywanie tych wspomnianych nakazów rzeczywistości.

Historyk Czesław Nanke wskazywał nam wielokrotnie na zbrodniczy, szyderczy chichot dziejów, pojawiający się często nieodwracalnie wobec pokoju oraz cywilizacji, nawiązując do naszego trudnego, zmiennego bytu narodowego. Klasowy wychowawca, germanista Jan Zakrzewski, uczył nas przy każdej okazji godności osobistej, człowieczeństwa oraz honoru, przestrzegając przed smutnym faktem, iż *Dummheit ist die grosste Krankheit der Welt****.

Gotowość do walki tkwiła w nas, Iwo-wiakach, jak w tych symbolicznych czujnie drzemiących lwach przy Pomniku Chwały, na Rynku przed ratuszem oraz w tym najstarszym – na polanie Wysokiego Zamku. Przecież byliśmy dziećmi Lwiego Grodu – Leopoldis. Pochodząc z rodziny związanej od kilku pokoleń z czynem zbrojnym, byłem wy-

► *narodu, nie może usprawiedliwiać ludobójstwa, rzezi cywilów, przemocy i gwałtów, zadawania bliźnim okrutnych cierpień.*

Prosimy zatem Sejm RP o spełnienie oczekiwań i próśb Kresowian zgodnie z prawdą historyczną i patriotycznym obowiązkiem wobec Ofiar ludobójstwa. Godne, ostateczne uczczenie przez Sejm, czy nawet cały Parlament, pamięci kresowych Rodaków i braci Ukraińców, którzy ratowali Polaków, będzie kolejnym krokiem pogłębiania polsko-ukraińskiej przyjaźni i współpracy, budowanych na najtrwalszym fundamencie – prawdzie historycznej.

chowany – równolegle do działań mych pedagogów – przez nią przede wszystkim w dyscyplinie wojskowej, patriotyzmie oraz szacunku wobec Ojczyzny. Za sprawą ojca żyłem jego wojennymi wspomnieniami i stykałem się przez okres szkolny z jego kolegami, związanymi z walkami o niepodległość, jak pedagogzy szkolni Dręgiewicz lub Kapałka. W życiu towarzyskim rodziców ocierałem się stale o wojskowych, jak kapitan Gergowicz, kapitan Kędzierski, major Kolbe, pułkownik Chodkiewicz lub pułkownik Kawiński. Podczas pobytów u dziadków w Krakowie zetknąłem się z kolegami mojego dziadka gen. Dąbrowieckiego, a to generałami Latinikiem, Kosteckim i Bijakiem. Jeszcze w wojnie z bolszewikami zajmowali wysokie stanowiska operacyjne, przeminęli jednak po przewrocie majowym. Przytoczone kontakty oraz towarzysząca im atmosfera pobudzała u mnie ducha wojskowego.

Szereg moich kolegów szkolnych, jak Adaś Bielak, Zdziszek Rozwadowski, Felek Godowski, Staszek Prorok lub Adaś Baron, pochodziło z rodzin oficerskich, co naszą więź koleżeńską czyniło dodatkowo mocniejszą. Nieco starszy ode mnie kolega harcerski Maciek był synem późniejszego generała WP Bittnera. Maciek był – także później – komendantem 1. kompanii harcerskiej batalionu „Zośka” i uczestniczył w licznych akcjach. W moim sąsiedztwie, na Kwiatkówce, w pięknej willi, zajętej *nota bene* później przez Wandę Wasilewską, mieszkał płk. N. Liebich. Obaj wysocy oficerowie byli dowódcami lwowskich pułków piechoty. Pułkownika Liebicha spotykałem często na ulicy i podziwiałem zawsze jego typowo wojskową postawę oraz zachowanie. Z widzenia znałem także płk. E. Godlewskiego, dowódcę 14. pułku Ułanów Jazłowieckich, doskonałego żołnierza, który zginął w hitlerowskim obozie koncentracyjnym Mauthausen.

Jurek Horwath, zamordowany później przez NKWD, Henio Nieckuła oraz Staszek Krajewski, niegdyś moi koledzy szkolni, zostali adeptami wychowania wojskowego w lwowskim Korpusie Kadetów nr 1. Wszystkie te osoby, przywołane z dosyć już ułomnej pamięci, cechowała postawa patriotyczna, umiłowanie armii lub wręcz służba dla niej. Tak zwane *pójście do wojska* stanowiło przed wojną honor dla każdego młodego, sprawnego mężczyzny. Osoby wojskowe, czy to w komiśnej kurtce i owijaczach, czy w lśniących oficerkach i z białym żabotem wokół szyi, były zawsze szanowane i podziwiane. Wyraz temu dawano przy każdej okazji, a szczególnie podczas defilad wojskowych. Na dźwięk hymnu państwowego każdy mężczyzna przyjmował, w miejscu gdzie się znajdował, postawę *na baczność* i odkrywał głowę. Tak samo zachowywano się wobec sztandarów wojskowych. Coraz rzadziej spotykanych weteranów Powstania Styczniowego nawet sami generałowie salutowali jako pierwsi. Taka była moc tradycji narodowych w podzięce, że *liberi vivamus*.

Wychowany w duchu idei oraz czynów zmarłego „Dziadka”, darzyłem podziwem nowego marszałka, który patrzył na nas z cieniem życzliwego uśmiechu na szkolnym portrecie. Przecież to on w *blasku wolności do Kijowa nas prowadził*, jak głosiła popularna pieśń wojskowa. Intensywnie przeżywałem tryumfalne zajęcia Zaolzia dzięki postawie naszej armii. Zaskoczeniem podczas przejmowania tych terenów był liczny udział, nieznanym mi dotychczas, pancernych pojazdów, a to polskich 7TP oraz zagranicznych *Vickers* oraz *Renault*. One to przekonały mnie o nowoczesności naszej armii.

Przed Domem Studentów przy ul. Łozińskiego darłem się wraz z tłumem *Wodzu, prowadź nas na Kowno!* Czyniłem to z pełnym przekonaniem, że taki jest nasz obowiązek obywatelski, jako że jesteśmy *silni, zvarci i gotowi!* Ojciec mój traktował nowego, łysiego marszałka nieco sceptycznie i z rezerwą. Trwał nadal w sympatii do szefa sztabu z 1913 r. pseudo *Józef*, czyli do gen. K. Sosnkowskiego. Był on w tym czasie systematycznie spychany w cień za sprawą „pułkowników”. Ogólny stan umysłów narodu był przed Wrześniem ożywiony duchem wiary w jedność oraz gotowość armii. Podziwiano ją i bezwzględnie w nią wierono. Cieszyła nas szybka rozbudowa Centralnego Okręgu Przemysłowego, jako oparcie armii, tak-



że szeroki odzew na wezwanie do udziału finansowego na rzecz Funduszu Obrony Narodowej, poprzez ogólnokrajową pożyczkę. Bezwzględny dopełnieniem nastrojów w narodzie było majowe przemówienie ministra J. Becka w 1939 r., w którym wskazał na *najcenniejszą rzecz, jaką jest honor*.

Siła zbrojna była reprezentowana we Lwowie przez liczne oddziały wojskowe stacjonujące na terenie miasta, tworząc tzw. garnizon wojskowy. Miasto było siedzibą Dowództwa Okręgu Korpusu nr VI przy placu Bernardyńskim, obok hotelu Krakowskiego. Jego dowódcami byli w ostatnim przedwojennym dziesięcioleciu kolejno generałowie B. Popowicz, W. Czuma, J. Zulauf, M. Tokarzewski oraz W. Langner. Prawie wszyscy z nich byli bezpośrednio związani z okresem walk o zachowanie polskości naszego miasta.

Oprócz codziennego spotykania osób umundurowanych na ulicach miasta szczególnie przeżywano defilady, czyli tzw. parady wojskowe, które odbywały się w zasadzie dwa razy w roku, a to w dzień Święta Narodowego 3 Maja oraz Święta Niepodległości, czyli 11 Listopada.

Na terenie miasta stacjonowały dwa pełne pułki piechoty, a to 19 pp. „Odsieczy Lwowa” oraz 40 pp. „Lwowskich Dzieci”. Był także jeszcze mniejszy oddział, należący do 26 pp. którego trzon stacjonował w Gródku Jagiellońskim. Były ponadto dwie jednostki artylerii, a mianowicie 5 p. artylerii lekkiej oraz wydzielony oddział 6 p. artylerii ciężkiej

Pierwszy z tych pułków zajmował koszary na Górze Wronowskich, w budynkach austriackiej Cytadeli, ulokowanej centralnie ponad miastem. Górę tę można było obejść jej podnożem: ulicami Pełczyńską, Tomickiego, Kopernika, Ossolińskich, Friedrichów, św. Mikołaja oraz Zyblikiewicza, aż do placu Bolesława Prusa. Na dużej łące przy ul. Pełczyńskiej, tuż pod Cytadelą, gromadziły się przed defiladami kolumny marszowe celem wspólnego wysłuchania polowej mszy świętej.

Drugi z tych pułków posiadał koszary przy ul. św. Piotra, na samym jej początku, gdzie odchodziła pod górę, w bok od ul. Kochanowskiego. Mieszkając na Kwiatkówce, w ciepłe, pogodne wieczory słyszałem dochodzące z tych nieodległych koszar dźwięki zbiorowej pieśni dziękczynnej,

a także trąbkę capstrzyku. Wywoływało to szczególny nastrój zadumy i spokoju przed snem.

Nie pamiętam, gdzie się znajdowały koszary jednostek artylerii – łączę je z ul. Janowską oraz Kulparkowem, ale bez absolutnej pewności.

Chlubą Lwowa był 14 p. kawalerii, czyli Ułanów Jazłowieckich. Był on skoszarowany na Jałowcu, przy końcu ul. Łyczakowskiej. Z pułkiem tym czułem się szczególnie związany poprzez mojego kuzyna – ppor. służby zawodowej Z. Żurowskiego. Bywałem na tamtejszym święcie pułkowym oraz zawodach jazdy konnej. Nieco inne, może jeszcze mocniejsze, związki z tym pułkiem, a raczej z jego młodymi, eleganckimi oficerami, odczuwały nasze lwowskie panienki, wzdychające do „chłopców malowanych”. I nic w tym dziwnego, byli bowiem niezwykłymi *pistoletami*.

Na dosyć odległym wówczas Sknitowie znajdowało się lotnisko, a przy nim koszary 6 p. lotniczego. Z największą radością spędzałem tam wolny czas, leżąc na skraju trawiastego lotniska, wspólnego dla wojska, Aeroklubu oraz PLL „Lot”. Efektem tego była możliwość oglądania z bliska zarówno samolotów wojskowych, np. PZL P-23 „Karas”, jak też popularnych, szkolnych samolotów RWD-8. Regularne połączenia krajowe i zagraniczne umożliwiały mi obserwowanie srebrzystych, dwusilnikowych samolotów pasażerskich Lockheed „Elektra” oraz Douglas DC-2. Już wtedy istniało połączenie kraju z Palestyną i na tej trasie w późnych latach trzydziestych nad górami Bałkanów jeden z naszych samolotów uległ katastrofie, w której zginęli wszyscy uczestnicy lotu. Wtedy to pomagał odnaleźć miejsce nieszczęścia, z wątpliwym skutkiem, popularny jasnowidz inż. Ossowiecki. Lotnictwo było już wtedy moją pasją i jemu poświęcałem wiele wolnego czasu, oczywiście wedle posiadanych możliwości.

Przy tej okazji wspomnę, że do lat 30. lotnicy wojskowi nosili mundury koloru *kha-ki* oraz miękkie rogatywki z otokiem w kolorze żółtym. Dopiero w 1936 r. wprowadzono bardzo eleganckie mundury koloru stalowo-niebieskiego oraz okrągłe czapki z charakterystycznym orłem, otoczonym symbolicznie skrzydłami husarskimi. Kolorem, jak i krojem były zbliżone do mundurów lotnictwa zachodniego.

Wysoko, przy ul. Teatyńskiej, stał jakiś oddział artylerii przeciwlotniczej. Na ul. Na Błonia, nazwanej później ul. B. Pierackiego,

znajdowały się natomiast rozległe warsztaty wojskowe, związane z bronią pancerną.

Na koniec należy jeszcze wspomnieć 6. Baon Sanitarny – na początku Góry św. Jacka, ponad ul. Jabłonowskich. Wojskowi tej formacji nosili rogatywki z otokiem koloru buraczkowego. Przy ul. Ochronek był skoszarowany dywizjon Żandarmerii Wojskowej. Żołnierzy tej jednostki nazywano popularnie kanarkami ze względu na jaskrawo-pomarańczowe otoki oraz patki.

Jeśli chodzi o wojskową obecność we Lwowie, nie można pominąć Korpusu Kadetów nr 1 im. Marszałka J. Piłsudskiego, który przygotowywał do zawodowej służby w szkołach oficerskich. Ci elegancko ubrani młodzi ludzie byli zorganizowani wedle starszeństwa w czterech niższych oraz dwóch wyższych kompaniach. Nosili granatowe mundury i szarozielone płaszcze oraz granatowe rogatywki z charakterystycznym orłem na srebrnym tle słonecznego półkola. Starszeństwo było oznaczane „belkami” w kolorze srebrnym oraz złotym.. Stroje ćwiczebne były zbliżone kolorem i krojem do obowiązujących w wojsku.

Doroczne defilady odbywały się na szlaku utworzonym przez place Bernardyński, Halicki i Mariacki, a rozwiązanie ich miało miejsce w okolicach Teatru Wielkiego. Trybuna honorowa była zawsze przy placu Halickim. Stanowiła ją podwyższenie zbudowane *ad hoc* z desek okrytych płótnem w kolorach narodowych oraz ozdobione herbem państwowym. Na niej stali wojskowi, jak i cywilni goście honorowi, a defiladę odbierał każdorazowo aktualny dowódca Okręgu Korpusu. Trybuna wznosiła się ok. 2 m ponad poziom ulicy, przed nią zaś, już na poziomie placu, stała liczna grupa gości mniej honorowych. Obok, nieco dalej, ustawiana była orkiestra wojskowa, która przegrywała do marszu defilujących oddziałów.

Defiladę rozpoczynały tradycyjnie oddziały piechoty: w hełmach, z karabinami na ramieniu, poprzedzane sztandarami pułkowymi. Dawne hełmy, odziedziczone po armii francuskiej, były dosyć płytkie i posiadały charakterystyczny *grzebień* usztywniający. Zostały one przekazane na wyposażenie kawalerii. Z początkiem lat 30. wprowadzono głębokie hełmy rodzime, chroniące lepiej głowy żołnierzy. Twarze ich wyglądały

spod nich szczególnie marsowo. Dawne owijacze zostały zastąpione długimi spodniami, spinanymi wokół kostki. Buty chronione od spodu dużą ilością gwoździ, powodowały charakterystyczne, głośnie tempo marszowe. Dowódcy poszczególnych oddziałów maszerowali po prawej stronie kolumny, z gołymi szablami, którymi oddawali honory przed trybuną. Kolumny wykonywały wtedy ów charakterystyczny krok marszowy z przytupem, odpowiadający komendzie na *Bacność!* Należy przypomnieć, że noszone oprócz furażerek rogatywki były do wczesnych lat 30. miękkie i posiadały dla piechoty otoki koloru granatowego.

W pewnym momencie pojawiały się z turkotem baterie artylerii, tej lekkiej, z działami polowymi kalibru 75 mm, spiętymi z jaszczkami, na których siedziała, bodajże, trzyosobowa obsługa dział. Współczułem zawsze tym żołnierzom, ponieważ jaszczki, tak jak i działa, miały masywne koła z obręczami stalowymi, co powodowało na kamiennym bruku, że obsługę trzęsło niemiłosiernie. Każde działo ciągnęła czwórka koni w stosownej uprzęży, a na koniu czołowej pary siedział na siodle żołnierz prowadzący cały zaprzęg jezdny. W defiladzie brały udział także działa ciężkie, czyli z kalibrem 105 lub 350 mm. W tym przypadku koński zespół pociągowy składał się z trzech par koni, także prowadzonych przez jeźdźca w siodle. Pierwsza para nazywała się *dyszlowa* i była związana sztywno, bezpośrednio z zestawem artyleryjskim. Wszystkie konie były dobierane tej samej maści, przeważnie ciemnej. Kolory otoków rogatywek artyleryjskich były ciemnozielone, patki także tego samego koloru, lecz zróżnicowane kolorystycznie wężykami dla poszczególnych rodzajów artylerii.

W pewnej chwili powstawała mała przerwa w maszerującej kolumnie, a w perspektywie placu pojawiała się niesłychanie strojna i liczna orkiestra konna 14 Pułku Ułanów, której towarzyszył wyodrębniony pluton trębaczy, wszyscy na siwych koniach. Za orkiestrą ciągnęły poszczególne szwadrony z pionowo trzymanymi lancami, ozdobionymi jasnożółtymi proporczykami z białym paskiem pośrodku. Otoki rogatywek były także jasnożółte. Ten niezwykle barwny oddział wojska budził zawsze szczególny aplauz publiczności, zebranej tłumnie na ca-

tej trasie przemarszu. Wspomniana mała przerwa czasowa była spowodowana tym, że należało stworzyć luz za wolniej poruszającą się kolumną piechoty. Podczas przemarszu kawalerii przy trybunie honorowej milkła orkiestra, brzmiały natomiast skoczne fanfary kawaleryjskie. Trębacze mieli rękawy ozdobione bogatymi, srebrnymi galonami. Konie poruszały się stępa, a były zróżnicowanej maści, zawsze jednakowej dla poszczególnych szwadronów. W defiladzie brały udział taczanki, tradycyjna broń z zaprzęgiem konnym i karabinem maszynowym, wywodząca się z czasów wojny 1920 roku. Oko cieszyły nowoczesne działka ppanc. Bofors kaliber 37 mm na „pneumatykach”.

Ponad trasą przemarszu przelatywały w pewnym momencie – uszeregowane w stosownej formacji, liczne samoloty wojskowe, wykorzystując luki czasowe między poszczególnymi oddziałami maszerującymi na placu.

Do wojskowej defilady należały także oddziały Korpusu Kadetów, witane gorąco przez widzów tej pięknej i barwnej uroczystości. Za nimi pojawiały się jeszcze oddziały Przysposobienia Wojskowego oraz liczne drużyny harcerskie, w tym także m o j a, czyli 1. Drużyna ZHP im. T. Kościuszki. Była pierwszą, jaka została utworzona jeszcze pod zaborem przez Andrzeja Małkowskiego. Jako jedyni występowaliśmy w kapeluszach skautowskich, takich, jakie wprowadził Baden-Powell, twórca skautingu angielskiego, lecz z odgiętą jedną kryzą.

Oprócz wymienionych, maszerowały jeszcze oddziały „Strzelca” oraz „Sokoła”, czyli dwóch organizacji paramilitarnych z przeszłością jeszcze sprzed I wojny światowej, różniące się istotnie politycznie i stosunkiem do władz centralnych. Cały pochód zamykała orkiestra wojskowa, w której największą radość publiczności, zwłaszcza dziecięcej, sprawiał malutki kucyk, ciągnący potężny bęben na podwoziu z kół rowerowych.

Następnego dnia po defiladzie mali chłopcy wyszukiwali w szczelinach pomiędzy kostkami bruku zgubione przez konie, duże stalowe elementy przeciwpoślizgowe podków, zwane popularnie *hacelami*. Służyły one dzieciom do gry w „kierpiec”. Polegała ona na zgrabnym podejmowaniu haceli z ziemi, podczas podrzutu pozostałych. Ponieważ pewien nieduży odcinek jezdni placu Halickiego był pokryty kostką drewnianą, poszukiwanie i wydobywanie haceli było tam szczegól-

nie efektywne. Nawiasem mówiąc, nie wiem dlaczego kostka ta była stosowana we Lwowie zupełnie wrywkowo, np. jeszcze na tyłach Uniwersytetu, na ul. Kościuszki.

Do uroczystości wojskowych należy jeszcze zaliczyć uroczyste obchodzone święta pułkowe, miały one jednak charakter bardziej wewnętrzny. Były związane z popisami sprawnościowymi, w tym także z zawodami konnymi oraz koncertami orkiestr wojskowych, nie mówiąc już o wytwornych balach, przeważnie w Hotelu George’a.

Z innych wydarzeń wojskowych należy wspomnieć także pogrzeby. Kondukt poruszał się powoli przy dźwiękach muzyki żałobnej, od placu Bernardyńskiego, przez ul. Piekarską ku Cmentarzowi Łyczakowskiemu. Trumna spoczywała na lawecie armatniej ciągniętej przez kare konie i ozdobiona wojskową rogatywką. Niesione były także na specjalnych poduszkach oznaczenia zmarłego. Towarzyszyła konduktowi także kompania honorowa, która nad mogiłą wykonywała salwę honorową. Szczególnym przypadkiem, budzącym moje młodzieńcze przeżycia, były pogrzeby lotników, kiedy to trumna spoczywała na ciągniętym kadłubie samolotu pobawionym skrzydeł. Groby lotników posiadały oprócz krzyża także prawdziwe śmigło lotnicze.

Szlak uliczny związany z wydarzeniami wojskowymi i obchodami patriotycznymi stał się w 1937 r. terenem zacieklonych walk ulicznych, wywołanych rozruchami robotniczymi. Trwały one kilka dni, a związane były z pogrzebem niejakiego Kozaka, postrzelonego śmiertelnie podczas rozruchów przez policję. Rozruchom towarzyszyło rozbijanie wystaw sklepowych, przewracanie i demolowanie wozów tramwajowych, ręczne wydzieranie kostek brukowych, którymi obrzucano oddziały policji. Równolegle występował rabunek sklepów i magazynów. Trudno uwierzyć, że trasa uświęcona szacunkiem i pamięcią o wolności Ojczyzny mogła stać się terenem krwawych walk, przynoszących dalsze ofiary śmiertelne. W moim pojęciu było to absolutne zaprzeczenie patriotyzmu okazywanego zwykle przez społeczeństwo. Niezapomniane wrażenie zrobiła wtedy na mnie olbrzymia wieczorna łuna pożaru podpalonych przez demonstrantów zakładów drzewnych przy ul. Gródeckiej. Szerzyła się

na całym zachodnim nieboskłonie, potęgując i tak przerażające poczucie rozboju i bezwładz. Grozę spotęgowały zapamiętane do dziś wieczorne strzały armatnie z Cytadeli, ogłaszające stan wyjątkowy.

Takiego załamania porządku i groźby ulicznej przemocy wcześniej jeszcze nie przeżyłem.

W 1938 r. miały miejsce na Wołyniu bardzo duże manewry wojskowe. Ich zakończenie nastąpiło we Lwowie szczególnie dużą defiladą, w której oprócz tradycyjnie występujących formacji wojskowych brały udział także motocykle i auta wojskowe, tzw. *łaziki* rodzimej konstrukcji, a także małe, zwrotne czołgi zwiadowcze, zwane tankietkami. Udział tych licznie występujących jednostek zmotoryzowanych utwierdził mnie w przekonaniu o nowoczesności naszej armii.

PROŚBA

Kto może coś wiedzieć o *M o r o ń c z y k u* (Moroniczu?, Moronowiczu? – nie znam dokładnie nazwiska ani imienia) – człowieku, który prowadził warsztaty – ćwiczenia techniczne na wydziale mechanicznym Politechniki Lwowskiej. Z opowiadań mojego ojca Zbigniewa Kaszubskiego wiem, że w pierwszych latach wojny podczas okupacji sowieckiej i następnie niemieckiej Moronczyk działał w podziemnej organizacji; przeprowadził grupie, która zbierała informacje o transportach kolejowych na stacji rozrządowej na Lewandówce. Do tej grupy należał brat mojego ojca Bolesław, a potem także mój ojciec. Z częścią grupy był aresztowany przez NKWD i zginął w nieznanych okolicznościach w czerwcu 1941 r. w więzieniu na Brygidkach. Zaś ojciec „zaliczył” obóz Buchenwald i przymusową pracę w Niemczech i nie zna dalszych losów Moronczyka i jego grupy.

Stąd moje pytanie: czy komuś znany jest wątek historii i dramatu związanego z pracownikiem Politechniki? Czy coś więcej wiadomo o życiu i działalności Moronczyka również na uczelni? Czy może ktoś polecić jakąś lekturę na ten temat?

Ewentualne wiadomości proszę kierować na adres: Jerzy Kaszubski, ul. Turniejowa 2 m. 12, 42-500 Będzin.

Szczególnym przeżyciem o charakterze patriotyczno-wojskowym było 100-lecie Powstania Listopadowego, które uczczono wówczas we Lwowie przy Odwachu na placu św. Ducha, obok Wałów Hetmańskich. Wystąpiła tam kompania piechoty w tradycyjnych mundurach Królestwa Kongresowego – żołnierzy, którzy rozpoczęli wówczas ten powstańczy zryw. Miały miejsce wieczorne werble, przemarsze, władanie bronią, a towarzyszyły im dźwięki „Warszawianki”. Czar pięknych mundurów ze skrzyżowanymi, białymi pasami, żółtymi przodkami oraz *patrontaszkami*, a szczególnie wysokie czapka, pozostawiły niezapomniane na długo wrażenie.

Inną zapamiętaną imprezą o charakterze wojskowym było widowisko plenerowe, odtworzące „zniesienie” tatarskich oddziałów armii sułtańskiej przez króla Jana III w 1675 roku. Stąd powstała nazwa fragmentu dzielnicy Podzamcze****. Wydarzenie to, przy licznych udziale statystów, w tym bardzo licznej, galopującej husarii, odtworzono wówczas na północnych stokach Góry Piaskowej.

Absolutną pewnością o mocy naszej armii przeżywałem po raz ostatni w końcowych dniach sierpnia 1939 r. Wtedy to żegnaliśmy z entuzjazmem wspaniale prezentujące się w nowiutkich mundurach polowych oddziały, maszerujące ku naszemu oczywistemu zwycięstwu. Uderzające było także zupełnie nowe wyposażenie, łącznie z elementami skórzanymi oraz maskami gazowymi. Pozdrawialiśmy niezwykle serdecznie naszych „chłopców” kwiatami, brawami oraz okrzykami. Długie szeregi żegnaliśmy przy ul. Romanowicza, a maszerowały do załadunku na pociągi, celem dowiezienia ich na pozycje przewidziane planami mobilizacyjnymi. Ta zupełnie swoista defilada bez trybuny honorowej oraz orkiestry przebiegała niezwykle spontanicznie i godnie. Kolumna marszowa znikła wreszcie w perspektywie ul. Akademickiej. Wkrótce znikła na zawsze także przedwrześniowa lwowska rzeczywistość.

Czesław Nanke miał rację!

* *Umarli, byśmy żyli wolni.*

** Miejsca bitew z I wojny światowej.

*** *Glupota jest największą chorobą świata.*

**** To oczywiście jedna z wersji pochodzenia nazwy Zniesienia.

Kornel Ujejski
Chorał

(1)

Z dymem pożarów. z kurzem krwi bratniej
Do Ciebie, Panie, bije ten głos,
Skarga to straszna, jęk to ostatni,
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu,
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń!

(3)

I patrzam w niebo, czy z jego szczytu
Sto słońc nie spadnie wrogom na znak...
Cicho i cicho – pośród błękitu,
Jak dawniej buja swobodny ptak.
Otóż w zwątpienia strasznej rozterce,
Nim naszą wiarę ocucim znów,
Błuznią Ci usta, choć płacze serce:
Sądź nas po sercu, nie według słów!

(4)

O! Panie, Panie! ze zgrozą świata
Okropne dzieje przyniósł nam czas,

Syn zabił matkę, brat zabił brata,
Mnóstwo Kainów jest pośród nas.
Ależ, o Panie! oni niewinni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani byli tam czynni;
O! rękę karaj, nie ślepy miecz!

(5)

Patrz! my w nieszczęściu zawsze jednacy,
Na Twoje łono, do Twoich gwiazd,
Modlitwą płynięm jak senni ptacy,
Co lecą spocząc wśród własnych gniazd.
Ostoń nas, ostoń ojcowską dłońią,
Daj nam widzenie przyszłych Twych łask,
Niech kwiat męczeństwa uspi nas wonią
Niech nas męczeństwa otoczy blask.

Wiersz powstał pod wpływem tzw. rzezi gali-
cyjskiej w 1846 r. Wraz z muzyką Józefa Nikoro-
wicza stał się pieśnią liturgiczną.

KORNEL UJEJSKI, ur. 1823 w majątku Beremia-
ny k. Czortkowa, poeta. Nauki pobierał w Bucza-
czu i Lwowie. Pierwsze wiersze publikował od
1844 w „Dzienniku Mód Paryskich” we Lwowie.
Najważniejsze utwory: *Maraton* (1845), *Chorał*
(1846), *Skargi Jeremiego* (1847). Wiele podróży-
wał. Administrował majątkami w okolicach Lwo-
wa: Zubrza, Sichów i Pasieki (1858–1881). Póź-
niej mieszkał we Lwowie, zmarł u syna w Pawło-
wie (Tarnopolskie), 1897.



Fot. A. Bujak, Lwów

Ludwik Grzymała Jabłonowski

BARYKADY I ARMATY (2)

Dokończenie z CL 3/06

Komenda austriacka, ujrawszy na placu św. Jura zgromadzonych do 4000 bagnatów, ułożyła przysły sposób działania, najpraktyczniejszy. Niedługo po wystąpieniu przed Dwernickim, gen. Bordolo¹, przyszedłszy do nas na naszą strażnicę po paru haustach „Lebens-Geistu”², jak gorzałkę nazywał, może i z rozmysłu chcąc mi dać przestrożę, powiedział mi: „Bądźcie pewni, że gdybyście kiedy chcieli zrobić lub zezwolili na jakie szaleństwo, my z wami bić się nie będziemy, ale rozstrzelamy was i miasto, jednego żołnierza nie straciwszy”. Dziś wiedziałem, że to zwierzenie marną pogroźką nie było.

Gdy tak stojąc nieopodal katedralnej barykady, biję się z myślami, szukając rady, na co żadnej nie było, słyszę, że obce dotąd na nas bijące baterie zamilkły, a wzdłuż Podwala i Wałów pluskające kartacze furkotać przestały. Zdziwiony spojrzę, a to od Krakowskiego prosto w linię strażów od Hofmana³ pędzi galopem szybkowóz. Pocztylion trąbi w niebogłosy, a stojący na koźle konduktor czarno-żółtą wywija szmatą, wołając na całe gardło: *Ist bombardiert!*⁴ – na co wojska odpowiadają szalonym: „hurra! – teperka na lachiw!”. Korzystając z tak opatrnościowej od dział zaślony, dopadłem do szwadronu, odprowadziłem go do koszar, a gdy już biała chorągiew na ratuszu powiewała, konie do stajni wziąć kazałem. Tak smutny był koniec moich ideałów, ale w 40 koni, ani jednej ani drugiej stronie praw narzucić nie mogłem. Moje hułany żyły w zgodzie z piechotą, której koszary dopierały do Sykstuskiej do naszych, posłałem więc do majora, teraz na czele dwóch kompanii stojącego na ulicy, zapytaniem, czy nas przepuści do miasta; zwlekać co nie było, gdyż w tej chwili kolumna piechoty stanęła na Szerokiej ulicy, a tuż za Panną Marią⁵ dywizjon huzarów plutonową kolumną zamykał Nowy Świat. Major odpowiedział: *Nur schnell, denn wer kann wissen was kommt?*⁶. Chodziło mi najmocniej, by nie być zmuszonym do złożenia broni, a chciałem

także uratować około 40 wychodźców, czekających na konie w moim szwadronie, więc popod piechotę przeprowadziłem ich do angielskiego hotelu⁷. Tam także dziwnie się działo, co żyło wyniosło się na korytarze, bo frontowe okna gęsto dostawały strzały. Grenadierzy z okien gubernialnego budynku⁸ paliły na oślep, skoro w pokojach hotelu ruch dostrzegli. Krasnopolskiego, żyda z Brodów, który przybył na ślub, kula położyła trupem. Do pokoju znanej mi pani pięć kul wpadło, a jedna z nich odstrzeliła jej lok przy samej skroni. I na korytarzach świsłały czasem kule, wpadając przez drzwi od pokojów, tak że o pewne miejsce niemające ani okna, ani drzwi na ulicę⁹ ubijano się namiętnie, i to nie tylko kobiety, które więcej opatrywaniem rannych niż sobą były zajęte. Uspokojony o moich ludzi około piątej wieczorem wróciłem do domu Podwalem. Kule jeszcze po nim przelatowały, czasami to od kamieni, to od bruku rykoszetując w dziwnych skokach, chociaż biała chorągiew od dawna kołysała się na wieży.

Skończywszy sprawozdanie z tego, co się koło mnie działo, spojrzeć pora na akademię¹⁰ i sztab gwardii. W akademii od pierwszych strażów wszczął się zamęt niesłychany, co było prawdziwych akademików, stało po barykadach, kilku legło, kilku było ciężko rannych, emisariusze przybyli z zagranicy, to jest gwardia Domagalskiego, po korytarzach i bezpieczniejszych zakątkach biwakując, już cieńszym głosem śpiewali: „Wszak mamy Heltmana”. Wódz zamateracowany na strażnicy z Biedkowskim układał plany, Podolecki, stojąc w oknie strychu Wilczka kamienicy, obserwował działanie wojska i chustką na lasce dawał znak, gdy się zbliżało.

Wszystko szło jako tako, ale gdy granaty i race gęściej pękać zaczęły, a dachami płomyki zabłysły, akademicy rzucili karabiny, pozdzierali z siebie oznaki gwardii i rozlali się po sąsiednich kamienicach, tłocząc się na schody i dziedzińce. Schronienia te

były całkiem bezpieczne, gdyż ani nowy teatr¹¹, ani narażona policja nie były przeznaczone na spalenie. Na barykadach jeszcze na czas jakiś została garstka naszych akademików. Jak odbył się odwrót centrałów, nie wiem, dość, że wszyscy wyszli w najlepszym zdrowiu i humorze; o jednym wiem tylko, że go Adam Cybulski, adwokat, wyciągnął za nogi z pieca cukiernika Pola; cóż dziwnego? wszakże i Marat, i Maksymilianek, gdy borba dźbiać się miała, w chłodnych piwnicach zamieszkiwać lubieli.

By zakończyć obraz, opowiem, co wiem z opowiadań Wybranowskiego, Kabata, Bilińskiego i stu moich znajomych. Po zawarłej za pośrednictwem Al. Kabata i Rukstala między Wybranowskim i Hammersteinem konwencji, w ten moment gwardie rozpuszczono. Było to wielkim błędem. Kilka tysięcy, jak myśleć można było, nie kauczukowych bagnetów, stojących na placach zbornych miało swoje znaczenie, istotnie, jeżeli do rozstrzelania miasta Hammerstein miał aż nadto artylerii, mniej miał sił do brania go szturmem. Trzy bataliony wiedeńskiego pułku *Deutschmeistrów*¹² stanowiły siłę, na którą mógł liczyć, kilkanaście rusińskich byłoby na sam widok takiej na bagnety idącej kompanii, uszło z pola. Gdy gwardie się

rozeszły, wojska zostały na stanowiskach. Wybranowski, ufając konwencji, poszedł do gubernatora Zaleskiego¹³ na kawę; starzy panowie spokojnie odpoczywali po bezsennej nocy, lubując sobie w sandwichach, które pocziwa p. Zaleska, rada, że już bieda minęła, po mistrzowsku sporządzała, gdy przy drugiej filiżance zauważyli, że bateria stojąca pod oknami nie myśli zaprzodkować. Więc Wybranowski wysłał do gen. komendy Kabata, by zapytał o przyczynę tej zwłoki. Kabat, minąwszy ogniową strażnicę, dojrzał Hammersteina, objeżdżającego na czele sztabu piechotę i baterie. *Meine Kinder, nur nicht schiessen, wenn sie nicht angreifen*¹⁴, powtarzał ciągle, za nim zaś jadący Bordolo i Rukstal kiwali rękami, uśmiechając się do dowódców.

Gdy ukończywszy przegląd Hammerstein wrócił do siebie, zameldował się Kabat, lecz zanim zdołał odkrzęknąć po swojemu, by z oficjalną powagą a wrodzoną sobie precyzją zacząć przemowę o wycofanie wojska, wpadł Rukstal, od drzwi pospiesznie meldując: *Excellenz! die Akademie rückt vor und feuert*¹⁵. Na takie *dictum* Kabatowi język zakotłował, ekscelencja z przyzwoitą godnością wychyliła szklanicę Feslauera, otarła usta, oparła się rękami



Pałac Gubernatorski we Lwowie. W głębi widać kościół Karmelitów, jeszcze bez wież (gwiazd J. Hallera, XIX w.)



Pożar Lwowa 2 listopada 1848 r.
(wg O. Czerner, *Lwów na dawnej rycinie i planie*)

o kolana i po długim namyśle mruknęła: *Wenn so, schiesst in Gottes Namen!*¹⁶ (zaślepieniec nie przeczuwał, że pierwszą ofiarą płochego rozkazu będzie własna jego ulubiona kucharka, która z koszykiem na targowicę koło Bernardynów od pierwszych wystrzałów padła, przez co obiad mocno spóźniony, a ekscelencja bezlitośnie wyłajany został).

Kabat usłyszawszy te słowa, jednym galopem wrócił do gubernium do Zaleskiego, lecz zanim zdołał odkrząknąć, Ruckstał, duch jego prześladowczy, otworzył drzwi, ścignął ręką po żołniersku, oświadczając Zaleskiemu: *Seine Excellenz Gen. der Kavallerie komandierender in Galizien Baron Hammersfein, lasst Euer Excellenz melden, dass er laut hochsten Befehls, bis zur ganzlichen Herstellung der Ordnung die und Zivil-Macht in seine Hande ubernimmt!*¹⁷. Co rzekłszy, salutował i wyszedł. Zaleski pobladł i zemdlął, ocucił go ryk dział, które na rozkaz wychodzącego Ruckstała spod okien Namiestnictwa już grzmieć zaczęły.

Na rynku był prawdziwy sądny dzień. Artyleria miała od dawna ściśle obliczoną odległość, więc każda raca ognistym wężem padała w ratusz, a granaty, półnabojami pod ostrym kątem ciskane, z precyzyjną dokładnością spuszczały się nie pękając aż na bruk. Przed strażnicą gwardii stała wszystkiego szczupła 4-ta kompania J. Zawadzkiego, ale gdy dużo gwardiaków, już poprzednio przez wojska do domów dostać

się nie mogło, kilkuset błąkało się po ratuszu, to gasząc ogień, to ratując w płomieniach stojącą tabulę miejską. Włóczyło się także kilkudziesięciu ludowców, nie mogących się pomieścić po szynkach i tylnych zaułkach przepełnionych niedawno tak wrzaskliwym motłochem. Miał to być widok przerażający, gdy gwardiaci uwijających się po drugim piętrze – a pierwsze już stało w ogniu – po zewnętrznych gzymsach gimnastykowali, by się dostać na wolne jeszcze korytarze. Już ratusz był jednym kłębem dymu, wszystkimi oknami bu-

chały ogniste kłęby iskier i dymów, akta i referaty latały, niby ogniste smoki unoszone wichrem – wiele z nich uratował z bohaterskim poświęceniem dyrektor miejskiej tabuli Leon Świeprawski – gdy Aleksander Cetner dostał się na szczyt wieży i białą wywiesił chorągiew. Jednakże to nie zostało uwzględnione.

O 5 po południu stojąc w oknie u siebie, widziałem deputację pod białą chorągwią idącą do Hammersteina. Ks. Karol Jabłonowski szedł na czele, a za zbliżaniem się tego wszystkim oficerom dobrze znanego a odznaczającego się oblicza milky strzały i wojska rozstępowały się spokojnie. Ta deputacja dopiero przerwała bombardowanie, jednak godzin jeszcze parę czasami race waliły w płomienie na zagładę przeznaczonych budynków, jako to ratusza, akademii, starego teatru, realnych szkół, techniki, biblioteki, dopiero nawalny deszcz, który koło ósmej lunął, ograniczył pożar. Gdyby nie zlewa, prawdopodobnie całe śródmieście byłoby stanęło w płomieniach. Na bliskich mego okna wałach, naliczyłem sześciu poległych grenadierów, gdy ich brano na nosze. – Kto ich położył? – może być własne granaty, gdyż o ile wiem, tylko z okien Ormiańskiej ulicy, na Dominikańskim placu kilku artylerzystów ubito. Z samego początku bombardowania widziałem z jezuickiej dzwonnicy głową na dół wiszącego oficera, tego jeden z moich pieszych bawelną z okna wiedeńskiej kawiarni spuścił, w ogóle około 30 żołnierzy położyło się na bruk. Widzia-

łem dokładnie pożar miasta, a niezwykłą przepowiednią był w oczach moich ratusz, którego wieża już drugi raz w przytomności mojej konała. Szczyt jej o kilkadziesiąt sążni nade mną wzniesiony, był dla mnie dotąd nieodgadniętą optyczną zagadką, o tyle wyższy zdawał się być pode mną, tak żem z góry patrzył w pałace się wewnątrz jak w płomienisty kocioł. Z ognistej paszczy sterczał żelazny pręt, unoszący dwugłową¹⁸, zwolna żarły go pożary, topniał, a dwugłowa to w tą, to w ową kołysząca się stronę, w końcu skrciła się sama w sobie i łbami na dół zanurzyła w piekło. Ze zmierzchem, gdy ogień ustał, popod moje okna przesuwała się szeroką ulicą gremialnie centralizacja, idąca do Heltmana mieszkającego obok w wąskiej uliczce. Januszewicz, Heltman, Podolecki, Jakubowski, Sokulski, Malinowski, Domagalski, w rozkosznych humorach, śmiejąc się i dowcipkując, zbierali po bruku walające się kartacze i czerepy granatów. Nazajutrz byli wszyscy u mnie, krokodylimi łzami oplakując niszczenie miasta i upadek gwardii. W dni kilka potem pożegnałem tych moich przyjaciół, gdy wyjeżdżali szybko za granicę, bo już reakcja dobierała się do nich. Najpocziwszy z nich Pius Groza, który mieszkał u mnie, zapóźniwszy się, został ujęty przez Moskali, a poznany jako dezerterski pułk moskiewskiego, zginął pod paszczętami¹⁹.

Podczas bombardowania padło 180 ofiar, rannych było wiele, opatrywano na razie w kościele Bernardynów i w teatrze. Wojsko popełniało oburzające swawole: w oknach gmachu gubernialnego widno było eleganckie kobiety stojące pomiędzy grenadierami i palcami wskazujące, gdzie strzelać mają. Były to żony urzędników Rusinów, pohulać rade. Mostem ku angielskiemu hotelowi siedł katedralny dziad, strzał położył go trupem, nadchodząca żebraczka, chcąc go podżwiwnąć w piersi dostała kulę. Wszystkim znana kawiarka Malwina Łysakowska, zatrzymawszy się chwilę nad nimi, śmiertelnie postrzelona ułożyła się przy nich. I *Deutschmeister* nie chcieli zostać w tyle. Na Krakowskim gęsto leżało trupa; jedenastoletnie dziewczątko biegło z lekarstwem: *Um ein Pakel Tabak schies ich sie nieder*, zawołał zmierzając się podoficer od *Deutschmeisterów*. *Schies zu*²⁰, bąknął pan porucznik, a biedne piersi przeszła kula.

Sto takich zbrodni popełniono bezkarne, między nimi trafiały się i zabawne. W zajeździe Kuhnów stał łubieński muzyk z końmi, zebrała go ciekawość, co to się dzieje na mieście. Uchyliwszy ostrożnie furtkę, gdy ujrzął, że to nie żarty i zwracał się chcąc iść do sieni, dostał w tej chwili kulka, która przez parę tygodni usiąść mu nie pozwoliła. Do starego konsyliarza wpadło zapite żołdactwo; na próżno dufając w swą lojalność, chcąc przerwać rabunek wrzeszczała na całe gardło:

– *Dobri ludie, ja kaiserlich, ja kein Polak*²¹.

– *Sam skazał szczo Polak,*

i nuż w kolby, że o mało niemieckiej nie wyzionął pary. Tym wszystkim tak się rozbestwiło wojsko, że na drugi dzień jeszcze włóczyli się kupkami, strzelając do okien i wpadając do domów. W końcu na Krakowskim formalny rozpoczęto rabunek, a nawołującego do porządku oficera pokłuto bagnetami. Wałami widno było grenadierów, uginających się pod łupami. Nazajutrz z południa ruszyły setki ładownych wozów. Policja z wojskiem szła od kamienicy do kamienicy i zabierała wszystko, co było lub być mogło bronią, nawet kuchenne noże nie w jednej brakuły kuchni. Gdy nikt na to przygotowanym nie był, wyobrazić sobie łatwo, jakie masy przeróżnej broni zawaliły arsenał. W parę lat potem za okazem pozwolenia, iż się tyle sztuk broni posiadać może, prowadzono upominających się do składów, w których sterty broni leżały. Mało kto swojej odszukał, ja z 18 zabranych sztuk odebrałem 1 dubeltówkę i 1 pałasz, za to dozorca powiedział mi: *Nehmen sie was ihnen gefallt*²². Można sobie wyobrazić, ilu z takiego pozwolenia skorzystało, co tylko było lepszego, poszło w zagraniczny handel. W arsenale widziałem troteę z naszych lanc z podpisem: *Erobert im Kampfe mil der polnischen Garde*²³. – Zbytek honoru dla nas, bohaterów nasz zwycięzco!

W parę tygodni po bombardowaniu najzdadliwszy batalion galicyjskich grenadierów, dostawszy rozkaz wymarszu na Węgry, wysłał 4 podoficerów i tyleż żołnierzy w deputacji do Hammersteina, że nie wyjdzie ze Lwowa, bo musi pilnować by „Polacy znowu gwardii nie zrobili”. – Hammerstein poszeptał z Rukstalem, deputacja

przed frontem dostała po 80 ojcowskich napomnień, a batalion z placu egzekucji bez pakunku ruszył za rogatki, gdzie bez chleba i ognia, do tego w śnieżycę pod karabinem przestał noc całą. Ten batalion cały prawie wyginał na Węgrzech, ledwo kilkunastu wróciło. Przed wejściem na linię bojową porządek musiał być przywrócony; i oto dojeżdżając do Zimnej Wody, widziałem na polu stojący batalion, przed którego frontem siedmiu żołnierzy biegano przez różgi.

Trzeciego dnia po bombardowaniu zwołano jakieś zgromadzenie miejskich znakomitości do Angielskiego hotelu, by utworzyć komitet bezpieczeństwa; idąc do moich ludzi naszedłem na te narady, które się odbywały na schodach i korytarzach. Kilku z mieszczan z byłej rady narodowej naradzało się na uboczu; ta namiętność radzenia poruszyła żółć we mnie, więc przystąpiłem mówiąc: *Ojcowie ojczyzny radzą pewnie, jakby to można miasto drugi raz zbombardować. Na to lakiernik Kasper Boczkowski, wielki między nami matador, odpowiada: Tać to panowie sami winni, wiedzieliście, że my osły, było krzyknąć: a do pędzla, do pociągła, a nie do rady.*

W parę dni po bombardowaniu Wybranowski od nas zażądał szczegółowych raportów; gdyby je można mieć, dałyby najlepszy obraz tego zdarzenia. Sąd kryminalny także nas dowódców gwardii indagował. Ale to była czysta komedia i nic więcej.

Tak zakończyła się wiosna narodów we Lwowie.

PRZYPISY

¹ Generał austriacki (bliższych informacji nie znaleźliśmy).

² niem. *Duch życia*

³ Na pl. Mariackim była kamienica Hofmana.

⁴ niem. *Bombardując!*

⁵ Ulica Szeroka – późniejsza Kopernika; Nowy Świat – późniejsza Leona Sapiehy. *Panna Maria* – niejasne: przy ul. Kopernika był kościół Dominikanek (zamieniony na cerkiew, zburzony w czasie II wojny) oraz b. kościół Trynitarzy, zakupiony przez Ossolińskiego na bibliotekę, ale żaden nie miał wezwania Panny Marii. Może chodzi o kościół św. Marii Magdaleny?

⁶ niem. *Tylko szybko, bo kto wie, co będzie?*

⁷ Hotel Angielski stał na rogu ówczesnych ulic Karola Ludwika (potem Legionów) i Jezuickiej (potem Jagiellońska). Po zburzeniu hotelu wybudowano tu gmach Galicyjskiej Kasy

Oszczędności (dziś mieści się w nim ukraińskie muzeum etnograficzne).

⁸ Urząd gubernialny znajdował się przy tzw. Wątlach Gubernatorskich, na późniejszej ul. Czarnieckiego, na odcinku między ul. Karmelicką a Łyczakowską. W okresie autonomicznym (od lat 1860.) nie było już gubernatora i urzędu gubernialnego, lecz namiestnik i Namiestnictwo. Na przełomie XIX/XX w. został wzniesiony obok – na samym rogu ul. Karmelickiej – nowy, wielki gmach Namiestnictwa (w latach międzywojennych Urząd Wojewódzki). Wszystkie budynki dziś istnieją.

⁹ Chodzi zapewne o ustęp.

¹⁰ Akademia (uniwersytet) – po usunięciu przez Austriaków z gmachów jezuickich – mieściła się do 1848 r. w dawnym klasztorze Trynitarzy (między ul. Teatralną a Krakowską).

¹¹ Nowy teatr: Teatr Skarbowski, otwarty sześć lat wcześniej (1842).

¹² Wyborowa formacja austriacka.

¹³ Wacław Zaleski (1799–1849), w 1848 r. gubernator Galicji; poeta, badacz folkloru, wydawca.

¹⁴ niem. *Moje dzieci, nie strzelajcie, jeśli oni nie atakują.*

¹⁵ niem. *Akademia rusza i daje ognia.*

¹⁶ niem. *Jeśli tak, strzelajcie, z Bogiem!*

¹⁷ niem. *Ekscelencjo, Generał dowodzący Kawalerią w Galicji, baron Hammerstein, polecił zameldować Waszej Ekscelencji, że zgodnie z Najwyższym [tzn. cesarskim] rozkazem przejmuję w swoje ręce władzę cywilną aż do całkowitego przywrócenia porządku.*

¹⁸ Chodzi prawdopodobnie o dwugłowego orła, herbu cesarstwa austriackiego.

¹⁹ Tego słowa nie znaleźliśmy w żadnym słowniku starej polszczyzny.

²⁰ niem. *Za paczkę tytoniu bym ją zastrzelił... No to strzelaj.*

²¹ ukr.-niem. *Dobrzy ludzie, ja cesarski, ja żaden Polak.*

²² niem. *Niech pan bierze, co się panu podoba.*

²³ niem. *Zdobyte w walce z polską strażą (gwardią).*

LUDWIK JABŁONOWSKI h. Grzymała (1810–1887), ur. w Warszawie, zm. we Lwowie. Właściciel majątków Lubień Wielki i Kiernica pod Lwowem, a po ich sprzedaniu w 1850, zakupił Nastasów w Tarnopolskiem. Powstaniec, spiskowiec, pamiętnikarz. Brał udział w powstaniu styczniowym (1831), po powrocie do Galicji – aktywny w życiu społecznym, narodowym i gospodarczym. W wydarzeniach 1848 r. należał do Rady Narodowej, ale w walkach nie wziął udziału. Na starość pisał utwory poetyckie i pamiętnik pt. *Złote czasy i wywczaszy*.

obchodzi stulecie

Przynajmniej dwa powody nami kierują, by właśnie teraz przedstawić najszerzszym kręgom naszych Czytelników w całym kraju (i poza nim) osobę oraz korzenie i życie Pani dr Janiny Winowskiej, która – na wiele lat przed powołaniem do życia w Krakowie oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich – rozpoczęła dzieło integracji rozproszonego dotąd środowiska wygnañców ze Lwowa i całego obszaru Małopolski Wschodniej. Jej – i równolegle Pana Stanisława Wasieczyńskiego – aktywność umożliwiła na przełomie lat 1988/89 powstanie organizacji, do której na samym wstępie wpisało się w Krakowie ponad półtora tysiąca osób. Pierwszym więc powodem jest hołd należny Pani Janinie za to, że już przez niemal dwa dziesięciolecia z powodzeniem działamy na rzecz pamięci o Rodakach Lwowa i tamtej Ziemi oraz o Rodakach tam żyjących.

Drugi, niezwykle powód, to obchodzone w tym roku s t u l e c i e urodzin Pani Janiny (zwanej przez bliskich Panią Inką), żarliwej patriotki, nauczycielki i harcerki.

Warto na wstępie przedstawić rodzinne korzenie Pani Janiny Winowskiej, tak bardzo charakterystyczne dla rodowodów polskiej inteligencji XIX stulecia. Pani Janina przekazała nam swoje notatki i dokumenty, które tutaj rozwijamy.

Historia najbliższej rodziny Janiny Winowskiej rozpoczyna się we wschodniomałopolskich stronach, gdy około połowy XIX w. przybył z Królestwa¹ w okolice Zbaraża Egidiusz (Idzi) Wernberger, przejmując w dzierżawę Łubianki, majątek hr. Stadnickich, z trzema folwarkami: Łubianki Wyżne i Niżne oraz Łysy Okop, które obejmowały 4 tysiące morgów i wielkie lasy. Z czasem zakupił na własność pobliską Sieniawę. Obie wsie były w większości polskie, brakowało jedynie kościoła i na msze musiano jeździć aż do bernardynów w Zbarażu. Wernberger wybudował więc kościół, głównie swoim sumptem, a jego poświęcenie odbyło się w 1883 roku. Ówczesna prasa napisała: *...z radością przychodzi nam powitać nową świątynię i wymienić nazwisko rodziny, nie żałującej żadnych trudów i ofiar dla chwały*

Najwyższego. Państwo Wernbergerowie, zaledwie kupili tę wioskę, a zaraz pierwszą ich myślą było zbudować w niej dom Boży. Wielkich rzeczy dokonać może mocna i w postanowieniu swoim nieugięta wola. Nie było też trudności, którejby pan W. nie pokonał. Klęski elementarne nawiedzały go rok po roku. Nie zraził się niczem, wołał sobie odmówić najpotrzebniejszych rzeczy, a nie zaniechał albo na daleką przyszłość odłożyć spełnienie najgorętszego swego życzenia. Stań już piękny kościół w Sieniawie i w dzień Imienia Maryi b.r. nastąpi jego poświęcenie.

Kolator został obdarzony tytułem szambelana papieskiego i orderem św. Grzegorza. Niestety po II wojnie kościół został zrównany z ziemią.

Wernbergerowie zamieszkali w Łubiankach, bo w Sieniawie był tylko mały dworek. Był tam za to rozległy ogród z sadem, gdzie uprawiano winie, agrest, truskawki, poziomki. Sprzedawano je do Zbaraża i Tarnopola. Była też plantacja chmielu i pasieka.

Egidiusz Wernberger² ożenił się z Belgijką, Leoną Vincart de La Gardie³, która pracowała jako nauczycielka u hr. Stadnickich. Pisała w Polsce wiersze po francusku – dwa z nich przedstawiamy w ramce na następnej stronie. Pierwszy z nich w wolnym przekładzie na polski⁴, jest poświęcony jej małżeństwu, a drugi, modny wtedy akrostych⁵, ułożony dla 11-letniej Helenki – późniejszej matki Pani Inki.

* * *

Rodzina Wernbergerów, tak jak wielu obcokrajowców żyjących na Kresach, zasympilowała się w środowisku polskim, stali się żarliwymi polskimi patriotami. W takiej atmosferze wzrastała ich córka Helena. Przeżyła ona dramatyczne chwile, gdy zginął tragicznie jej narzeczony. Ale ten żar serca, dar czystej miłości Bożej, którego życzyła jej matka, pozostał w niej. W 1902 roku wyszła za mąż za wdowca, starszego od niej sędziego Karola Winowskiego.

Helena była osobą bardzo religijną, wykształconą, o wysokiej kulturze osobistej; potrafiła stworzyć prawdziwie dobry dom. Urodziła troje dzieci – Marię w 1904, Janinę

w 1906 i Leszka w 1910 roku. Sama zajmowała się edukacją swoich dzieci. Egzaminy z klas szkoły podstawowej Maria i Janina zdawały w Trembowli i w Tarnopolu. Szczególne lata skończyły się po utracie majątku. Winowscy wyjechali z Sieniawy i Łubianek do Skalatu, gdzie pan Winowski był radcą sądu.

W 1920 roku umarł pan Winowski. Rodzina przeniosła się ze Skalatu do Lwowa, zamieszkała przy ul. Dąbrowskiego 16. Skromna renta po mężu nie wystarczała na utrzymanie rodziny; Helena Winowska zarabiała, udzielając korepetycji z języka francuskiego.

Janina ukończyła Gimnazjum im. Królowej Jadwigi i w 1925 roku rozpoczęła studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Jana Kazimierza. Studiowała

Jedenasty lutego 1885

*Dwadzieścia cztery lata związku
szczęśliwego,*

*To zaiste łaska i fawor niezwykły,
Każące zapomnieć o smutkach tak
licznych.*

*Dziękuję Ci, mój Boże, za taką wspólnotę,
Co mi starczyć może i za góry złote.*

*Bez tego afektu, jakże głębokiego,
Żadnym cieniem dotąd nie*

*przesłoniętego,
Ciężko żyć by, i żądać daru wciąż
nowego.*

*Bądźmy szczęśliwi, gdy wspólna dola ta
Więcej ma w sobie dobra aniżeli zła.*

Akrostych

*Hautement je l'aime, ma petite fille
Et sur mon coeur comme je la presse,
L'écho du sien qui tant santille,
Explique assez ce qui l'opresse.
N'éteins jamais ce petit feu
Et tincelle pur du coeur de Dieu.*

Pierwsze litery wersów tworzą imię: *Helene*. A w wolnym przekładzie na polski (6):

*Jakże ją kocham, mą córeczkę małą,
I gdy do łona ją przytulam całą,
Małe serduszek jej czuję bijące.
Troski jej i radości rozumiem gorące.
Niech nic nie zgasi tego serca żaru,
Iskierki czystej Bożej miłości daru.*

dodatkowo filologię romańską i klasyczną. W 1932 roku obroniła pracę doktorską pt. „Tragizm w twórczości Krasińskiego”. Odbyła praktyki w szkołach w Jarosławiu, Stryju, Stanisławowie i we Lwowie. W maju 1934 roku zdała egzamin państwowy na nauczyciela szkół średnich. Włączyła się w życie kulturalne, naukowe i towarzyskie Lwowa. Swoje zacięcie społeczne realizowała w pracy w harcerstwie. Należała do Sodalizacji Mariańskiej.

Nadszedł tragiczny wrzesień 1939 roku, zajęcie Lwowa przez Sowieców, potem okupacja niemiecka. W tych trudnych latach Janina Winowska włączyła się w działalność konspiracyjną, uczyła na tajnych kompletach. Spędziła sześć tygodni w niemieckim więzieniu przy ul. Łąckiego we Lwowie (3 VII – 15 VIII 1941). W celi przy tym samym korytarzu był więziony prof. Kazimierz Bartel. Słyszała kilkakrotnie jego ciężkie kroki na korytarzu. Po złamaniu nogi podpierał się laską. Od jakiegoś dnia te kroki ustały – profesor już nie żył. Nie zginął razem z profesorami lwowskimi na Wzgórzach Wuleckich, ale w więzieniu na ul. Łąckiego.

W tym samym czasie był więziony młodszy brat Janiny – Leszek, z wyrokiem śmierci. Janina w więzieniu szorowała podłogi, by mieć możliwość podawania grypsów. Leszka wypuszczono. Jej nie pozwolono myć podłóg, bo jest aryjką. To było zajęcie dla Żydów.

Szczęśliwie udało się, że wyszła z więzienia i znów włączyła się do pracy z młodzieżą. Tajne komplety organizowała dyrektor Stefania Stipał⁶, również harcerka. Pani Janina udzielała lekcji w swoim mieszkaniu przy ul. Pełczyńskiej. Lekcje, a nawet egzaminy maturalne odbywały się w prywatnych mieszkaniach. Jej uczennica wspomina lekcje języka niemieckiego u miłej, wesołej i ślicznej, z burzą jasnych włosów, nauczycielki – Janiny Winowskiej.

Gdy została rozgromiona potęga hitlerowska, Lwów znalazł się znów pod sowiecką okupacją. Ja!ta! Nie można było uwierzyć w to, co się stało, i że do tego dopuścili Anglicy i Amerykanie. Opuścić to miasto czy pozostać? Janina Winowska wyjechała z matką w czerwcu 1946 roku, transportem uniwersyteckim w wagonie towarowym. Po czterech dniach dotarły do Krakowa. Przyjęła je do swego mieszkania pani Konopac-

ka, wdowa po zamordowanym przez NKWD adwokacie, który należał do tajnej organizacji, w której Janina była łączniczką.

Janina Winowska zgłosiła się do Kuratorium i zaczęła pracę w szkole. W 1949 roku zmarła jej matka. Pani Janina uczyła w Gimnazjach Nowodworskiego i Hoene-Wrońskiego. W ciężkich latach stalinowskich starała się przekazywać uczniom prawdziwą wiedzę o historii Polski.

Z tego powodu była represjonowana, musiała często zmieniać miejsce pracy. Uczyła „na zesłaniu” w szkołach w Myślenicach i Tuchowie. Wakacje spędzała w Bukownie z dziećmi swego brata Leszka.

Po odrodzeniu harcerstwa w jesieni 1957 roku dołączyła do grupy starych instruktorów krakowskich. Należała do żeńskiej drużyny instruktorskiej „Kuźnia”. Nawiązała współpracę z Krakowską Kurią Metropolitalną, z kardynałem Karolem Wojtyłą. Pisała artykuły do „Materiałów Homiletycznych”, brała udział w opracowaniu nauczania religii w szkołach. Metropolita krakowski pisał do niej: *Droga Pani Janino, Pani szczególnie dziękuję za w pełni katolicką postawę, za odważne wyznawanie swych przekonań, za działania w Duchu Bożym.*

W 1981 r. w Katowicach wydano skrypt jej autorstwa *Powołanie nauczycielskie*. Kolejna pozycja to *Anioł Pański w literaturze polskiej* i w 1991 r. książeczka pt. *Dzieci o Bogu*, dedykowana Janowi Pawłowi II. Otrzymała od Ojca św. listy z podziękowaniami.

W 1974 roku dr Winowska dowiedziała się, że w Warszawie są odprawiane msze św. za Jurka Bitschana, czyli za Orłęta Lwowskie. Stała się organizatorką podobnych mszy w Krakowie, odprawianych od 1976 roku do dziś w dniu rocznicy Obrony Lwowa – 22 listopada. Pisała o tym obszernie w „Cracovia-Leopolis” 4 (12) z 1997 roku, w artykule *Msze za Orłęta – moje wspomnienia*.

Rozpoczęły się domowe spotkania Lwowiaków, starające się pogłębiać świadomość i wiedzę historyczną. Środowisko integrowało się na Wieczorach Lwowskich, organizowanych przez Stanisława Wasiuczyńskiego ze słynnej „Wesołej Lwowskiej Fali” i jego przyjaciół.

Spotkania organizowali: malarz Adam Macedoński, Zdzisława Stopczyńska i inni,



Dr. Janina Winowska na spotkaniu Lwowiaków w dominikańskiej „Krypcie”. W głębi p. Stanisław Wasiuczyński

a o. Adam Studziński zapewniał miejsce spotkań w klasztorze oo. Dominikanów na Stolarskiej.

W 1988 r. powstało Towarzystwo Miłośników Lwowa we Wrocławiu, a w 1989 utworzono oddział w Krakowie. Pani dr Winowska otrzymała legitymację nr 1 Towarzystwa. W uznaniu jej zasług Tow. Miłośników Lwowa na walnym zebraniu 25 lutego 1989 roku nadało Jej godność Honorowego Członka Towarzystwa.

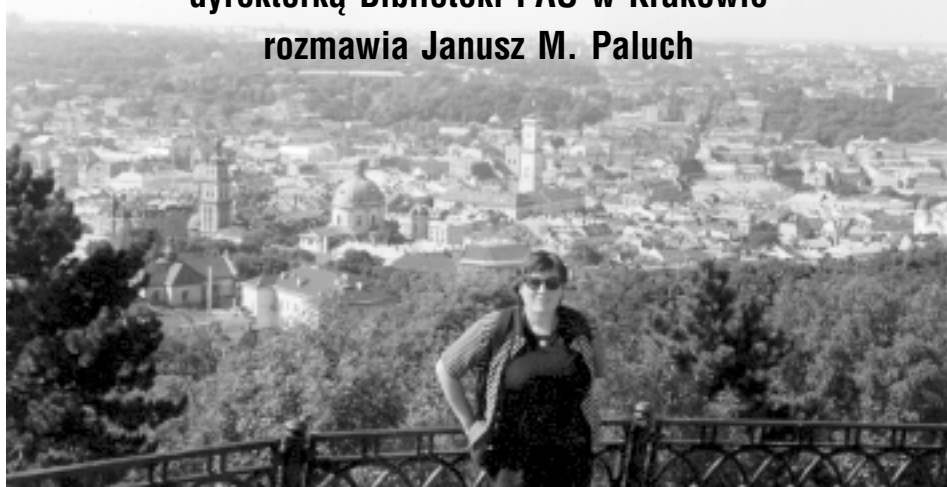
Pojawiły się nowe nazwiska aktywnych Lwowian: Andrzej Chlipalski, Janusz Orkisz, Jerzy Kowalczyk i inni. W tych wszystkich działaniach całym sercem uczestniczyła dr Janina Winowska.

Dziś Pani Winowska ma już sto lat. 9 października obchodziliśmy jej setne urodziny. Ksiądz z pobliskiego kościoła oo. Karmelitów „Na Piasku” odprawił mszę św. w pokoju Jubilatki. Uczestniczyło w niej kilka bliskich osób i sąsiadki, które od lat się nią opiekują. W dniu rocznicowym przyjechała rodzina z Wrocławia, potomkowie jej brata Leszka Winowskiego. Dr Winowska dostała listy gratulacyjne od Premiera Polski Jarosława Kaczyńskiego, Prezydenta Krakowa prof. Jacka Majchrowskiego i od Wojewody Małopolskiego Macieja Klimy. Był też list od Krakowskiego Oddziału Tow. Mi-

Z dr Karoliną Grodziską

dyrektorką Biblioteki PAU w Krakowie

rozmawia Janusz M. Paluch



Zacznijmy naszą rozmowę cytatem, motem... właśnie na dobrą, dalszą naszą pogawędkę.

Mówiąc szczerze, będę miała problem z wyborem... Przygotowana przeze mnie *Księga cytatów o Lwowie* zawiera ponad tysiąc cytatów! Ale niech będzie może ten, pochodzący z 1927 r., z *Pierwszej piosenki o Lwowie*, napisanej przez Mariana Hemara:

*Serce się z dala trudzi
Szuka cię w dali znów
O miasto beztroskich ludzi,
Rozśpiewanych, pogodnych słów...*

***Księga cytatów o Lwowie* jest gotowa już od dłuższego czasu. W zasadzie już dawno powinny odbyć się jej promocje, już dawno powinna zachęcać na księgarskich półkach po jej sięgnięciu. Ale jeszcze jej nie ma. Co się dzieje z pani książką?**

Rzeczywiście książka ukończona została przeze mnie wiosną 2006 r., trafiła do Wydawnictwa Universitas i trwają prace redakcyjne. Zostały one jednak spowolnione opinią prawników, którzy zetknąwszy się po raz pierwszy z czymś takim jak księga cytatów, zastosowali do niej bardzo dokładną wykładnię prawa autorskiego. Stwierdzili, że musi minąć 70 lat od śmierci autora danej wypowiedzi, żeby można było ten tekst swobodnie cytować. A jeśli chodzi o Lwów, to

przecież mnóstwo wspaniałych poetyckich wypowiedzi powstało właśnie w ostatnim 70-leciu. Tak więc w tej chwili wydawnictwo boryka się z trudem dotarcia do autorów lub spadkobierców praw autorskich tych wypowiedzi, czy też wydawnictw, które mogłyby pomóc w dotarciu do nich.

Rozumiem, że z prawnikami trudno jest dyskutować. Jednak szczerze mówiąc ich wykładnia nie przekonuje mnie. Przecież mamy do czynienia z cytatami, które czasami zaistniały tylko dlatego, że ktoś w swoich notatkach, wspomnieniach je opublikował, odnotował jakiś dziennikarz, czy też – jak sama pani powiedziała – są wyrwane z szerszego kontekstu. Przecież nie używa się całego utworu!

Rzeczywiście, nie używa się całego utworu. Niektóre cytaty to są dosłownie dwa, trzy słowa, jakieś określenia, maksymy wyrwane z kontekstu... Nie da się jednak w tej materii dyskutować z prawnikami, jakkolwiek spowodowało to znaczne spowolnienie wydania. Poszukiwania spadkobierców praw autorskich są syzyfową pracą i jestem tu pełna uznania dla Wydawnictwa Universitas. Mamy jednak świadomość, zarówno redaktorzy wydawnictwa, jak i ja, że do wielu autorów wypowiedzi i ich spadkobierców się nie dotrze, co wynika z rozproszenia Lwówian po całym świecie. Bo przecież to nie

jest tak, że tylko wybitni i znani twórcy czy naukowcy wypowiadali się o Lwowie i w prosty sposób dotrzeć do nich można. Od 1944 czy 1945 roku, kiedy nastąpił ten ogromny, przymusowy exodus Lwowian, ci, którzy mówili i pisali o tym mieście, to byli szarzy, szeregowi jego mieszkańcy, których jeden list, jedna wypowiedź, jeden wiersz zawierał nieraz ogromny ładunek emocjonalny, ale i był też jednorazową wypowiedzią człowieka nie parającego się literaturą zawodowo i nie piszącego nigdy nic więcej. A jednocześnie są to ludzie, do których nie sposób dotrzeć. Często już nie żyją, zmarli gdzieś w Kanadzie, Południowej Afryce, Wielkiej Brytanii, Nowej Zelandii, Australii czy Argentynie. Ich dzieci czy wnuki często nie mówią już po polsku i nie mają świadomości, iż ktoś może poszukiwać ich w związku z cytatem...

Już wiemy, że książka zawiera ponad tyśiąc cytatów. Ile cytatów taka książka mogłaby zawierać?

Rzeczywiście, jestem porażona bogactwem i obfitością cytatów. Oto kilka takich oczywistych, które charakteryzują historię miasta. Z 1444 r. pochodzi taki: „Puklerz i mur przeciw poganom”, „Schronienie i obrona” – to stałe hasło dla Lwowa z XVII w., „Miasto najprzedniejsze województwa ruskiego” – też pochodzący opis z XVI w., „Lwów święty, gdzie chętni bywamy”, „Lwipole stołeczne”, „Nieruchoma skała przeciw najazdom nieprzyjaciół”, „Rzeczypospolitej przeciw wrogom osłona”, „Najznakomitsza warownia Rzeczypospolitej”. To są cytaty staropolskie, dochodzące do połowy wieku XVIII. A w wiekach XIX i XX – niesamowita *embarras de richesse* i problem wyboru z nieprawdopodobnej ilości wypowiedzi. Nie potrafię określić potencjalnej liczby cytatów o Lwowie, na jakie można trafić w literaturze. Przy czym, jako autor książki cytatów, mam zarówno możliwość, jak i przyjemność, że to ja mogę dobrać je według własnego, niekiedy bardzo subiektywnego gustu. Nie chodziło mi bowiem o to, by zrobić pomnik czy monument. Chciałam, aby z jednej strony układały się w literacką historię miasta, od jego początków do chwili obecnej. A z drugiej, by tę książkę można było czytać na wrywki. Zatrzymać się nad cytatem, zadumać, a czasem i rozbawić.

Rozumiem, że przywołane hasła są tytułami rozdziałów. Skoro nasza rozmowa dotknęła takich szczegółów, to może idźmy dalej i odślońmy inne jej tajemnice...

Oczywiście. Układ książki jest analogiczny jak edytowana przez Wydawnictwo „Znak” w 2004 roku *Księga cytatów o Krakowie*. Część pierwsza zatytułowana jest „Lwów” i składa się z następujących podrozdziałów: „Gród Lwów”, „Tarcza i mur przeciw wrogim poganom”, „Gród poważny a stary”, „Rzeczypospolitej przeciw wrogom osłona”, „Lwów utrapiony”, „Dwugłowne nad Lwowem potwory”, „Stolica Galicji”, „Ten wielki Berdyczów”, „Wierzę w Boga i Lwów”, „Jaki to inny Lwów”, „Nim wrócę do domu”, „Lwowie, Ojczyzno moja”, „Lwów mieszka we mnie”, „Przed zatrzaskniętą bramą mego miasta” – to są podrozdziały organizujące tę pierwszą ogromną część o Lwowie. Oczywiście tytuły tych podrozdziałów też są cytataми. Część druga, „We Lwowie”, składa się z następujących podrozdziałów: „Wysoki Zamek”, „Kopiec Unii Lubelskiej”, „Rynek Lwowski”, „Kościoty”, „Mury i bramy”, „Uniwersytet i Ossolineum”, „Teatr”, „Pomniki”, „Pełtew”, „Ulice i bruki” i „Cmentarze”.

Ilu autorów przywołała pani w tej księdze?

Około sześciuset osób zostało zacytowanych. Niektórzy przywoływani byli wielokrotnie. Chociażby Marian Hemar, którego nie można było w różnych kontekstach nie przywoływać. Są też oczywiście cytaty anonimowe, czy też takie, których autorów nigdy nie rozszyfrujemy. To najczęściej czasy staropolskie, kiedy cytat pochodzi z dokumentu królewskiego, i przecież to nie król był jego autorem, tylko ktoś z pracowników jego kancelarii, który tak piękne określenie w stosunku do Lwowa, czy też Krakowa zastosował.

Proszę powiedzieć, ile książek trzeba przejrzeć, by taka książka cytatów mogła powstać?

Trudno to w tak jednoznaczny sposób określić. Układanie antologii jest pasjonującą zabawą. Ten gatunek literacki znany jest od czasów starożytnych, a szczególnie popularny w Europie od czasów baroku. I to do tego stopnia, że nie powiodła się próba stworzenia elementarnej bibliografii, która zawierałaby zbiory maksym czy zbiory cytatów. Dla mnie też była to wielka zabawa

i satysfakcja. Oczywiście praca rozkładała się w czasie i to na przestrzeni wielu lat. Zawsze tak bywa, że czytamy coś, co nas zainspiruje, notujemy, robimy fiszkę, czy też kserokopie, odkładamy do jakiejś teczki, którą trzymamy w biurku. Mija parę lat i okazuje się, że teczka pęka w szwach! Wtedy trzeba ten materiał pogrupować i nagle zauważamy, iż układa się on w jakąś piękną sekwencję! A jednocześnie wtedy dostrzegamy też, że w takiej układance są białe plamy. Wtedy zaczyna się świadome szukanie, uzupełnianie. Kto w tym czasie w tym mieście, żył, przejeżdżał, kto mógł w danym czasie coś o nim napisać. I takie szukanie bardzo często przynosi nieoczekiwane efekty. Bywa tak, że przeglądamy to, co pozostawił po sobie człowiek, który w Krakowie czy Lwowie całe lata mieszkał i tworzył, więc powinien coś o tym mieście napisać. I nagle okazuje się, że wcale niekoniecznie. W przypadku Krakowa taką zagadką jest Jan Kochanowski, który przecież spędził w naszym mieście tyle lat i nie pozostawił po sobie żadnego opisu czy refleksji o Krakowie, podczas gdy tutaj powstawały jego utwory – chociażby „Fraszki”. Podobnie bywało ze Lwowem. Przykładem służyć może Seweryn Goszczyński, który wiele lat tam spędził i z trudem w jego korespondencji udało się coś o Lwowie znaleźć. Podobnym przykładem może być Maria Konopnicka. Lwowianin, Artur Grottger, po-

zostawił po sobie kilka ładnych wypowiedzi, ale pochodzą one tylko z prywatnej korespondencji do narzeczonej Wandy Monné – takie ciepłe określenie: „stare Lwowisko, za którym bardzo tęsknię”. Jan Kasprówcz – także związany ze Lwowem – tu znalazłam tylko jeden wiersz, który mówi o Lwowie, a konkretnie o targu na rynku lwowskim, ale który mógłby się odnosić do każdego innego targu, w każdym innym mieście. Tak więc, takie szukanie poprzez oczywiste nazwiska ludzi z miastem związanych nie zawsze przynosiło oczekiwany efekt. I *vice versa*, ktoś przyjeżdżał do Lwowa na tydzień czy na miesiąc i zachłystywał się tym miastem i pozostawiał całą masę przepięknych wypowiedzi. Oczywiście to nie było regułą, ale przy pracy bywały takie właśnie zaskoczenia i niespodzianki.

W końcu przychodzi chyba czas, kiedy ma się świadomość, że uzupełnianie też się kończy?

Takie uzupełnianie jest pracą nieskończoną – historycy mówią czasem o „wylizywaniu źródeł” i to jest celne określenie. Jest dla mnie oczywiste, że dopiero wtedy, kiedy książka się ukaże, to nagle posypią się głosy, które będą ją ganić, chwalić, ale przede wszystkim będą ją uzupełniać. Przecież każdy z nas ma swój kanon lektur i wie, jak dotrzeć do pewnych wypowiedzi. Mam więc świadomość, że te uzupełnienia dopiero się

ARCHIWUM

Podobną archiwalną rubrykę prowadzi także „Dziennik”. W nrze 114/06 znalazła się taka notka:

CZYM ŻYLI POLACY

[1 września] 1871. „Przegląd Lwowski” pisał: „Z Wilna, stolicy litewskiej, nadchodzą ciągle smutne wiadomości. Moskale chcą widocznie ze szczętem zniszczyć wszystko, co polskie, dlatego znęcają się nawet nad figurami i krzyżami po rozstajnych drogach stojącymi. Na każdego przyjeżdżającego do Wilna wywiera wielkie wrażenie widok gór piętrzących się za miastem. Z tych szczególnie wyróżniała się góra Trzykrzyska, tak zwana od trzech krzyżów na jej szczycie, których wyciągnięte ramiona, jak gdyby błogosławiły stary gród Gedymina. Krzyże katolickie górujące nad miastem były solą w oku carskiej tuszczycy. Wskutek rozkazu wysokiej władzy żołdactwo stojące w pobliżu Wilna zrobiło nocą wyprawę i powywracało krzyże. Można sobie wyobrazić, jak przykrego wrażenia doznali mieszkańcy Wilna, gdy nie ujrzeli nad miastem krzyżów, do których oko przywykło od dzieciństwa”.

Cieszy nas, że redaktorzy „Dziennika” zaglądamy także do starej prasy lwowskiej.

posypią. Tak było po książce o Krakowie. Były znakomite, a ja się czerwieniłam, że wcześniej sama do nich nie dotarłam. Z drugiej strony, to jest bardzo miły fakt, iż ktoś wczytuje się w tę książkę do tego stopnia, że zadaje sobie trud, by uzupełnić i wzbogacić myśl autora. Mam nadzieję, że tak będzie i o książce o Lwowie.

Rozumiem, że gromadzenie materiałów o Lwowie trwało wiele lat. Kiedy zatem powstał pomysł na stworzenie *Księgi cytatów o Lwowie*?

Jakieś 7–8 lat temu. Można powiedzieć, że od początku było dla mnie oczywiste, że trzeba zrobić księgę cytatów zarówno o Krakowie, jak i o Lwowie. Gromadząc materiały o Krakowie, znajdowałam równoległe bardzo piękne materiały o Lwowie. Wynika to w sposób oczywisty z dziejów tej części Polski, z losów obu miast i ich podobieństw, które są dziedzictwem Galicji – zaboru austriackiego, podobnych warunków rozwoju i funkcjonowania. Wcześniej tych podobieństw trudno byłoby się dopatrywać.

Proszę powiedzieć, jaki jest najstarszy cytat o Lwowie, do którego pani dotarła.

Najstarszy cytat jest z roku 1259 r. Lwów pojawia się tam już jako funkcjonujące miasto-miejscowość. Ale ten cytat, pochodzący z *Kroniki Wołyńskiej*, go nie dotyczy, bo mówi o pożarze Chełma, który był tak olbrzymi, że jego łuny widziane były we Lwowie. Nie powiem jednak nic o ostatnim cytacie, bo on jeszcze nie istnieje. Jeśli ta książka ukaże się w 2006 r., cytat będzie pochodził z tego roku. Cały czas, na całym świecie ludzie mówią i piszą piękne słowa o Lwowie. Poza tym każdy bibliotekarz, każdy kto się zajmuje źródłami, wie o tym, że w zbiorach rękopiśmiennych znajduje się nieprawdopodobna ilość materiałów drzemających i czekających na swego odkrywcę i na publikację.

Skoro nie możemy zdradzić czytelnikom ostatniego cytatu, to który jest dla pani najpiękniejszy?

*W moim mieście, którego nie ma na
żadnej mapie
świata jest taki chleb co żywić może
całe życie czarny jak dola tułacza jak
kamień, woda, chleb, trwanie wież
o świecie*

Tak pięknie i wzruszająco napisał Zbigniew Herbert o swym Lwowie w 1998 r. w wierszu *W mieście*.

A najsmutniejszy?

Bardzo poruszył mną wiersz Beaty Obertyńskiej zatytułowany *Perły*. To jest chyba najsmutniejszy cytat:

*O! Panno – cała w gwiazdach i szafirze!
Użał się moim sposobom...
Chcę dołek w ziemi grzebać, aby niżej
Móc czołem bić przed Tobą!*

*Jej jednej „Ślicznej Gwiazdzie” lży
na rzęsach drżą
Że jej miasto kamieniem tak poszło
na dno...*

*Bo z resztą? Cóż tam Niebu tak
ważnego znów*

– Lwów?

Który cytat panią najbardziej rozśmieszył?

Bez żadnych wątpliwości, piosenka z końca 1919 roku, adresowana do Lloyda George'a, ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, który wpadł na pomysł – i przedstawił to w formie oficjalnego projektu – by Polsce przyznać Lwów na 25 lat, a potem zorganizować plebiscyt! Ten plebiscyt przypadłby w roku 1944. Wprawdzie nie drogą plebiscytu, ale tego roku Lwów został Polsce odebrany przez Rosjan... A tak brzmią słowa piosenki:

*Dobryś ty dla nas
Dobrzy bądźmy i my,
Ty nam pożyczasz
My ci pożyczymy.*

*Dokładniej rzecz się później porozlicza,
Tymczasem niechaj słyszy cały świat,
Że młodzież Lwowa – Anglikom pożyczka
Miasteczko Londyn na pięćdziesiąt lat.*

Ale jest też inny cytat, który pochodzi z 1888 roku, który swą aktualnością może do dziś ubawić współczesnego czytelnika. Pochodzi z utworu Artura Bartelsa zatytułowanego „Patriotyzm tanim kosztem”:

*Złością z egoizmem
Ludzie u nas słyną,
Swym patriotyzmem
Dodawszy do tego,
Że Kraków do Lwowa
Tyle czuje złego
Co Lwów do Krakowa,
Znając Lwów i Kraków*

*Myśli człek niekiedy,
Że nie ma Polaków
Tylko samojedy*

Lwów nie wszystkim się podobał. Nie chce mi się wierzyć, by przez wieki nie znalazł się ktoś, kto pisał o nim źle.

Trzeba było się zdobyć na pewien wysiłek i przestać spoglądać na Lwów przez pryzmat naszej ogromnej za tym miastem nostalgia, tęsknoty i sentymentu. Trzeba bowiem sobie uświadomić, że w XIX wieku, w czasach zaboru austriackiego, w czasach autonomii galicyjskiej, było to piękne miasto, rozwijające się, z własną elitą intelektualną, ze swoim uniwersytetem, prasą, środowiskiem artystycznym, w którym, tak jak wszędzie, działały normalne mechanizmy, grały normalne emocje, kiedy nie postrzegano tego miasta przez pryzmat jego waleczności i jego bohaterskiej tradycji z czasów staropolskich, kiedy jeszcze nie narodziła się legenda obrony Lwowa z 1918 r. Wtedy różni autorzy wypowiadali się o tym mieście w sposób bardzo krytyczny, dając upust swoim emocjom. I te wypowiedzi przez to, że są takie szczerze i normalne do bólu, są bardzo interesujące. A przychylnie nie są. Józef Ignacy Kraszewski w 1867 roku pisał, że Lwów „to jest młody dorobkiewicz z wszystkimi jego cnotami, wadami i śmiesznościami”. W *Tece Stańczyka* Lwów nazywany jest „Tygrysowem” – a więc dość oczywiste określenie, Kraków „Gawronowem”, a Wiedeń „Chaopolis”. Można zatem stwierdzić, że wszystkim trzem miastom dostało się po równo. Jan Lam nazywa Lwów „Łykopolem” – od określenia „łyk”, czyli drobniomieszczanin – a w innym miejscu nazywa Lwów „Wilkowem”, stolicą „Milicji i Landweirii”. Przyznamy, że nie są to określenia pozytywne... Franciszek Konarski używa określenia – „Lwówek, perła Galilei”, natomiast Adolf Nowaczyński jest autorem określenia „ten wielki Berdyczów” i innego „Plwów”, które ma niewątpliwie związek z animozjami w środowisku literackim i pewnie rozmaitymi recenzjami. Henryk Sienkiewicz, zawiadzony z powodu niemożności wystawienia we Lwowie swej sztuki *Na jedną kartę*, w 1878 r. bardzo rozgoryczony pisze: „przecież obok Lwowa jest jeszcze i Kraków”. Ale te wypowiedzi to jest przede wszystkim XIX wiek. Natomiast przychodzi

I wojna światowa, przychodzi 1918 r. i te wydarzenia zupełnie zmieniają naszą optykę, którą tak samo zmienia II wojna światowa i utrata Lwowa. Dlatego też te negatywne, XIX-wieczne określenia Lwowa dla czytelnika emocjonalnie związanego z tym miastem, mogą wydawać się obrazoburcze.

Bez wątplenia tak. Czy w związku z tym nie może dojść do sytuacji, że emocjonalnie związana ze Lwowem rodzina, spadkobiercy ni praw autorskich do takiej negatywnej wypowiedzi, nie wyrazi zgody na jej użycie?

Prawda? To jest właśnie problem spadkobierców praw autorskich Adolfa Nowaczyńskiego. Odmówili zgody na użycie określenia: „Plwów” w księdze cytatów.

Czy w jakiś sposób motywowali odmowę zgody?

Udzielili zgody na trzy inne cytaty, m.in. na ów „Wielki Berdyczów”. Biorąc pod uwagę, że wypowiedzi Adolfa Nowaczyńskiego pochodzą z roku 1908 i 1911, czyli minęło prawie 100 lat od momentu, kiedy ich przodek to powiedział, to tutaj te 70 lat praw autorskich wydaje się być bardzo krzywdzące.

Lwów był miastem wielokulturowym, stolicą trzech biskupstw, z dość liczną diasporą żydowską. Czy elementy tej wielokulturowości są też widoczne w tych cytatach?

Tak. Wielokulturowość Lwowa jest nieustannie podkreślana w wypowiedziach cytowanych autorów. I to obojętne, czy będzie to wypowiedź polskiego autora, czy jakiegoś podróżnika, gościa we Lwowie – Niemca, Austriaka czy Duńczyka. Ja starałam się nie wchodzić na teren literatury ukraińskiej. Była to świadoma decyzja, gdyż natknęłabym się na ogromne trudności. Po pierwsze – trudności językowe, po drugie nie ma wciąż zbyt wielu tłumaczy na język polski, a poza tym ogrom materiału znajduje się przecież po stronie ukraińskiej i tkwi w rękopisach i w prasie. Tak więc jest oczywiste, że taki tom winni zestawić badacze ukraińscy. Oczywiście będzie on przesunięty w czasie w stosunku do naszej książki cytatów, bo będzie uwarunkowany rozwojem literackiego języka ukraińskiego.

Skąd przybywali obcokrajowcy do Lwowa i co ich tu sprowadzało?

Bardzo często byli to duchowni przyjeżdżający z Rzymu, czyli relacje nuncjuszy apostolskich. Relacje posłów weneckich czy genueńskich, którzy z przyczyn handlowych tu docierali. Relacje posłów do królów polskich czy w końcu – podróżników wędrujących na wschód. Taką najstarszą wzmianką w tej kategorii jest opis pochodzący od rycerza Gilberta de Lannoy, który odwiedza Lwów w latach dwudziestych XV w. Jest tam pięknie podejmowany, wspomina o gościnności mieszczan lwowskich i o tym, jak to tańczył z pięknymi we Lwowie niewiastami, natomiast wcześniej podejmowany był przez króla Władysława Jagiełłę, który polował w okolicy Lwowa. Opis tego spotkania ów rycerz też utrwalił we swych wspomnieniach. Poczynając od pierwszego rozbioru Polski, mamy cały wysyp relacji i opinii ze strony Austriaków. To nie są pozytywne relacje. Mówią one zazwyczaj o zacofaniu cywilizacyjnym Galicji i Lwowa w stosunku do Austrii. A późniejsze czasy to już relacje osób, które do Lwowa przyjeżdżały turystycznie.

Czy ta książka nie jest swoistym hołdem, jaki pani składa wywodzącej się stamtąd rodzinie ze strony pani matki?

Oczywiście, że tak. Bez korzeni lwowskich fascynacja tym miastem nie przybrałaby takiego rozmiaru. We Lwowie osiadł około 1874 roku mój prapradziadek urodzony w Dukli, absolwent medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nazywał się Józef Kilarski. Ze wstydem muszę przyznać, że chyba nie był dobrym lekarzem, aczkolwiek był prymariuszem okulistyki w szpitalu lwowskim, to jednak bardzo szybko zwinął swą dobrze się zapowiadającą prywatną praktykę, a mieszkał przy Rynku 15. Zamiast tego uciekł w stronę rolnictwa, być może odezwały się korzenie chłopskie! Ten lekarz okulista kupił folwark pod Lwowem, ale też i tam nie odniósł znaczącego sukcesu. W rodzinnych papierach wiele znajduję o jego kłopotach finansowych, długach i pożyczkach. Ale nie do końca był nieudacznikiem w tym gospodarowaniu, bo jednak stać go było na zakup kamienicy we Lwowie przy ul. Kurkowej 25, którą to kamienicę przekazał jako posag swojej najstarszej córce, mojej prababce. I ta właśnie kamienica była domem rodzinnym mojej babki, matki i jej trzech sióstr: Eleonory, Janiny i Felicji Reichertównie.

Nazwisko Reichert budzi pewne skojarzenia u Lwowian, podobnie jak u historyków sztuki.

Chodzi panu z pewnością o Janinę Reichert-Toth, rzeźbiarkę i absolwentkę Lwowskiej Szkoły Przemysłowej, która była jedną z trzech pierwszych kobiet studiujących na ASP w Krakowie. Niestety tych studiów nie ukończyła, nie może zatem szczycić się, że była pierwszą kobietą, absolwentką tej uczelni. We Lwowie otworzyła pracownię rzeźbiarską i była, obok Luny Drexlerówny, w latach dwudziestych i trzydziestych XX w. bardzo znaną artystką wygrywającą konkursy na pomniki legionowe, np w Brzeżanach, a równocześnie była autorką wystroju wnętrza kościołów św. Marii Magdaleny, św. Elżbiety – w stylu *art deco*. Janina Reichert-Toth dosłownie tuż przed wybuchem wojny miała zagwarantowaną realizację dwóch pomników we Lwowie. Oba zostały zniszczone, zanim mogły być odsłonięte. Pomnik Marii Konopnickiej – monumentalna rzeźba Oracza – został zniszczony przez Niemców, zaś pomnik biskupa Władysława Bandurskiego – przez Rosjan. Nie doczekał się też realizacji pomnik Piłsudskiego w Katowicach, gdzie Janina Reichert-Toth zdobyła w 1938 r. nagrodę. Pamiętam jej gorzkość, gdy mówiła o swoich zniszczonych dziełach.

Jakie były dalsze, już krakowskie losy tej lwowskiej rzeźbiarki?

W 1946 r. Janina Reichert-Toth i jej mąż, Fryderyk Toth (również rzeźbiarz, kapitan Wojska Polskiego i oficer Armii Krajowej oraz – co istotne dla miłośników sportu – zawodnik lwowskiej „Pogoni”, znany jako Toth I) – osiedli w Krakowie. Byli uczestnikami prac przy renowacji ołtarza Wita Stwosza. Janina nigdy już nie doszła do swej formy twórczej. Lata pięćdziesiąte zresztą nie sprzyjały tematyce, której mogłaby się podjąć. W tamtych czasach dominowały zamówienia na pomniki poświęcone bohaterstwu Armii Czerwonej i dekoracje na pochody pierwszomajowe... Ich dom do lat osiemdziesiątych był jednym z lwowskich punktów na mapie Krakowa. Te wspomnienia oczywiście w ogromny sposób wpłynęły na mój stosunek do Lwowa i jego postrzeganie. On towarzyszył mi od bardzo wczesnego mego dzieciństwa.

Zatrzymajmy się chwilę w domu państwa Tothów – rozumiejąc swoistym salonie artystycznym Krakowa?

Salon to może zbyt wiele powiedziane – to byli ludzie ogromnie oddani swej pracy, w mniejszym stopniu życiu towarzyskiemu. Ale Janina miała swój obyczaj – *jour fix*, czyli „dzień oznaczony”. To był czwartek. I było wiadomo, że we czwartek, od określonej godziny, można spokojnie przychodzić do niej, że będzie herbata, kawa, ciastka, że gospodarze przyjmują. Przeniosła na grunt krakowski, w rzeczywistość PRL-u, obyczaj rodem z XIX wieku. Oczywiście były to spotkania kameralne. Oni mieli określony krąg znajomych, zresztą byli już w wieku, kiedy zbyt wielu nowych znajomości się nie zawiera. Moja babcia – absolwentka Uniwersytetu Jana Kazimierza, dr Maria Peterowa – natomiast wyemigrowała ze Lwowa jeszcze przed wojną, w 1933 r. Była nauczycielką, we Lwowie uczyła u sióstr Nazaretanek, a w Krakowie została dyrektorką szkoły odzieżowej przy ul. Syrokomli, ale w domu przy Kurkowej cały czas miała swoje mieszkanie.

Jako historyk pewnie odbyła pani rodzinną pielgrzymkę do Lwowa.

Oczywiście. Pierwszy raz z rodzicami w 1962 roku przy okazji uniwersyteckiej wycieczki do Bułgarii. Udało się wyrwać wtedy trzy godziny na spotkanie ze Lwowem. Było to bardzo wzruszające, szczególnie dla mojej mamy, która po wielu latach mogła spojrzeć na swe rodzinne miasto, na dom, w którym spędzała początki swego życia. Drugi raz pojechałam tam sześć lat temu. Moja mama już nie żyje, nie ma też nikogo, kto pamięta czasy w kamienicy przy Kurkowej. Próbowałam też znaleźć groby rodzinne na Cmentarzu Łyczakowskim. Mimo że posiadałam dość dokładne informacje z archiwum – nie udało się ich znaleźć. Prawdopodobnie już nie istnieją. To nie byli zamężni ludzie. Babcia, Maria Peterowa, była przecież nauczycielką, dziadek Marian Peter, który zmarł w 1932 r. – sędzią. Zarówno sędzią sądu karnego, jak i sędzią piłkarskim – co zawsze z dumą podkreślam. Pradziadek – Józef Reichert – był również prawnikiem, a prapradziadek – już wspomniany, lekarzem okulistą. Rodzina była rozproszona, nie było grobowca rodzinnego, a praw-

dopodobnie groby z krzyżem lub płytą, które bardzo łatwo można było zastąpić innym pochówkiem.

W pani dorobku naukowym znajdziemy opracowanie Cmentarza Rakowickiego w Krakowie, ale i naukowe opracowania cmentarzy w Anglii czy Walii, gdzie odnalazła pani wiele polskich mogił. Czy nie uważa pani, że Cmentarz Łyczakowski, mimo iż posiada wspaniałe opracowanie autorstwa prof. Stanisława Nicieja, zasługuje na nową kwerendę, na nowe szczegółowe opracowanie historyczne?

Zdecydowanie tak. Nicieję wykonał imponującą robotę i był pierwszym, który taką pracę wykonał w warunkach ogromnie trudnych, w pionierski sposób przybliżając w czasach komuny historię Lwowa. Jedyńm mankamentem książek Nicieja jest to, że ogromny materiał biograficzny i fotograficzny tam zgromadzony nie pozwala odnaleźć opisywanych grobów na cmentarzu. Tam nie ma podanych lokalizacji grobów. Tak więc jest dla badacza jeszcze duże pole do popisu, by stworzyć przewodnik umożliwiający znalezienie mogiły. Mnie marzyłaby się kilkutomowa seria poświęcona cmentarzowi Łyczakowskiemu, opracowanie podobne temu, które realizują od pewnego czasu w oparciu o badania krakowskiego cmentarza na Rakowicach – a więc osobne tomy poświęcone profesorom wyższych uczelni, artystom, lekarzom.

Kończąc rozmowę, prosilibym jeszcze o cytata na zakończenie...

Niech zatem będzie to cytata z 1885 r., ze Śmigusa”:

*Nie ma jak nasz Lwów kochany
Czyś jest znany, czy nieznany,
Czyś jest blagier, czyś co warty,
Zawsze dla cię Lwów otwarty!*

Serdecznie dziękuję Pani za rozmowę.

KAROLINA GRODZISKA – absolwentka historii UJ, dr nauk humanistycznych, wieloletni pracownik, a od 1995 r. dyrektor Biblioteki PAU i PAN w Krakowie przy ul. Stawkowskiej 17. Autorka prac o historii krakowskich i londyńskich cmentarzy oraz *Księgi cytatów o Krakowie* (Wydawnictwo Znak, Kraków 2004) i przygotowanych do druku *Księgi cytatów o Lwowie* oraz biografii rzeźbiarki Janiny Reichert-Toth.

Piotr Marek Stański

POMNIKI MICKIEWICZA W KRAKOWIE i LWOWIE

Pierwszy pomnik Mickiewicza na ziemiach polskich, wykuty w piaskowcu przez osobiście go jeszcze znajdującego Władysława Oleszczyńskiego, stanął w pruskim podówczas Poznaniu zaledwie dziesięć lat po śmierci poety. Z uwagi, że władze nie wyraziły zgody na jego ustawienie na jakimkolwiek placu publicznym, znalazł dla siebie miejsce na terenie przykościelnym przy ul. św. Marcina. Odlany następnie w brązie i wzbogacony o dodatkowe figury alegoryczne, dotrwał do II wojny światowej.

W latach 70. XIX wieku w kręgu krakowskiej młodzieży akademickiej zrodził się pomysł, aby i w podwawelskim grodzie uczcić wieszczka okazałym monumentem. Wszelako impetu całej sprawie nadały dopiero uroczyste obchody pięćdziesięciolecia twórczości Józefa Ignacego Kraszewskiego, połączone z poświęceniem przebudowanych Sukiennic. Patronat nad przedsięwzięciem objął sam jubilat, dzięki czemu zawiązał się niebawem komitet pomnikowy, który pod koniec roku 1881 rozpiisał otwarty konkurs sondażowy, mający dostarczyć ogólnego poglądu na temat kształtu przyszłego monumentu oraz jego usytuowania. Spłynęło 27 prac, w tym 7 modeli gipsowych, które w lutym 1882 wystawiono w sali Sukiennic, zw. Langerówką. Ukrywając się pod godłami, w turniejowe szranki stanęły również dwaj uznani malarze, Henryk Siemiradzki i Jan Matejko. Jury, zebrane pod przewodnictwem Pawła Popiela, nagrodziło tysiącem franków Tomasza Dykasa, w którego ujęciu Mickiewicz przedstawiony był w pozycji siedzącej, a cokół zdobiła płasko-rzeźba, przedstawiająca pojednanie Protazego i Gerwazego. Zaledwie jednym głosem pokonał on Teodora Rygiera, w którego projekcie po raz pierwszy pojawił się pomysł połączenia pomnika z sadzawką. Dwa lata później ogłoszono już właściwy

konkurs, w którym mogli uczestniczyć wyłącznie polscy artyści, z zastrzeżeniem, że jeśli nie udało się wyłonić zwycięzcy, to zamówienie powierzone zostanie rzeźbiarzowi zagranicznemu. Jego termin upływał 1 lutego 1885, a pod uwagę brano wyłącznie modele gipsowe. I tym razem publiczna wystawa w Sukiennicach poprzedziła dwudniowe obrady sądu konkursowego pod tym samym, co poprzednio przewodnictwem. Także laureatem I nagrody w wysokości trzech tysięcy złotych reńskich okazał się zwycięzca z poprzedniej edycji. Zgodnie z wymogami regulaminowymi Mickiewicz uchwycony został w pozie stojącej. Dwie postacie kobiece: alegorie Przeszłości i Przyszłości – przysiadły u podnóża postumentu z bijącym wodotryskiem, zw. źródłem mądrości, w związku z czym niektórzy jurorzy sugerowali, aby woda była poślaczana, a szydercy naśmiewali się, że *zamiast bardzo zwyczajnego posągu poety, mógłby tam stanąć posąg jakiegoś inżyniera wodociągów i kanalizacji, a Przeszłość i Przyszłość drzemałyby tak samo*¹.

Zdobywca drugiej lokaty Sławomir Celiński uskrzydlił swój dość akademicki projekt personifikacją wzlatającej Poezji, a trzeciej Tadeusz Barącz (przyszły autor pomnika Jana III Sobieskiego na Wałach Hetmańskich we Lwowie) po bokach cokołu umieścił parę, z której kobieta podtrzymywała tarczę z imieniem i nazwiskiem Mickiewicza, a na dolnym, ośmiokątnym stylobacie znalazły się kartusze z Orłem i Pogonią.

W momencie rozpoczynania posiedzenia dostarczono pracę Jana Matejki, która z przyczyn oczywistych nie mogła być uwzględniona, ale wraz z jego listem przekazana została pod rozwagę komitetowi pomnikowemu. Przytoczony werdykt wzbudził żywe polemiki i protesty, płynące zwłaszcza z Warszawy, skąd pochodziła przeważająca część funduszy i gdzie odbywały się również pokonkursowe wystawy. W numerze „Wędrowca” można było się natknąć na radę, aby *postawić na drugim końcu rynku drugą podobną studnię, tylko z posągiem Stańczyka* (być może przez

wygląd na decydujący głos tego ugrupowania w jury i samym komitecie – przyp. P.M.St.), *aby sobie w niej ręce umyć po wydaniu takiego wyroku*. Wszystko to skłoniło do wycofania się z realizacji któregośkolwiek z wyróżnionych projektów. Tymczasem Jan Matejko wystąpił z kolejnym pomysłem, nawiązującym częściowo do wizji Dykasa z pierwszego konkursu, a co za tym idzie – wyobrażającym Mickiewicza siedzącego, z figurami uosabiającymi Wisłę (dziewczyna), Niemen (starzec) i Dniepr (młodzieniec w typie rusińskim). W tej sytuacji komitet zlecił wykonanie na jego podstawie modeli rzeźbiarskich Teodorowi Rygirowi i Waleremu Gadowskiemu. Pokazano je w Sukiennicach w lutym 1886, ale nie zyskały większego uznania.

Skoro zatem wszystkie te kroki nie przyniosły oczekiwanego rozstrzygnięcia i nie wyłoniły zdecydowanego faworyta, postanowiono jaszczcze raz odwołać się do formuły konkursowej. W styczniu 1888 jury pod przewodnictwem Lucjana Wrotnowskiego, wiceprezesa warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, pierwszym miejscem i trzema tysiącami złotych reńskich uhonorowało Cypriana Godebskiego, powracającego do swojej propozycji z pierwszego konkursu, a mianowicie Mickiewicza siedzącego i wieńczonego wawrzynem przez alegoryczną postać Sławy, tyle że obecnie pomnik posiadać miał bardzo okazałą oprawę architektoniczną, złożoną z kilkupoziomowego cokołu, ozdobionego posągami symbolicznymi (umieszczony w centralnej wnęce nagi młodzieniec, dosiadający pegaza) oraz Mickiewiczowskich bohaterów: Konrada Wallenroda, Grażyny, księdza Robaka i Guślarza. Stało się to zarazem powodem jego faktycznej dyskwalifikacji, albowiem koszty znacznie przekroczyłyby zgromadzony kapitał w wysokości stu tysięcy złotych reńskich.

Druga nagroda przypadła Teodorowi Rygirowi, również przydającemu Mickiewiczowi do towarzystwa figury Konrada Wallenroda, Grażyny, Zosi i Tadeusza, a trzecia – Waleremu Radowskiemu, u którego pojawiały się bardziej ogólne alegorie, m.in. zapożyczonych od Matejki rzek (Wisły, Niemna i Dniestru). Tym razem, aby uniknąć kontrowersji, zdecydowano się na urządzenie wystawy pokonkursowej. Żywiłone obawy okazały się jednak na wyrost, ponieważ sądy opinii publicznej i jury były nad wyraz zgodne. Atoli do realizacji wybrano projekt Teodora Rygiera i to nie ten nagrodzony, lecz zgłoszony do rywalizacji pod innym godłem, skądinąd – zdaniem piszące-

go te słowa – znacznie bardziej udany. Czołowi protagoniści tych rozgrywek: Tomasz Dykas, Cyprian Godebski, Teodor Rygier i Walery Gadowski stawali do wszystkich trzech edycji. Ich największy przegrany – Tomasz Dykas – częściowo zrekompensował sobie doznany zawód – wykonując pomniki Mickiewicza dla Przemyśla, Tarnopola i Złoczowa. W październiku 1897 zaproponował lwowskiemu magistratowi realizację monumentu po cenie kosztów własnych lub za przydział gruntu pod pracownię, ale z oferty jego nie skorzystano. Z kolei znacznie skromniejsze od konkursowego dzieło Godebskiego stanęło dokładnie w dniu setnych urodzin poety w Warszawie w całkowitej ciszy, gdyż zakazano wszelkich przemówień.

Równie zażarte spory co do kształtu pomnika toczono odnośnie do jego lokalizacji. Naprzód rozważano Rynek, ale raczej od ul. Szewskiej, wzniesienie na Gródku naprzeciw siedziby Straży Pożarnej oraz plac: Dominikański, Franciszkański (gdzie po latach stanie Józef Dietl Dunikowskiego) i Szczepański. Walery Rzewuski, radny i pionier krakowskiej fotografii, wydał broszurkę, w której opowiadał się za ustawieniem pomnika Mickiewicza obok wznoszonego właśnie Collegium Novum (w miejscu obecnego Collegium Witkowskiego) i przeniesio-



Pomnik Mickiewicza we Krakowie

Mickiewicz i wieńczący go laurem geniusz zwróceniu byli *en face*, a na szczycie znajdowała się pięcioramienna gwiazda w odróżnieniu od latarni z wiecznym płomieniem ze zwycięskiego projektu Popiela. Trzecie zajął Wacław Szymanowski (twórca przyszłego pomnika Chopina w warszawskich Łazienkach), który zawiedziony takim obrotem sprawy wyróżnienia nie przyjął. U niego posąg wieszca stał na górze kolumny i oglądany z dołu, nieco się gubił. Wszystkie 20 prac można było obejrzeć od 12 grudnia w Pałacu Sztuki na Placu Powystawowym. We Lwowie szczęśliwie uniknięto też krakowskiego błędu lokalizacyjnego (rozpatrywano m.in. Ogród Jezuicki naprzeciw Sejmowi, obecnego Uniwersytetu), sytuując pomnik na idealnym pod względem rozmiarów placu Mariackim, gdzie do roku 1903 znajdowała się studnia ze statua Matki Boskiej, przeniesiona bliżej Wałów Hetmańskich.

Miesiąc przed odsłonięciem krakowskiego pomnika Mickiewicza, 22 maja, we Lwowie miało miejsce poświęcenie kamienia węgielnego pod stawianą kolumnę, o której prezydent miasta Godzimir Małachowski mówił w swym wystąpieniu, że *prowadzić nas będzie jako ów słup promienisty, co niegdyś w ciemnościach wiódł Izraela lud*⁴. Podobnie porównywał dzieje Polski i Izraela oraz Mickiewicza i biblijnych proroków rabin Ezechiel Caro podczas sobotnich modłów 21 maja w synagodze na Starym Rynku. Ponadto odśpiewano wtedy *Alleluja* Rossiniego przy akompaniamencie organów oraz kantatę księdza Franciszka Walczyńskiego do słów Ignacego Nowickiego. „Gazeta Lwowska”⁵ tak pisała o dniu uroczystości: *Poranek wstał w całej krasie rozbudzonej do życia przyrody, w zło tych blaskach majowego słońca*. Nie można było tego powtórzyć o dniu odsłonięcia, niedzieli 30 października 1904, ponieważ jak donosił warszawski „Tygodnik Ilustrowany”⁶: *ranek zasępił nieco twarze tysięcy, mżył bowiem niepocziwy deszcz jesienny, dokuczało przenikliwe zimno, ale jednocześnie, jak pisała „Słowo Polskie”⁷: nam się zdawało, że to wiosna, że słońce promienne świeci. Zimno chodziło pomiędzy tłumami i lodowymi rękami próbowało opasać ciała, ale nas grzało nasze serce, nas oświecał i opromieniał blask, bijący od tego pomnika*. Po na-



Pomnik Mickiewicza we Lwowie

bożeństwie w katedrze łańcierskiej przeniesiono się na plac Mariacki, gdzie zebrały się kilkudziesięcioletnie tłumy. Przy wejściu do świątyni oraz na zamkniętą część placu przy pomniku obowiązywały zaproszenia, których wydano ponad dwa tysiące, również dla gości zamiejscowych, jak syn poety Władysław, któremu kilka dni później Sejm przyzna dożywotnią dotację, czy V. Srb, który w międzyczasie awansował na prezydenta Pragi. Bronisław Radziszewski, przewodniczący komitetu pomnikowego, przekazując *to zbożne dzieło na wieczystą własność gminy miasta Lwowa*, wyraził przekonanie, że *kolumna zrośnie się z tym grodem, a myśli Mickiewicza przenikną wszystkich jego mieszkańców, zapewniając im przyszłość piękną i szczęśliwą*⁸.

W tym kontekście jeszcze bardziej rzucała się w oczy całkowita nieobecność przedstawicieli Ukraińców, co przemawiający potem prezydent Małachowski skomentował w taki oto sposób: *Wieszczu (...) polejesz łzy twe czyste, rzęsisie, gdy ujrzysz, jak bratnie narody, dzieci jednej i tej samej ziemi ojczystej, gubią się w sporach wzajemnych na pociechę i dla korzyści obcych wrogów. Oby wielki duch miłości Wieszczu naszego wstąpił w serca ludów tę ziemię zamieszkujących, abyśmy tej błogiej docze-*

kali się chwili, że bratnie nasze narody podadzą sobie bratnią dłoń dla wspólnej pracy, dla dobra wspólnej naszej ojczyzny⁹. Za to włączyły się w obchody, zarówno krakowskie, jak i lwowskie, zamieszkujące te miasta mniejszości: żydowska i czeska. W dniu odsłonięcia, według kalendarza judaistycznego 29 miesiąca Siwan 5658 roku, odprawione zostały w Krakowie modły w Starej Synagodze przy Szerokiej oraz postępowej, czyli Templum przy Podbrzeziu, a we Lwowie przy Żółkiewskiego, podczas gdy kuchnia przy Kotlarskiej wydawała ubogim posiłki bez względu na wyznanie. Przedstawiciele kongregacji oraz stowarzyszeń rzemieślniczych brali udział w pochodzie na Wawel oraz przemarszu z wieńcami do kolumny, podobnie jak członkowie „Czeskiej besedy”, działającej w obydwu miastach, których pozdrawiano okrzykami *Na zdar (Powodzenia)*. Z kolei podczas mszy w katedrze ormiańskiej homilię wygłosił popularny we Lwowie arcybiskup Józef Teodorowicz, który wykażał, że socjalistyczne poglądy Mickiewicza, *będące powodem jego starcia z Piusem IX w trakcie audyencji 25 marca 1848, znalazły później odbicie w społecznych encyklikach Leona XII*.

W imieniu włościan przemawiał na obydwu ceremoniach poseł Jakub Bójko, malarznicza postać galicyjskiego i austriackiego parlamentarzysty. W Krakowie nie dopuszczono do głosu przedstawiciela socjalistów, ale radykalne społecznie akcenty pojawiły się w wystąpieniu reprezentanta młodzieży Macieja Szukiewicza, który przywołał hasło Mickiewicza *przez lud do wolności* oraz uczynił aluzję do wspomnianej audyencji, w czasie której Mickiewicz rzucił miał papieżowi w twarz, że *duch boży jest w bluzach paryskiego ludu*. We Lwowie zaś dokonał się postęp i do zebranych zwrócił się radny Józef Hudec, który zapowiedział, że *u stóp kolumny poświęconej pamięci Wieszczka (...) składa proletariat polski trzech zaborów wieniec cierniowy*, co uczyniła potem delegacja Partii Socjalno-Demokratycznej. Prawdopodobnie z tego też powodu marszałek Badeni zrezygnował z wystąpienia, zadowolając się w przeddzień mową na forum galicyjskiego Sejmu.

Jak w wyborach głosowano wówczas w kuriach, zgodnie z cenzusem społeczno-majątkowym, tak i bankiety organizowano

według klucza korporacyjno-stanowego. Oficjalny dla gości z Czech i Lwowa wydano we „Floriance”, uniwersytecki w „Jagiellonii”, studentów w Czytelni akademickiej, a przyjęcie dla włościan z udziałem m.in. Jana Kasprowicza miało miejsce w Parku Krakowskim. Natomiast tych, którzy nie zmieścili się w żadnej z tych kategorii lub o których najzwyczajniej zapomniano, gościł w swojej rezydencji przy ul. Szlak Stanisław Tarnowski. Segregacja społeczna obowiązywała również we Lwowie. Rauty odbywały się w Ratuszu, po spektaklu *Konfederatów Barskich* w Teatrze Wielkim, Kasyynie Miejskim i Kole Literacko-Artystycznym. Towarzystwo Szkół Ludowych podejmowało włościan w Galicyjskiej Kasie Zaliczkowej, podobnie jak Stowarzyszenie rękodzielnicze „Gwiazda”, podczas gdy „Skala” zajęła się delegatami kółek rolniczych i straży pożarnych. Dwóm ostatnim imprezom towarzyszyły ponadto żywe obrazy o treści patriotycznej.

Po zapadnięciu zmroku rozpoczęły się iluminacje. W Krakowie *pomnik oświetlony był czterema pochodniami gazowymi, na kandelabrach umieszczonymi. Na Sukienicach zaś płonęły gwiazdy gazowe, piramidy oraz za pomnikiem litera M umieszczona wśród płomieni*¹⁰. We Lwowie królowała już niepodzielnie elektryczność: *A światło owo mieniło się w rozmaite barwy: to było czerwone, jakby na pomnik padał odbłask pożaru, to lśniło na nim melancholijnym zielonym blaskiem księżycy, to kładło jakieś zaziemskie tony liliowe, to znowu ukazywało kolumnę w potężnych i zdrowych blaskach złotych pełnego siły i ufności w sobie dnia pracowitego*¹¹.

Na Mickiewiczu starano się też zarobić. Fabryka wyrobów platerowanych „Loria” z Podgórza wypuściła na rynek metalowe popiersia poety, figurki Zosi karmiącej gołębie oraz Gerwazego i Protazego. We Lwowie natomiast były to podobizny poety z czekolady firmy Jana Hoflingera oraz papeteria z jego wizerunkiem, wyprodukowana w wytwórni S.W. Niemojowskiego.

* * *

W 85-lecie śmierci Mickiewicza, latem 1940, Niemcy w Krakowie strącili go z cokołu. Podobny los spotkał pomnik warszawski. We Lwowie natomiast odbyły się pod

Anna Piwowarska

Życie towarzyskie artystycznej braci (3)

LWOWSKIE ZAŚWIECIE

Dom ukryty w zieleni drzew, trochę jakby poza centrum tętniącego życiem Lwowa przełomu XIX i XX wieku. To **Z a ś w i e c i e**, które przez kilkanaście lat było lwowskim salonem literackim. Stało się miejscem niezwykłym dla każdego, kto kochał poezję i spotkania towarzyskie. Dom ten dla swojej małżonki Maryli (Marii z Młodnickich)¹ nabył Wacław Wolski², znany galicyjski przemysłowiec. Pani domu szybko dostrzegła wyjątkowy urok tego domu, tworząc w nim swoisty azyl dla młodych lwowskich literatów.

Miejsce ciche i ustronne przyciągało miłośników literatury, a tak w swoich wspomnieniach opisuje Zaświecie córka Maryli Wolskiej, Beata Obertyńska³: *...dom ten leżał naprawdę jakby poza światem. Z czasem miasto podплыnęło do nas tak blisko, że znaleźliśmy się w śródmieściu (...) cała rozległa posiadłość mieściła się w widłach*

dwóch karkołomnie stromych ulic: Cytadelfnej⁴ i Kaleczej, nazywanej tak nie od kalezienia nóg, tylko od nazwiska jakiegoś zaśluzonego lwowskiego lekarza. Ojciec nabył południową, najwyżej położoną część wzgórza z szeroko rozsiadłym domem i kwadratową, wysoko nad dachem wzniesioną wieżą.

Na Zaświciu oprócz krewnych i znajomych bywali: Ostap Ortwin, krytyk literacki; Edward Porębowicz, znany i ceniony romanista, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, będący jednocześnie tłumaczem i poetą; Jan Kasprowicz, znany wówczas autor *Hymnów*; Stanisław Antoni Mueller – powieściopisarz, a z wykształcenia adwokat⁵; oraz poeta Józef Ruffer⁶, przyjaciel i rówieśnik Staffa, uważa-



Wacław i Maryla Wolscy

► radzieckim protektorem uroczystości jubileuszowe. Tamtejszy monument szczęśliwie oparł się zawieruchom historii, jak to przewidywał w swoim przemówieniu Bronisław Radziszewski, utrzymując, że *nie rozwali granitu kolumny czas, ni wichler, ni burza*⁷. Trwa ona niewzruszenie, podczas gdy sam plac nosił różne nazwy (Ferdynanda, Mariacki, Mickiewicza), a miasto na przestrzeni ostatnich stu lat zmieniało kilkakrotnie państwową przynależność.

¹ „Wędrowiec” nr 12 z 1885.

² Sprowadzenie prochów na Wawel nastąpiło 4 lipca 1890.

³ „Czas” nr 145 z 28 VII.

⁴ „Gazeta Lwowska” nr 116 z 24 V.

⁵ Nr 116 z 24 V.

⁶ „Tygodnik Ilustrowany” nr 46 z 12 XI.

⁷ „Słowo Polskie” nr 521 z 3–4 X.

⁸ „Gazeta Lwowska” nr 250 z 1 XI.

⁹ „Kurier Lwowski” nr 303 z 31 X.

¹⁰ „Czas” nr 146 z 29 VI 1898.

¹¹ „Słowo Polskie” nr 512 z 31 X.

¹² „Dziennik Polski” nr 508 z 31 X 1904.

W tekście zostały wprowadzone niewielkie skróty, za co Redakcja przeprosza Autora i Czytelników.

ERRATA

W numerze 3 na str. 26 po prawej stronie w wierszu 14 od góry znalazło się przykre przekręcenie nazwiska p. Marka **Choińskiego** (wydrukowano mylnie *Chabieńskiego*). Pana Choińskiego, p. dyrektora Graniczkę i Czytelników serdecznie przepraszamy.

ny przez ówczesny Lwów za liryka równie jak Staff utalentowanego.

Sądzę, że na uwagę zasługuje najmłodszy uczestnik tych spotkań, wspomniany – Leopold Staff. To właśnie pojawienie się tego poety na Zaświeciu była początkiem powstania grupy, do której należeli młodzi poeci, określani mianem *Płanetników* (nazwa wzięła się w nawiązaniu do istot przebywających w chmurach). Nie posiadali programu poetyckiego, łączyła ich miłość do poezji.

Na Zaświecie młodzieńczego wówczas Staffa przyprowadził brat Maryli Wolskiej – Adam Młodnicki⁷. Jak się później okazało, młody poeta podbił serca wszystkich zarówno jako człowiek, jak i poeta. *To wielka radość takie odkrycie! I Mama nie byłaby sobą, gdyby się nim nie ucieszyła, z właściwym sobie entuzjazmem. W dodatku Staff był miły, prosty, inteligentny, bez krzty pozycji (...), miał na co dzień w sposobie bycia wdzięk i swobodę swojskiego, dowcipnego chłopca.*

W bardzo szybkim tempie zaprzyjaźnił się z Panią Wolską, jak i z wszystkimi mieszkańcami Zaświecia. *Na Zaświecie nie trzeba było go „zapraszać”. Przychodził i był. Lubili go wszyscy począwszy od babci i Tatka, a skończywszy na naszym (...) jamniku Chapsie, no i dzieciach oczywiście. Staff bawił się z nami równie dobrze jak i my z nim...*

Maryla Wolska ceniła go jako artystę, kolegę „po fachu” i bardzo liczyła się z jego

zdaniem. W atmosferze wzajemnej sympatii udzielali sobie rad i wskazówek. Przyjaźń z lwowską poetką wpłynęła korzystnie na twórczość młodego Staffa, stworzyła fundamenty dla dalszej twórczości.

Podczas spotkań na Zaświeciu każdy z uczestników czytał swoje wiersze, często pierwszy raz dla szerszego grona. Później wspólnie je omawiano i komentowano. Rozmowy o poezji odbywały się w domu – tu najczęściej Beata Obertyńska widywała Ostapę Ortwinę i Leopolda Staffa – reszta towarzystwa wolała spędzać czas na świeżym powietrzu, zachwycając się pięknem otaczającej przyrody. Jak pisze Obertyńska: *Siadali na trawie, dostawali kromkę chleba z masłem oraz owoce, czereśnie i poziomki. Widzę ich w dziś w nieodłącznych pelerynach, chudych, o szczupłych owalnych twarzach, gubiących się w skąpych, niedbałych zarostach. Ortwin nie nosił brody, tylko wąsy. Głowę miał za to w kruczych kudłach (...) był bardzo barczysty, o bardzo krótkiej szyi, ale bardzo wysokich ramionach (...), po nazwisku pamiętam Kasprowicza, Twardowskiego i Porębowicza (...).* Uczestnicy tych spotkań z główną siedzibą na Zaświeciu często, zwłaszcza latem, wyjeżdżali w Karpaty do Storożki i Perepelnik, co nie wątpliwie pogłębiało ich przyjacielskie stosunki.

Co przyciągało do willi Maryli Wolskiej? Nie tylko sympozja poetyckie organizowane na ganku obrośniętym bluszczem lub pokoju jej pracy, ale również urok osobisty gospodyni, która (...) *była wielką damą, o śladach niezwykłej urody (...).*

Kim była Pani Wolska dla młodych poetów? Autorytetem i Mistrzem. Zawsze wierna swej pasji, jaką była poezja. Rodzinna atmosfera, matczyzna opieka, troska i artystyczna intuicja sprawiały, że każdy czuł się jak w domu. *Nie chodziło o jednostki, które same dla siebie mogły być prawdziwymi i pełnymi ludźmi z krwi i kości, ale o zespół, w którym zbierały się zainteresowania każdemu z nich wspólne. W takim zespole ocierają się zwykle indywidualne nierówności, dopasowują się do wspólnie zrozumiałych szablonów, gdzie forma góruje ponad treścią.* Po kilku latach każdy z *Płanetników* poszedł swoją drogą. Jak pisze w swoich wspomnieniach Beata Obertyńska: *I tak Ruffer zakochał się i ożenił z jakimś uczciwym, prostym stworzeniem (...)* Co się stało



z Mullerem, nie wiem. Napisał pono jedną dobrą książkę, powieść, a potem ucichło (...). Co z Ostapem Ortwinem – wiadomo. Wybił się jako cięty krytyk i wnikliwy eseista (...). Jak było ze Staffem? Poeta najbardziej związany z Zaświeciem i Marylą Wolską. Powstały zatarg doprowadził do oziębienia przyjaznych stosunków między nimi (szerzej i dokładniej ów konflikt opisuje Beata Obertyńska we *Wspomnieniach*)

Miejsc życzliwych ludziom nauki, kultury i sztuki we Lwowie przełomu dwóch wieków było wiele. Lokale, kawiarnie, ale także Zaświecie – raj dla poetów, którzy w bardziej kameralnym gronie dzielili się swoją wiedzą o literaturze, kulturze i sztuce, wymieniali poglądy, dyskutowali, a przede wszystkim miło spędzali czas.

- ¹ Maryla (Maria) Wolska (1873–1930), ur. we Lwowie, córka Wandy z Monne i malarza Karola Młodnickich, poetka młodopolska. Patrz także CL 4/01, s.25.
- ² Wacław Wolski (1865–1922), inżynier, konstruktor urządzeń wiertniczych, przemysłowiec, nafciarz, ziemianin, mąż poetki Maryli Wolskiej.
- ³ Beata Obertyńska (1898–1980), ur. w Skolem, córka Maryli i Wacława Wolskich. Aktorka i poetka. W 1940 r. deportowana do Kazachstanu, od 1944 w Londynie, tam zmarła. Wydała m.in. *Wspomnienia* swej matki i własne (1974) oraz tom *W domu niewoli* (1946).
- ⁴ Ul. Cytadela była w latach międzywojennych znana jako ul. H. Dąbcańskiej.
- ⁵ Mueller Stanisław Antoni (1877–1944), ur. we Lwowie. Powieściopisarz, prawnik, bankowiec.
- ⁶ Józef Ruffer (1878–1940), ur. w Żółkwi. Poeta, tłumacz, rzeźbiarz.
- ⁷ Adam Młodnicki (1877–1941), inż. mechanik.

Pozostałe nazwiska omówiono w części pierwszej i drugiej (CL 2 i 3/06).

Autorka korzystała z następującej literatury:

- Dębicki Z., *Iskry w popiołach. Wspomnienia lwowskie*, cz. II, *Grzechy młodości*, Poznań 1931
- Lam S., *Życie wśród wielu*, Warszawa 1968
- Pawlikowski J. G., *Maryla Wolska [Wizerunek poetki i człowieka]*, Listy zebrał i opracował S. Pigoń, Wrocław 1957
- Pawlikowski M., *Okna*, Medyka 1934
- Sierotwiński S., *Maryla Wolska. Środowisko, życie i twórczość*, Wrocław 1963
- Szolginia W., *Tamten Lwów*, T. VIII, *Arcylwownianie*, Wrocław 1997
- Wolska M., Obertyńska B., *Wspomnienia*, Warszawa 1974

Remigiusz Węgrzynowicz

SUUM CUIQUE...*

„Szczypta soli” do opracowania *Wybitni polscy lekarze weterynarii XX wieku w nauce i zawodzie*, autorstwa prof.dr hab. Edmunda Prosta.

Biografie wybitnych osób życia społecznego – oprócz cennych informacji o ich osiągnięciach – wzbogacają wiedzę, nadając personifikacje osiągnięciom m.in. naukowym. Stanowią cenną dokumentację historyczną – są nośnikami pamięci narodowej w prezentacji wybitnych. Spełniają ważną rolę wychowawczą i patriotyczną. Miarą wartości biografów zbiorowych jest zobiektywizowany obraz faktograficzny pozwalający ocenić udział jednostek w rozwoju określonej dziedziny. Ten rodzaj publikacji jest cennym informatorem inspirującym przyszłych twórców.

Z wielkim zainteresowaniem wzięłem do ręki opracowanie prof. E. Prosta *Wybitni polscy lekarze weterynarii XX wieku w nauce i zawodzie*. W miarę zaznajamiania się ze spisem treści wzrastał mój niedosyt i refleksja... Jak daleko odchodzimy od pięknych zasad starożytnych filozofów? Głosili oni, że *potomność oddaje każdemu, co mu się należy...*, to znaczy odplaca każdemu należną cziągą. Cyceron zaliczał tę prawdę do czterech podstawowych zasad cnotliwego postępowania.

Selekcja wydawnicza w doborze wybitnych nie jest łatwa. Wymaga sprecyzowania kryteriów oceny, aby prezentowane osoby odpowiadały określeniom w tytule wydanej edycji. Właściwą selekcję do tego typu edycji wykonuje z reguły zespół specjalistów. Należy wyrazić uznanie za podjęcie tego trudnego zadania jednoosobowo. Nie uchroniło to autora od subiektywizmu w doborze wybitnych. Nieuwzględnienie osób o niepodważalnych wartościach, zakwalifikowanych przez wiele autorytetów jako wybitnych w XX wieku w naszym zawodzie, w zamian za niewątpliwie zasłużonych, ale może nie wybitnych, nadaje opraco-

waniu zupełnie inny wymiar, niezgodny z tytułem książki.

Opracowanie biografii nakłada obowiązek – oprócz znajomości faktograficznej – niezapominania o roli historycznej, jaką spełnia. Nietaktem byłoby sądzić, że autor opracowania, zasłużony nauczyciel akademicki, autor znakomitych publikacji naukowych i zawodowych – uczeń prof. Trawińskiego, wybitnego nauczyciela Akademii Medycyny Weterynaryjnej, mógłby zapomnieć o bogatej historii uczeniowskiej, której rola w rozwoju nauk weterynaryjnych nie tylko w kraju, ale na świecie, pozostała niepodważalna.

Trudno powstrzymać się od pytania: jakie kryteria stosował autor opracowania, skoro pominął liczne grono wybitnych, którzy znaleźli należne miejsce w nauce o światowym zasięgu? Wśród wielu wybitnych nadużyciem byłoby pominąć milczeniem wspaniałych nauczycieli wśród pokoleń lekarzy weterynaryjnych, znakomitości naukowych takich jak: Barański, Szpilman, Królikowski, Moraczewski, Klisiecki, Kadyi, W. Kulczyki, Gajewski, Nusbaum-Hilarowicz, Legeżyński, Mikulaszek, Grzycki, Skowroński, Panek... i wielu innych ze „szkoły lwowskiej”, którzy wraz ze „szkołą warszawską”... (m.in. z niewymienionym Łopatyńskim) byli opoką polskiej weterynarii.

Następcy niestety nie zawsze dorównywali mistrzom... Zaliczenie ich do grona wybitnych zawdzięczają w znacznym stopniu swoim Wielkim Nauczycielom.

Nie wiem, czy można nazwać niedopatrzeniem pominięcie szkoły lwowskiej, ograniczając się do niektórych następców we Wrocławiu. Była ona zbyt wielka i zasłużona w XX wieku dla polskiej i światowej weterynarii, aby jej nie dostrzec. Wypacza to prawdziwy obraz polskiej weterynarii, zubożając go nie tylko w ocenie krajowej, ale światowej. Niesie to bardzo niekorzystne implikacje narodowe. Sprzyja pojawiającym się tendencjom przywłaszczenia i wstecznej introdukcji lwowskich uczonych do narodu obecných gospodarzy kresów!

Przez ostatnie półwiecze twórczość wielowiekowa naszych Ojców na kresach, wspólna z innymi narodami, stanowiła tabu – była zacieraną... Czyniliśmy i nadal czynimy starania, aby ocalić od zapomnienia cenny kapitał narodowy na kresach. Chro-

nimy od dewastacji pomniki, budowle, nekropolie... Czy możemy zapomnieć o bogatym kapitale intelektu – wiedzy, jaką wnieśli nasi Ojcowie do skarbnicy narodowej i światowej? Jeżeli inteligencja polska (tak bardzo zdziętkowana) nie uczyni tego, to wyręczą nas fałszerze historii, rodzimi i zainteresowani sąsiedzi!

Działalność popularyzatorska naszej przeszłości posiada duże znaczenie dla rangi naszego narodu w procesie integracji europejskiej. W zmienionej sytuacji politycznej przypada nam rola nie przedmurza (jak przez wieki), ale pomostu pomiędzy wschodem a zachodem. Działalność Polaków na kresach nie może pozostawać – jak przez wiele lat – nadal tematem tabu. Szkodzi to integracji.

Należy żałować, że w kryteriach tak zróżnicowanej skali (od powiatowej, wojewódzkiej, krajowej, do międzynarodowej) zabrakło miejsca dla wybitnych twórców nauki polskiej, którzy zamieszkiwali ziemie należące do Rzeczypospolitej w pierwszej połowie XX wieku. Zdają sobie sprawę, że szczytna idea równania wielkich (a może tylko zasłużonych?) z większymi, jest równie trudna jak nieudane próby równych z równiejszymi... we wspólnym mianowniku.

Monografie powinny uwzględniać zasadę stopniowania *Redditio ergo quae sunt Caesaris Caesaris***, inaczej zabrakłoby miejsca na pomniki dla wybitnych. Nadużywanie określeń dotyczących zalet czy zasług pauperyzuje je. Język nasz zna wiele określeń pozwalających zróżnicować zasługi. Inaczej „panteon narodowy” nie zmieściłby wszystkich.

Pokutuje u nas „wiara” w siłę słowa drukowanego. Ukazanie się drukiem nazwiska w odpowiednim kontekście (m.in. „wybitnych”) w pojęciu niektórych równoznaczne jest z faktyczną nobilitacją. Niewątpliwie nie jest to droga do wielkości. Przez wiele lat ostatniego półwiecza wmawiano nam, że słowo napisane to prawda... Pozostało z tego okresu krotkochwilne powiedzenie o tym, który uwierzył w słowo pisane... i wbił sobie drzazgę w rękę, usiłując pogłaskać deskę z odpowiednim napisem...

* *Każdemu, co należy* (Katon)

** *Oddajcie Cezarowi, co należy do Cezara...* (Chrystus)

Remigiusz Węgrzynowicz

NIE ZACIERAJMY ŚLADÓW NASZEJ KRESOWEJ PRZESZŁOŚCI

W ubiegłym roku ukazał się zestaw biografii pt. *Wybitni polscy lekarze weterynarii w XX wieku w nauce i zawodzie*, pod redakcją prof. dr hab. Edmunda Prosta. Niestety... w dokumencie biograficznym, który jest cennym przyczynkiem do dziejów polskiej weterynarii, Pan Profesor pominął zupełnie nie tylko uczonych, ale również wybitnych lekarzy weterynarii, pracujących na dawnych kresach RP w XX wieku.

Akademia Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie była ośrodkiem naukowym o światowej renomie. Była kuźnią kadr lekarzy weterynarii, praktyków wysoko cenionych, jak również wybitnych specjalistów, których znaczący udział w rozwoju wielu ośrodków naukowych w kraju i poza jego granicami jest znany.

W poczuciu powinności wobec wielkich nauczycieli i kolegów pozwoliłem sobie na kilka uwag pt. *Suum cuique*, wysyłając do *wolnej trybuny zawodowej* „Życie Weterynaryjne”, z nadzieją na zrozumiały rezonans społeczności naszego zawodu, a może w wyniku dyskusji inicjacją do wznowienia wydania (?), uwzględniającego pominiętą historię kresowej nauki i zawodu.

Niestety po pięciu miesiącach milczenia Redaktor Naczelny p. prof. Antoni Schellenberger (w odpowiedzi telefonicznej)... nie widział potrzeby zamieszczenia artykułu w wydawanych zeszytach (zgodnie z przyszługującym prawem!). Trudno, *dura lex sed lex*...

Artykuł wysłałem do „Biuletynu Zachodniopomorskiej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej” i bez oporów ukazał się drukiem. Należy nadmienić, że wielu lekarzy weterynarii na Pomorzu Zachodnim to kresowiaci (ekspatrianci) względnie ich potomkowie, u których głęboko zakodowana jest świadomość narodowa. Chwała Im!

Niestety zasięg „Biuletynu” jest regionalny, natomiast ranga problemu uzasadnia propozycję zamieszczenia artykułu w cza-

sopiśmie o szerszym zasięgu poświęconego Kresom.

Czynimy starania, aby historia nasza, również ta – sięgająca poza obecne granice kraju – była nośnikiem prawdy narodowej. Nie należy zacierać faktów niewygodnych (dla niektórych...?), jak czynił to „Wielki Konstruktor”, ustalając granice państw Europy Wschodniej. Usiłował on wymazać z pamięci historię narodów, nie pasującą do ustalonych przez niego granic! Obecnie lękają się ujawniania prawdy historycznej tylko resztki *homo sovieticus*.

Utrwalanie naszej kresowej przeszłości w pamięci narodowej czynione jest nieprzerwanie przez kresowiaków w licznych publikacjach zamieszczanych w miesięcznikach, periodykach, m.in w „Cracovia–Leopolis”, „Semper Fidelis”, „Rocznikach Lwowskich”, jak również w wydaniach książkowych, autorów nie wyłącznie „gente-Cresovia”.

Stanowisko p. Redaktora Naczelnego „Życia Weterynaryjnego” trudno komentować. Marginalizując rangę i upowszechnianie pamięci wybitnych Polaków – twórców nauki i kultury polskiej na Kresach, nie dał możliwości polemiki, a nawet ustosunkowania się do krytycznych uwag p. prof. Prostowi? [...]

Od Redakcji CL

Wydaje się, że zaprezentowana bezmyślna postawa obu „uczonych” nie może ująć uwadze ogółu. A może po prostu: *hominis novi?*

Prof. dr REMIGIUSZ WĘGRZYNOWICZ jest emerytowanym profesorem medycyny weterynaryjnej Akademii Rolniczej w Szczecinie.

Z OSTATNIEJ CHWILI

27 listopada '06 zmarł nagle
i przedwcześnie

Jerzy ZUK

wiceprezes Zarządu Oddziału
Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo Wschodnich
w Krakowie oraz członek Zarządu
Głównego we Wrocławiu.

Szerzej o Zmarłym napiszemy
w następnym numerze.

ODPOWIEDŹ NA RECENZJĘ KSIĄŻKI

pt. ARCHIDIECEZJA LWOWSKA
OBRZĄDKU ŁACIŃSKIEGO
OPOWIEŚĆ ILUSTROWANA

Na łamach czasopisma „Cracovia–Leopolis” 4 (2005) ukazała się dość obraźliwa recenzja na temat powstałej we Lwowie książki, opisującej rzymskokatolickie kościoły wojewódzwa lwowskiego. Powyższą recenzję można by było zbagatelizować, choćby z tej przyczyny, że nikt nie odważył podpisać się jako autor niniejszej niby-recenzji. Jednak wydaje się potrzebne przedstawienie choćby niektórych aspektów, dlaczego ukazała się niniejsza książka i jakie jest jej główne przesłanie, a także miejsce i rola Kościoła na Ukrainie.

Na samym początku należy stwierdzić, że Kościół rzymskokatolicki nie jest kościołem narodowym i nie utożsamia się z żadną społecznością ani ugrupowaniem politycznym, czego oczekuje najprawdopodobniej redakcja czasopisma „Cracovia–Leopolis”. Cytując samych autorów opracowania Kościół rzeczywiście jest na tych ziemiach instytucją „autochtoniczną”, wobec tego nie można porównywać do lokalnych parafii polskojęzycznych w Anglii, Ameryce, Francji, czy też w innych państwach. Metropolia Lwowska na tych ziemiach powstała już w 1375 roku. Warto jednak przypomnieć drogiej redakcji, że do 1946 roku, kiedy to uległy zniszczeniu niemal wszystkie struktury kościelne na tych ziemiach, językiem kościelnym była jedynie i tylko łacina. Na tym tle wobec tego nie było żadnych problemów.

Jednak i wtedy Kościół nie był jedynie dla Polaków. W samym tylko Lwowie już od XIV wieku kazania w kościołach były głoszone w różnych językach, z czego przeważającym językiem był niemiecki. W okresie II Rzeczypospolitej do Kościoła łacińskiego należeli zarówno Polacy, jak i Ukraińcy, Rosjanie, Niemcy, a nawet i Grecy.

W dzisiejszych czasach sytuacja na tych ziemiach diametralnie się zmieniła. Choć w większości kościołów nadal jest sprawowana msza św. po polsku, to istnieją już takie parafie, gdzie nikt już nie rozumie języka polskiego. Dla przykładu może służyć parafia w Kulikowie. Czy wobec tego lepiej jest sprawić, żeby ta cenna XIV-wieczna świątynia zamieniła się w gruzy z braku mieszkających tam Polaków? Ponadto,

ODPOWIEDŹ NA LIST ZE LWOWA

Przewielebny i drogi Księżę, wypada nam odpowiedzieć na opublikowany obok list. Na wstępie: nie jest prawdą, że *nikt nie odważył podpisać się jako autor niniejszej niby recenzji*. Na tej samej stronie w dolnym rogu widnieją dwa nazwiska (dla całego działu *Nowe Książki*), a skoro notatka nie jest sygnowana DTS, to znaczy, że autorką jest Elżbieta Mokrzyńska. Druga narzucająca się replika odnosi się do słów Autora, iż *ukazała się dość obraźliwa recenzja*. Czcigodny Księżę, to chyba nieporozumienie. Czy napisanie *s w o i c h* uwag zasługuje na określenie *obraźliwe*? Dla pełnej jasności – bo może Czytelnicy nie pamiętają treści numeru sprzed roku – przytaczamy tamtą notkę. Szkoda, że – żądając od nas przedruku listu Księdza (co oczywiście czynimy) – nie postąpiono analogicznie w *inter necie* z naszą notką z CL 4/05. Liczymy więc na naprawienie tego zaniedbania, aby sprawa była *fair*.

I jeszcze parę uwag o charakterze merytorycznym.

1. Nie bardzo rozumiemy sensu pierwszego akapitu listu Księdza. W całym polskim i światowym Kościele rzymskokatolickim do II Soboru Watykańskiego obowiązywała łacina, a więc i w Kościele lwowskim. Jest prawdą, że po II wojnie uległy zniszczeniu niemal wszystkie struktury kościelne na tych ziemiach, ale przez cały czas – do dziś – pozostali wierni, Lud Boży, który odbudowę owych struktur swoim istnieniem i godną postawą uzasadnił i umożliwił. Bez struktur Kościół mógł przeżyć, ale bez polskiego Ludu nie byłoby to możliwe. Nie lekceważmy go przeto i dobrze o tym pamiętajmy. Przypomnieć wypada, że lwowska Katedra jednak działała w czasie sowieckiej okupacji, pewna więc ciągłość została zachowana*. Stary Fredro pisał: *znaj proporcją, mocium panie*.

jak poucza nas Sobór Watykański II, Kościół ma przepowiadać Ewangelię w języku zrozumiałym dla każdego człowieka. Z tej przyczyny w niektórych kościołach są msze św. dwujęzyczne lub też sprawowane msze św. na przemian.

Kościół nie jest i nie będzie szkołą języka polskiego, lecz „szkołą zbawienia człowieka”. Problem ratowania polskości winien leżeć na sumieniu przede wszystkim kompetentnym organizacjom na Ukrainie, jak i w Polsce. Nie wolno pozostawać jedynie w pozycji krytykanctwa i krzykactwa. Drodzy redaktorzy, może lepiej pójść za konkretnymi czynami.

Z kolei widzimy nieco inną rzeczywistość. Od wielu lat istnieje w Polsce taki projekt, aby na wyższe studia zapraszać młodzież do Polski. Jednak dla wielu dziś młodych ludzi taki wyjazd jest przysłowiową „furtką” ucieczki z tego kraju, gdzie się urodzili. To pytam, do kogo już za kilka lat kapłani będą przemawiali po polsku? Czy raczej sama Polska nie przyczynia się do tego, że już niebawem zniknie całkowicie język polski z tych ziem? Czy nie lepiej może byłoby wspomagać i faworyzować tę młodzież polską, która pragnie pozostać na tych ziemiach, tu studiować i tu w przyszłości budować polskość.

Pozwolę sobie na jeszcze jeden wątek. Polacy mieszkający we Lwowie już od kilku lat starają się o powstanie samodzielnego polskiego radia. Dziś język polski w radiu jest słyszany jedynie w soboty przez 3 godziny, podobno z braku odpowiednich funduszy. Jednak znalazły się datki na stworzenie niby to polsko-ukraińskiego radia MAN, finasowanego w większości przez Polskę, gdzie w ciągu 24 godzin słyszanych jest 2 lub 3 pieśni w języku polskim, a cały czas w eterze jest nadawana muzyka, przerywana krótkimi wiadomościami w języku ukraińskim. To dlaczego droga redakcja nie widzi takiego problemu, który zakradł się we własnym „ogródku”?

Zatem nie Kościół jest przyczyną powolnego zanikania języka polskiego w tutejszych rodzinach i nie ma on za cel całkowitej ukrainizacji Polaków. W każdym kościele, gdzie są Polacy, jest sprawowana liturgia w języku polskim i nikt nie poniża ani nie zaprzecza wytrwaniu tutejszych wiernych w wierze. Jeśli chodzi o wydanie ukraińskiej języczki, to jest ono przeznaczone dla łacinników tych ziem z różnych województw, aby każdy mógł w zrozumiałym dla siebie języku dowiedzieć się o historii swojej parafii, gdyż na terenie Polski jest znacznie więcej wydawnictw, które wyświetlają bardziej lub mniej prawdziwą historię tych ziem i Kościoła.

2. W samym tylko Lwowie już od XIV wieku kazania w kościołach były głoszone w różnych językach, z czego przeważającym był niemiecki – pisze Ksiądz. Uściślijmy: poza polskim i niemieckim nie było innych, bo po łacinie kazań raczej nie wygłaszano (nie mówimy oczywiście o ormiańskim i ruskim, bo to były inne Kościoły). A co do niemieckiego: taki był niestety los wszystkich (większych) polskich miast, ponieważ w wiekach średnich nasze mieszczaństwo było w większości pochodzenia niemieckiego, a Polacy parali się głównie pługiem i mieczem. I ono głównie budowało i wyposażało świątynie katolickie (dla siebie, taka jest niestety prawda). Także np. w Krakowie, pod królewskim zamkiem, Wawelem.

Warto przypomnieć, że król polski Władysław Łokietek musiał uchodzić przed mieszczaństwem niemieckim ze swojej stolicy – Krakowa (tzw. bunt wójta Alberta na przełomie XIII/XIV w. – znamy to z podręczników szkolnych). Kazania w krakowskim kościele Mariackim do XIX w. były wygłaszane po niemiecku. We Lwowie nie było inaczej, a nawet trochę lepiej, bo tam w średniowieczu napływali nie tylko Niemcy, także np. Włosi, Węgrzy i inni katolicy (nie mówiąc o Ormianach lub prawosławnych Rusinach czy Wołochach). Tak było więc w całej Polsce i nie ograniczajmy problemu do samego Lwowa.

Nie jest ścisłe stwierdzenie, że w okresie II Rzeczypospolitej do kościoła łacińskiego należeli zarówno Polacy, jak i Ukraińcy, Rosjanie, Niemcy, a nawet Grecy. Można jeszcze dodać Węgrów, Czechów, Wołochów czy Francuzów, ale to byli Polacy, potomkowie dawno osiadłych imigrantów**.

Podobnie więc było z ludźmi o nazwiskach niemieckich***, ruskich i wielu innych. Mogły być oczywiście jednostki, które w dwudziestoleciu z takich czy innych powodów (nieraz całkiem prozaicznych) odsunęły się lub odeszły ze wspólnot unickich, prawosławnych czy protestanckich, posiadających we Lwowie (i innych miastach) własne świątynie. Jednak z tą wielonarodowością w kościołach tamtego czasu nie przesadzajmy.

Zamiarem autorów było wydanie tego tomu również w języku polskim, ale z braku funduszu wyszła tylko wersja ukraińska. Wiele instytucji w Polsce nie odpowiedziało na prośbę autorów o sfinansowanie druku tego tomu po polsku. Autorzy gratisowo opracowali tę pozycję. Może tak trochę popytać i pomyśleć na przyszłość, a potem wydawać oceny.

Ks. Marian Skowyrza
Wykładowca Historii Kościoła

Recenzja z CL 4/2005

Potrzebne, ale dość dziwne wydawnictwo ukazało się ostatnio we Lwowie: obszerny (ok. 320 stron, ale niewielki formatem) album dokumentujący zdjęciami i opisami kościoły rzymskokatolickie w Małopolsce Wschodniej. Autorami są ks. bp Marian Buczek oraz Ihor Sedelnyk, ale kto napisał teksty, a kto fotografował, tego nie doczytaliśmy się. I. Sedelnyk, jak napisano, jest *wykładcą* w Seminarium Duchownym (co wyklada?). Tytuł brzmi: **Archidiecezja Lwowska obrządku łacińskiego. Opowieść ilustrowana. Tom 1. Parafie, kościoły oraz kaplice (obw. lwowski)**. Wydawcą jest Kuria Archidiecezjalna (Lwów 2004).

Nasze zdziwienie dotyczy języka: wszystko po ukraińsku. Jedynie tytuł i nazwy miejscowości napisano dwujęzycznie. Dla kogo więc jest przeznaczone to wydawnictwo? Jeśli dla wiernych Kościoła obrządku łacińskiego, to należy to potraktować jako kolejny przejaw ukrainizacji społeczności polskiej. Takiego jednak lekceważenia polskości większości wiernych nie spodziewaliśmy się po pierwszym z autorów.

Zawsze nas zastanawia: Polacy w Anglii, Ameryce, Francji mają swoje kościoły, gdzie używa się języka polskiego. Dlaczego takie cywilizowane podejście nie jest respektowane na Wschodzie?

A przecież po wschodniej stronie istnieją większe podstawy, by narodowość i jej język honorować. Po pierwsze: Polacy na Wschodzie to autochtoni, a nie imigranci; po drugie: ich bohaterskie wytrwanie przy wierze i polskości nie znajduje żadnej analogii na Zachodzie; po trzecie: jakże blisko są – w przeciwieństwie do tamtych – swojej Macierzy.

Czy Kościół w tamtych regionach konieczny chce wziąć na swoje sumienie historyczną „zastęgę” ostatecznego dobiecia polskości? Pogratulować.

3. Nie podzielamy poglądu, że *istnieją już takie parafie, gdzie nikt już nie rozumie języka polskiego*. Pewnie się gdzieś zdarzają, ale na pewno nie w miastach. Wielokrotnie słyszymy skargi Polaków z prowincji na eliminowanie polskiego z kościołów. Nawet jeśli nie używają go w życiu codziennym, modlą się i chętnie słuchają mszy św. po polsku. W imię czego ich tego pozbawiać? Język ukraiński należy niewątpliwie wprowadzać do kościołów, ale nie wolno zarazem wyrzucać języka polskiego. W każdym kościele msza w języku polskim powinna być odprawiana na równi z ukraińską, a przynajmniej jedna dziennie. *Nie wylewajmy dziecka z kąpielą*.

Warto też zwrócić uwagę – nie po raz pierwszy – że wierni całkowicie zdepolonizowani i wiążący się (co naturalne) z rodzinami ukraińskimi będą sukcesywnie – pod ich kulturowym naciskiem – przechodzić na obrządku wschodnie. Nie wolno więc dla dobra naszego Kościoła – odrywać Polaków czy pół-Polaków od polskości. Proszę więc nie głosić teorii, iż *Kościół rzymskokatolicki nie jest kościołem narodowym*, bo przecież wcale nie o to chodzi. Nie spływajmy zagadnienia i nie mówmy o *krytykanctwie i krzykactwie*.

4. Pisze Książd u ucieczce młodzieży polskiej i stawia pytanie: *czy raczej sama Polska nie przyczynia się do tego, że już niebawem zniknie całkowicie język polski z tych ziem?*

Otóż odpowiedzmy sobie, dlaczego młodzież polska po studiach w RP nie chce wracać – słowem: ucieka. Jest tego kilka przyczyn: z pewnością warunki materialne (choć dziś i po tej stronie nie jest różowo z utrzymaniem pracy), ale także swojskość otoczenia i obrona przed depolonizacją. Ta ostatnia wynika zarówno z obecnych warunków geopolitycznych, jak i – no właśnie! – działań depolonizacyjnych, tych celowych i tych „przy okazji”. *Sapienti sat*.

A co do koncepcji zapraszania młodzieży na studia do RP, idea ta wydawała się kiedyś sensowna, niestety pod pew-

nymi względami nie spełniła się, ale żeby o to oskarżać? Istnieje oczywiście pomysł, by raczej wspomagać studentów-Polaków po tamtej stronie, jednak nie mamy bliższej wiedzy, czy to działa. Zasięgnijemy informacji i napiszemy. Problem na pewno jest.

5. W sprawie tzw. polsko-ukraińskiego radia ma Ksiądz absolutną rację. Poruszaliśmy ten problem, gdy ono powstawało. Nie wykluczamy, że wchodziła w grę całym światem działalność destrukcyjna. Temat będziemy się starali nagłośnić.

6. Na koniec dopiero wraca Ksiądz do sprawy zasadniczej – naszych uwag (obraźliwych?) na temat wydawnictwa o kościołach. Dowiadujemy się, że zamiarem autorów było wydanie tomiku również w języku polskim. Dlaczego od niego nie zaczęto? Skąd taka nadgorliwość? Dalsze przykłady aż się cisną. Co powiedzieć, gdy na polskiej uroczystości narodowej w Katedrze lwowskiej zaleca się odczytanie modlitwy wiernych nie po polsku, a „niepokornych” się beszta? Co powiedzieć o drukach stosowanych w Katedrze – pokazaliśmy ich zdjęcia w poprzednim numerze CL na III stronie okładki. Dzieje się to akurat w świątyni, gdzie niezaprzeczalnie bywa ogromna większość Polaków, miejscowych i przyjezdnych, a nie w jakiejś wiosce na prowincji. Czy podobne druki nie powinny być przynajmniej dwujęzyczne? Czy „odpowiedzialne czynniki” nie widzą tu poniżenia polskiej społeczności, która tak wiele dała z siebie przez minione pół wieku, byś w ój (a nawet nie tylko swój!) Kościół ratować? O co tu właściwie chodzi? Są różne przypuszczenia we Lwowie i nie tylko, ale nie tu miejsce, by o nich mówić.

Proszę wybaczyć powyższe (też obraźliwe?) słowa. Ze swej strony myślę, że najbardziej słusznym zdaniem zawartym w liście Księdza jest zdanie ostatnie.

Osoba Księdza – znając Jego pracę redakcyjną, opracowania i artykuły (które nieraz w CL omawialiśmy) – jest nam bliska. Pozostaje więc życzyć dalszej, niezależnej działalności. Szczęść Boże!

Andrzej Chlupalski

* Byłem we Lwowie w 1968 r. i widziałem w Katedrze sporo Rusinów w czasie mszy św. (poznać ich było po sposobie żegnania się). Po polsku dobrze rozumieli. Po przełomie wrócili do swoich cerkwi.

** Moje osobiste wyznanie: jeden z moich pradziadków był Czechem, który uszedł do „Galicii” z Pragi przed represjami po Wiośnie Ludów; inna prababka miała nazwisko węgierskie; byli też *gente rutheni – natione poloni*. Duży napływ ludzi z całej monarchii austro-węgierskiej nastąpił w wieku XIX, ale ich dzieci były już Polakami. Ksiądz zna na pewno nazwisko słynnego Polakożercy austriackiego we Lwowie, Reitzenheima, którego syn poszedł solidarnie wraz z polskimi kolegami do Powstania Listopadowego, a po jego upadku był wybitnym działaczem Wielkiej Emigracji, u boku ks. Czartoryskiego. Warto też przypomnieć, że w arcypolskim Krakowie do II wojny większość sztyldów nad sklepami na Rynku nosiła nazwiska z ck monarchii, przykładowo: Wenzl, Havelka (Havelka z Czech), Redolfi, Maurizio (ci z tzw. południowego Tyrolu), Fischer, Grosse. A średniowieczny Wierzynek – Wirsing?

Tu przypomina się swoista argumentacja z nieco *innej beczki* (wiadomo czyja) – że wśród zamordowanych przez Niemców profesorów lwowskich (na Wulce, 1941) byli nie tylko Polacy, także np. Francuzi. Chodzi o ostatniego rektora UJK (zabitego wraz z trzema synami), ze znanej rodziny lwowskiej o francuskim nazwisku. Otóż rodzina ta przybyła do nas na przełomie XVII/XVIII wieku (uszli z Francji jako hugenoci) i w polskim Lwowie żyli przez dwa i pół wieku, do czasu ekspatriacji. Byli naturalnie całkowicie spolonizowani, walczyli w polskich powstaniach. Oczywiście zenili się z Polkami – jedną z nich była np. znana działaczka patriotyczna („klaudyńka”) Wanda z Dybowskiich. Pozwólmy sobie – dla rozrywki – na takie obliczenie: skoro na jedno stulecie przypadają średnio cztery pokolenia, to na 2,5 wieku wypadnie 10 pokoleń. Jeżeli pierwsza generacja miała 100 proc. krwi francuskiej, to druga już 50, trzecia 25, czwarta 12,5, piąta 6,25, szósta (upraszczając) 3,12, siódma 1,56, ósma 0,78, dziewiąta 0,39, a dziesiąta niecałe 0,2 procent (dwa promile – bez aluzji!).

***Polacy z niemieckimi nazwiskami walczyli o Polskę we wszystkich wojnach i powstaniach (o czym wyżej), byli wybitnymi polskimi generałami I i II wojny (rok 1939: Kleeberg, Fieldorf, Mond, Rómmel – wszyscy z Ziemi Wschodnich), ginęli w walkach AK z okupantami, w hitlerowskich i sowieckich więzieniach, w lagrach i łagrach.

SYLWETKI

Lwowianin, żołnierz, narciarz, poeta

W tych czterech słowach zawiera się życie Tomasza Gluzińskiego, który zmarł przed 20 laty (1986). Urodził się we Lwowie w 1924 roku, pochodził ze znanej rodziny lekarskiej.

Miał 18 lat, gdy wstąpił do Armii Krajowej w Nowym Targu, gdzie znalazła się jego rodzina w 1942 r. Należał do I Pułku Strzelców Pohalańskich AK, działającego w Gorcach. Po wojnie studiował prawo i historię sztuki we Wrocławiu, ale niczego nie ukończył. Zamieszkał w Zakopanem i poświęcił się narciarstwu. Pracował przez parędziesiąt lat jako trener naciarstwa alpejskiego – trenował polską kadrę kobiet i mężczyzn. W wieku 30 lat ożenił się z góralką-narciarką.

Wiersze zaczął pisać późno, był grubo po trzydziestce. Publikował zawsze w „Tygodniku Powszechnym”. Pierwsze tomiki wydał po czterdziestce, wyszło ich łącznie 10, ale ostatni w dziesięć lat po jego śmierci.

Przez wiele lat pozostawał w przyjaźni ze Zbigniewem Herbertem, swym rówieśnikiem. Łączyła ich wspólnota pokoleniowa, ten sam stosunek do powojennej rzeczywistości oraz rodzinny Lwów.

Szpitalnicy

100-lecie urodzin wybitnego architekta Janusza Kraussa (1906–1982) daje okazję do wspomnienia ogromnego udziału ludzi pochodzących ze Lwowa w tworzeniu na nowo różnych dziedzin życia w zniszczonej i zaniedbanej Polsce lat po II wojnie światowej.

W 1954 r. powstało w Warszawie Biuro Projektów Służby Zdrowia, którego celem było planowe tworzenie sieci nowoczesnego szpitalnictwa, projektowanie obiektów służby zdrowia – szpitali, przychodni, zespołów akademii medycznych, uzdrowiskowych itd. W biurze tym przez wiele lat czołowe miejsce – wśród licznej kadry architek-

tów warszawskich – zajął doskonały architekt lwowski **Stefan Porębowicz**, zarazem profesor wydziałów architektury politechnik w Gdańsku i Warszawie. Na terenie powojennej Polski zrealizował wiele znaczących obiektów (m.in. szpital im. Żeromskiego w Nowej Hucie).

S. Porębowicz urodził się we Lwowie w 1904 r., zmarł w Warszawie w 1984 r. Był synem znakomitego romanisty, profesora UJK i tłumacza, Edwarda Porębowicza.

Wkrótce po powstaniu centrali BPSZ w Warszawie również w 1954 r. powołano do życia jej oddział w Krakowie. Jego twórcą i przez lata czołowym projektantem był architekt **Janusz Krauss**, który tu wychował cały zespół projektantów szpitalnictwa. Jego najważniejszym dziełem był szpital w Nowych Tychach.

J. Krauss urodził się we Lwowie, jednak studia ukończył na Politechnice Warszawskiej i tam do II wojny pracował. Po Powstaniu znalazł się w Krakowie i pozostał do lat 60., kiedy wyjechał do Płd. Afryki i jeszcze przez lata pracował w Durbanie. Tam zmarł.

Oddziały i pracownie BPSZ powstały jeszcze w kilku innych miastach kraju, jednak – z jednej strony kryzys ekonomiczny (i nie tylko), w jaki popadała systematycznie PRL, z drugiej strony realistyczna ocena potrzeb po okresie zimnej wojny, z trzeciej zaś daleko idąca zmiana systemu leczenia i hospitalizacji – doprowadziły wspólnie do drastycznego zmniejszania się liczby inwestycji budownictwa służby zdrowia. Fakty te spowodowały likwidowanie lub prywatyzowanie pomniejszych placówek projektowych.

Stefan Porębowicz i Janusz Krauss mają jednak swoje trwałe, choć niestety już zapomniane miejsce w dziejach projektowania szpitali przed, a zwłaszcza po II wojnie.

Ciepłe wspomnienie chciałbym poświęcić również arch. Andrzejowi Nitschowi (1911–2002) – rodowitemu krakowianinowi, po wojnie zamieszkałemu w Warszawie i też związanemu z BPSZ – który ukończył Wydział Architektury Politechniki Lwowskiej i do końca życia był wielkim miłośnikiem Lwowa i propagatorem lwowskich tradycji w architekturze. Parę lat pobytu pod Wysokim Zamkiem sprawiło, że czuł się do końca lwowianinem.

Andrzej Chlipalski

Lekarz oddany nauce i ludziom

W sierpniu zmarł w Krakowie prof. dr Eugeniusz Nikodemowicz, znakomity lekarz ftyzjatra i pulmonolog, em. profesor Akademii Medycznej i Collegium Medicum UJ w Krakowie. Był prezesem Oddziału Krakowskiego Polskiego Towarzystwa Ftyzjopneumonologicznego.

Urodził się we Lwowie* w 1916 r. Należał do znanej rodziny: ojciec Marian (1890–1952, zmarły we Lwowie, którego nie opuścił) był wybitnym architektem lwowskim, a z dwóch braci – Aleksander, również architekt, pracownik naukowo-dydaktyczny Politechniki Krakowskiej, oraz Andrzej, znakomity kompozytor, osiadły od 1980 r. w Lublinie.



Życiorys Eugeniusza Nikodemowicza zamieściliśmy w CL 4/97 po jego artykule o prof. Stanisławie Hornungu, którego uważał za swego mistrza. Przypomnijmy tu najważniejsze dane: studia medyczne ukończył na UJK we Lwowie w 1940 r. Po paroletniej pracy na Wołyniu (z „nakazu pracy”) od 1944 r. był asystentem w Lwowskim Instytucie Medycznym. Po ekspatriacji pracował w Łańcucie i Wrocławiu, a od 1952 na AM w Krakowie pod kierunkiem prof. Hornunga. Od 1967 r. był docentem, od 1976 profesorem, a od 1986 na emeryturze. Dobrek naukowy Nikodemowicza obejmuje 124 prace z zakresu ftyzjatrii i pulmonologii.

Poza wspomnianym artykułem o St. Hornungu, zamieścił E. Nikodemowicz w naszym kwartalniku niezwykle ciekawe wspomnienia: *Medycyna we Lwowie w okresie okupacji sowieckiej* (CL 5/2000).

* O lwowskim pochodzeniu Profesora nie wspomniano nie tylko w żadnym nekrologu ze strony instytucji naukowych, ale nawet w w zamieszczonym przez Rodzinę w krakowskiej prasie. Tych pierwszych możemy zrozumieć – chętnie przywłaszczają sobie znakomitych Lwowian...

Droga wypadła mu przez Mazowsze

Różne drogi życia przypadły Lwowianom – tym, którzy rodzinne miasto musieli opuścić w różnym czasie swego życia – starszym, tym w rozkwicie życia i najmłodszym, jeszcze dzieciom, całkiem nieświadomym tego, co się wokół nich dzieje. Tych, z perspektywy czasu, szkoda najbardziej. Bo w swym rodzinnym mieście i całej tamtej Ziemi mogli wzrastać, rozwijać się, pracować i tworzyć. Nie inaczej niż w całej niezagrabionej Polsce i wolnych krajach świata.



Należał do nich Stanisław Jopek, urodzony we Lwowie w 1935 roku. Już jako dziecko zwracał uwagę zamiłowaniem do śpiewu. Po wygnaniu rodzina znalazła się na Dolnym Śląsku – tam posłano go do dwóch szkół na raz: handlowej (z rozsądku) i muzycznej (a nuż?). W tej drugiej szybko zauważono talent i nakłoniono do próby sił w zespołach peśni i tańca. Najpierw, gdy miał 17 lat, był „Skolimów” (wybrano go spośród kilku tysięcy kandydatów), ale w 1956 r. dowiedzieli się o nim Tadeusz i Mira Sygietyńscy. Jopek znalazł się w „Mazowszu” jako śpiewak-solista. Rozpoczęła się triumfalna droga sukcesów i sławy, która trwała pół wieku, a jej symbolem stał się – wśród kilkudziesięciu piosenek – słynny *Furman*.

Mówiono, że mógł zostać wielkim śpiewakiem operowym, w interpretacji włoskich pieśni porównywano go z Tito Schipą. Zdarzało się, że występował w repertuarze klasycznym, ale folklor wybrał świadomie. Z „Mazowszem” objechał triumfalnie cały świat.

Stanisław Jopek zmarł 1 sierpnia. Następnego dnia rano telewizja powtórzyła dawniejszą rozmowę z nim i jego rodziną. Wspominał tam swoją *lwowskość* i wyznał, że Warszawa musiała mu zastąpić *k o c h a n y L w ó w*. Przypomina się tu myśl, opublikowana na pierwszej stronie poprzedniego numeru CL: *Leopolis ubique praesens...*

SZKOLNICTWO POLSKIE NA UKRAINIE

Funkcjonowanie szkolnictwa polskiego na Ukrainie jest uzależnione od splotu różnorodnych czynników środowiskowych, takich jak liczebność ludności polskiej i rozmieszczenie, stopień asymilacji, rola i znaczenie polskiej grupy etnicznej w życiu społeczno-politycznym danego regionu, pozycja społeczna, aktywność polityczna oraz zamożność poszczególnych członków grupy, polityka rządów kraju osiedlenia wobec polskich grup mniejszościowych, a także pozycja państwa macierzystego na arenie światowej i wobec Polaków na Ukrainie.

Śledząc wyżej wymienione główne czynniki sądzę, że nie sposób przystąpić do analizy stanu szkolnictwa bez pominięcia historyczno-politycznej strony zagadnienia. W XIV wieku, w rezultacie opanowania przez Kazimierza Wielkiego Ziemi Czerwieńskiej i zachodniego Podola, a później przyłączenia do Polski w wyniku Unii Lubelskiej w 1569 r. Wołynia, Podola i Kijowszczyzny, język polski szybko rozpowszechnił się na tamtych ziemiach i w XV wieku stanowił oficjalny język urzędów i trybunałów, a od XVI stulecia stał się także dla większości mieszkańców językiem literackim, stanowiąc również dla wykształconych Rusinów jak gdyby drugi język ojczysty. Po rozbiorach zwierzchnictwo nad szkolnictwem polskim powierzono Uniwersytetowi Wileńskiemu¹. Na początku XIX stulecia na Podolu funkcjonowały: Gimnazjum Podolskie w Winnicy (1814 r.), Szkoła Barska (1781) na stopniu gimnazjalnym, szkoły powiatowe w Kamieńcu Podolskim, Międzybożu (1819), Nie-

mirowie (1815), szkółki parafialne (konwikty; w 1820 było ich 44) oraz pensjonaty dla pańien (oficjalnie zarejestrowanych było 5 – jeden w Kamieńcu Podolskim, po dwa w Winnicy i Niemirowie).

Ograniczenia, a następnie dyskryminacja Polaków rozpoczęły się po powstaniu listopadowym, a przybrały na sile w latach 40. i 50. XIX wieku. Caryzm, prowadzący na szeroką skalę politykę antypolską, wprowadzał ograniczenia ekonomiczne i polityczne, zaczął też likwidować szkoły polskie i polskie placówki naukowe, zabraniać ich tworzenia. Zakaz działania szkół polskich był w znacznej mierze kompensowany rodzinnym i prywatnym nauczaniem dzieci w języku ojczystym, na które jednak mogły pozwolić sobie rodziny zamożne. Jednocześnie było organizowane tajne nauczanie języka polskiego zarówno w miastach, jak i po wsiach. Aktywną rolę w nauczaniu języka polskiego spełniał Kościół i duchowieństwo katolickie. Szkoły stały się dostępne dopiero w 1917 roku po upadku caratu². Jeszcze z końcem 1918 r. na Ukrainie działało 31 polskich szkół średnich z 5526 uczniami, 9 szkół zawodowych (425 uczniów), 1247 szkół początkowych (73 688 uczniów), w których nauczanie prowadziło 1800 nauczycieli. W Kijowie otwarto Kolegium Uniwersyteckie. [...]

Rewolucja październikowa 1917 r., a następnie siedemdziesiąt lat władztwa komunistów rozpoczęły politykę socjalizacji mniejszości narodowych: stwarzano możliwości tzw. „powrotu do korzeni narodowych” poprzez oświatę i kulturę w rodzimym języku, [ale zarazem] sowietyzację Polaków (tzw. *eksperyment polonijny*) w latach 1925–1935. Polegała ona na rozpowszechnianiu ideologii komunistycznej w ojczystym języku, aby wychować „czerwonych Polaków” – lojalnych wobec wszystkich działań władzy radzieckiej, wiernych jej adeptów. Szkoła była najefektywniejszym sposobem sowietyzacji świadomości dorastającego pokolenia. W 1923 r. na Ukrainie działały 262 polskie szkoły z 560 nauczycielami i 12 tys. dzieci, a w 1928 r. było już około 400 polskich szkół początkowych (klasy I–IV) i około 30 szkół podstawowych (klasy I–VII). Rozwój kulturalny Polaków zgodnie z wytycznymi władz miał prowadzić do stworzenia polskiej kultury *proletariackiej* (socjalistycznej), co

▶ PS Gazety opublikowały tekst sporządzony przez PAP, gdzie napisano wprawdzie, że z pochodzenia był lwowianinem, ale zaraz potem rodzina przeniosła się do Kościerzyna na Dolnym Śląsku... No proszę, chyba znudzilo im się we Lwowie i pojechali sobie na *Ziemie Odzyskane*.

Nie po raz pierwszy zauważamy bęcwałskie sformułowania PAP-a w odniesieniu do ekspatriacji. Nowi ludzie...

w praktyce oznaczało odrzucenie wartości wyrosłych na głębokich tradycjach narodowych i religijnych. Tak zwany *eksperyment polonijny* został przerwany w 1935 roku. Zlikwidowano polski rejon autonomiczny, rozwiązano polskie rady wiejskie, wycofano język polski z urzędów i sądownictwa, likwidacji uległy polskie szkoły.

[Po zajęciu polskich ziem wschodnich³] utrzymano polskie szkolnictwo we Lwowie, a początkowo nawet z inicjatywy ambasady polskiej w ZSRR – i później Związku Patriotów Polskich – tworzono nowe placówki dla kształcenia i wychowania dzieci polskich, przebywających w latach 1941–46 w ZSRR na skutek różnych wojennych ruchów migracyjnych⁴. W 1946 roku na Ukrainie działało 105 polskich szkół początkowych, 2 niepełne średnie, 44 klasy polskie tworzone równoległe przy szkołach rosyjskich. W okresie od 1945 po 1957 rok odbyły się trzy fale repatriacyjne, co spowodowało znaczne zmniejszenie liczby szkół polskich na terytorium całego ZSRR. W Republice Ukrainskiej istniały wówczas tylko dwie polskie szkoły we Lwowie: podstawowa i średnia. Okres *pierestrojki*, a później ogłoszenie przez Ukrainę w 1991 r. niepodległości przyczyniły się do odrodzenia narodowości u ludności mniejszościowej. W 1989 r. utworzono Polskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe, które podjęło starania o utworzenie polskich organizacji społecznych we wszystkich skupiskach Polaków. Jednym z naczelných zadań organizacji stało się *odrodzenie polskiego szkolnictwa, wszędzie tam, gdzie są większe skupiska ludności polskiej...* [...] W piętnastoletnim okresie kształtował się więc system polskiego szkolnictwa na Ukrainie – dobry czy zły, nadal rozwijany i służy polskiej mniejszości narodowej.

* * *

Statystyka mówi, że na dzień 1 stycznia 2006 r. w państwie ukraińskim język polski jest nauczany w 92 legalnie działających placówkach oświatowych:

- w 5 szkołach z polskim językiem wykładowym, którym państwowe władze oświatowe nadały status szkół mniejszości narodowej; inicjatorami takich starań były szkoły lwowskie;
- w 8 szkołach dwujęzycznych („klasy polskie”);

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

LWÓW – UCZELNIE AKADEMICKIE

Akademia Handlu Zagranicznego była najmłodszą akademicką uczelnią Lwowa. Szkolnictwo polskie o profilu handlowym miało za sobą dłuższą niż inne uczelnie drogę osiągnięcia instytucjonalnej struktury akademickiej. Jej poprzedniczką we Lwowie była utworzona w roku 1817 3-letnia państwowa szkoła realno-handlowa, która w 1845 r. otrzymała, z myślą o przyszłości, nazwę Akademii Realno-Handlowej. W 1875 r. od Szkoły Politechnicznej we Lwowie odłączony został oddział handlowy w postaci średniej szkoły o nazwie Akademia Handlowa, w strukturę której weszły różne kursy i niższe szkolnictwo miejskie o tym profilu. Mimo nacisku Sejmu Galicyjskiego i Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim utworzenie wyższej uczelni handlowej miało miejsce dopiero w 1894 r., po zmianach programowych Akademii Handlowej w średnio-wyższą 4-letnią Państwową Szkołę Handlową z polskim językiem nauczania. Szkołą tą kierował dyrektor Antoni Pawłowski.

Po uzyskaniu przez Polskę niepodległości na bazie PSH powstała w 1922 r. 4-letnia Wyższa Szkoła Handlu Zagranicznego, z prof. Pawłowskim jako pierwszym jej rektorem, który był jednocześnie dyrektorem Izby Przemysłowej we Lwowie. Dzięki jego staraniom wybudowano pierwszy gmach uczelni przy ul. Bourlarda 5, później uczelnia miała jeszcze budynek przy ul. Sakramentek 10. Studenci oprócz ogólnej wiedzy handlowej poznawali zasady handlu zagranicznego i służby konsularnej, obejmujące zagadnienia prawne, geografii gospodarczą świata i towaroznawstwo. Duży akcent położony był na naukę języków obcych. Wychowankowie uczelni mieli wszelkie prawa absolwentów szkół akademickich. Za rektoratu prof. Henryka Korowicza (został rozstrzelany przez Niemców 11 VII 1941) i za jego staraniem uczelnia została przekształcona w 1937 r. w Akademię Handlu Zagranicznego z prawem nadawania stopni magisterskich. W 1939 r. na stanowisko rektora wybrany został wybitny matematyk prof. Stanisław Ruziewicz

- w 13 jedenastoletnich szkołach średnich, jako przedmiot obowiązkowy język obcy.

Nauka języka polskiego w takich szkołach jest potwierdzana na świadectwach szkolnych i uwzględniana w promocji. Uczniowie zdają 2 egzaminy z języka polskiego po ukończeniu szkoły podstawowej i średniej.

Ponadto nauka języka polskiego jest wprowadzona:

- w 3 przedszkolach,
- w 23 jedenastoletnich szkołach średnich w formie przedmiotu fakultatywnego.

W wyżej wymienionych placówkach oświatowych naukę języka polskiego pobiera ponad 5260 uczniów.

Na szczególną uwagę zasługują szkoły sobotnio-niedzielne, do których uczęszczają dzieci, młodzież i dorośli. Te szkoły najczęściej funkcjonują przy szkołach publicznych (jakby szkoła w szkole) przy polskich stowarzyszeniach i parafiach. Spostrzega się pozytywny proces jednoczenia małych szkółek niedzielnych w centra – ośrodki języka i kultury polskiej. Niedawno została powołana społeczna szkoła językowa w Stryju. Ponadto istnieją też kursy językowe dla młodzieży i dorosłych, a dla dzieci kółka zainteresowań przy domach twórczości dziecięcej, które w krótkim czasie przekształcają się w szkoły niedzielne.

Liczba uczniów objętych nauczaniem języka polskiego w wyżej wymienionych placówkach oświatowych stanowi ponad 9670 osób.

Współpraca między uczelniami polskimi i ukraińskimi oraz zainteresowanie polską kulturą i językiem sprawia, że języka polskiego uczy się młodzież studencka, naukowcy. Powstają katedry języka polskiego, lektoraty, centra polsko-ukraińskie. Dzięki możliwości zdania egzaminu na certyfikat znajomości języka polskiego – sam język polski stał się bardziej atrakcyjny. Na 14 uczelniach w roku akademickim 2005/06 języka polskiego uczyło się ponad 3000 studentów.

Efektywność nauczania języka polskiego oraz skuteczność działania placówki oświatowej zależy w dużej mierze od kadry nauczycielskiej. Liczba nauczycieli i nauczycieli akademickich, którzy prowadzą nauczanie języka polskiego lub inne przedmioty w języku polskim w szkołach publicznych,

niedzielnich, na kursach i na uczelniach stanowi ponad 430 osób, a z nich:

- 42 nauczycieli zostało skierowanych przez CODN⁵;
- 87 po studiach w Polsce;
- 36 po rocznym lub dwuletnim kursie w Lublinie.

Prawie wszyscy nauczyciele odbyli kursy metodyczne w Centrum Języka i Kultury Polskiej dla Obcokrajowców, a także prowadzone przez Polonijne Centrum Nauczycielskie lub organizowane wspólnie przez PCN i Zjednoczenie Nauczycieli Polskich na Ukrainie.

Obok nauczania języka polskiego nauczyciele przygotowują uczniów i młodzież do uczestnictwa w różnych konkursach i festiwalach, do Olimpiady Języka i Literatury Polskiej, do egzaminów na certyfikat znajomości języka polskiego. Przygotowują audycje radiowe i telewizyjne w języku polskim, organizują uroczystości patriotyczne. Prowadzą harcerstwo. Przygotowują do wydania podręczniki i programy (przygotowano i wydano już 6 podręczników i programów dla klasy I–V oraz podręcznik wspomagający w przygotowaniu uczniów klas X–XI do egzaminów z języka polskiego). Regularnie nauczyciele otrzymują gazetę „Głos Nauczyciela”.

Efektom pracy nauczycieli języka polskiego jest wzrost poczucia tożsamości językowej i kulturowej oraz wychowanie uczniów w wielokulturowości, w duchu szacunku dla praw człowieka i współpracy z ludźmi innych narodowości. Dzięki pomocy państwa polskiego większość placówek oświatowych została wyposażona w pomoce dydaktyczne i naukowe, podręczniki i literaturę, w sprzęt audiowizualny, telewizory, magnetofony, komputery, tablice szkolne. Nieoceniona jest pomoc przede wszystkim ministerstw: Edukacji Narodowej, Spraw Zagranicznych oraz Kultury, a także Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, „Semper Polonia” i innych. Ta pomoc obejmuje również budowę i remonty szkół, bezpłatne studia w Polsce dla osób polskiego pochodzenia, staże, praktyki językowe, kursy metodyczne dla nauczycieli, stypendia dla laureatów, Olimpiady Literatury i Języka Polskiego, a dla studiujących na Ukrainie fundowane są stypendia. Dla dzieci i mło-

dzieży polskiego pochodzenia organizowane są coroczne kolonie i szkoły letnie, a także inna pomoc. Dzięki tej ogromnej pomocy, pomimo trudności i problemów, szkolnictwo polskie nadal rozwija się i wzmacnia. A aktywna postawa nauczyciela w promowaniu języka i kultury polskiej na Ukrainie będzie naszym wyrazem wdzięczności.

Julia Sierkowa (Ukraina)

LITERATURA

- Kusiński K., *Polacy na Ukrainie*, Warszawa 1992, UW
- Trela E., *Edukacja dzieci polskich w Związku Radzieckim w latach 1941–1946*
- Chojecki Z., *Spółczesność polskie na Rusi*, Warszawa 1937

PRZYPISY REDAKCJI

- 1 Oczywiście w zaborze rosyjskim.
- 2 Dotyczy zapewne krótkiego okresu między upadkiem caratu w wyniku tzw. rewolucji lutowej (rządy Kiereńskiego) a rewolucją bolszewicką (tzw. październikową) w 8 miesięcy później.
- 3 Autorka pominęła to wyjaśnienie historyczne.
- 4 Tak eufemistycznie określiła autorka deportacje z polskich Ziemi Wschodnich od lutego 1940 r.
- 5 Centralny Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli (?).

Za przekazanie nam powyższego tekstu przez „Wspólnotę Polską” w Krakowie serdecznie dziękujemy.

Ucrainica

CO TO ZA ROCZNICA?

Administracja Lwowa ogłosiła 750-lecie miasta, przypadającego jakoby w 2006 r. Na obchody zorganizowane na przełomie września i października '06 zaproszono nawet prezydentów RP i Litwy. Na głównej uroczystości w Teatrze Wielkim prez. Juszczenko wyraził się tak: *Pragnę oddać hołd polskiej i litewskiej obecności we Lwowie...*

Nad takim stekiem nonsensów nie warto by się zatrzymywać, gdyby nie to, że krajowa prasa powypisywała bzdurne informacje, które dla większości niezorientowanych

dokończenie na s. 64

(również zastrzelony przez Niemców w 1941 r.). Oprócz siedmiu profesorów etatowych na AHZ wykłady prowadzili również profesorowie Uniwersytetu JK: nauki prawne (m.in. prof. K. Przybyłowski) i geograficzne, oraz z Politechniki Lwowskiej (prof. K. Zipser).

Lwowska AHZ była w II RP jedyną uczelnią, kształcąca fachowców dla polskiej służby konsularnej.

Okupanci sowieccy w styczniu 1940 r. na bazie AHZ uruchomili *Lwiwskij Derżawnyj Institut Radziańskiej Torhowli*, gdzie wykładowcami byli też Rosjanie i Ukraińcy, a wśród studentów zdecydowanie ubył Polaków, połowę z nich stanowili zaś Żydzi. W czasie okupacji niemieckiej uczelnia została zamknięta. Działały tylko tajne komplety, w których uczyli profesorowie J. Czyżewski, A. Zierhoffer, Cz. Krogulski, S. Inglot, M. Zimmerman, J. Kuryłowicz. W 1944 r. sowieci utworzyli placówkę serwującą wiedzę o radzieckim handlu.

W ramach ekspatriacji wychowankowie lwowskiej AHZ rozproszyli się, osiedlając się głównie w Krakowie, Katowicach i Wrocławiu. Dawna polska kadra AHZ zasiłała uczelnie wrocławskie, krakowskie (prof. K. Przybyłowski na UJ), poznańskie, w Gdańsku i Toruniu.

Akademia Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie była jedną z dwóch ośrodków akademickich kształcących lekarzy tej specjalności w II RP (druga była w Warszawie). Powstała w 1881 r. dzięki staraniom i wnioski Sejmowi Galicyjskiego i nosiła początkowo nazwę Szkoły Weterynaryjnej we Lwowie. Jej organizatorem i pierwszym dyrektorem był w latach 1881–94 prof. Piotr Seifman, zasłużony polski założyciel Instytutu Weterynarii w Kazaniu. Jeszcze w okresie zaboru austriackiego w 1909 r. szkoła uzyskała pełnię praw akademickich, a po uzyskaniu przez Polskę niepodległości, wkrótce – bo już w 1922 r. – otrzymała z racji jej wysokiego poziomu kształcenia nazwę Akademii Medycyny Weterynaryjnej. Swoją wysoką rangę w II RP osiągnęła dzięki dorobkowi naukowemu grona profesorskiego i działalności dydaktycznej. W ostatnim roku akademickim przed wybuchem II wojny światowej studenci kształcili się w 17 katedrach i specjalistycznych laboratoriach, a wykładowcami m.in. byli tak znakomici uczeni, jak profesorowie-kierownicy katedr: Z. Markowski (Kat. Chorób Wewnętrznych Zwierząt), A. Bant (Kat. Anatomii Zwierząt), G. Poluszyński (Kat. Zoologii), A. Zakrzewski (Kat. Anatomii Patologicznej Zwierząt) czy Tadeusz Olbrycht (Kat. Hodowli Zwierząt). Ostatnim pol-

W Krakowie i dalej

LWOWIANIE UCZCILI PAMIĘĆ WANDY MAZANOWSKIEJ

16 września '06 odbyła się na krakowskim cmentarzu Rakowickim długo oczekiwana uroczystość uczczenia pamięci współinicjator i współorganizatorki budowy Cmentarza Obrońców Lwowa.

Wanda z Rogala-Lewickich Mazanowska (ur. 1874 we Lwowie) straciła w Obrońce Lwowa 1918 r. 19-letniego syna Józefa Mariana (na Persenkówce). Po zakończeniu walk włączyła się do założonego przez grono osobistości lwowskich Towarzystwa „Straż Mogił Polskich Bohaterów”, działając aktywnie najpierw jako wiceprezesa (przy prezydentowej K. Neumannowej), a w roku 1934 stanęła na jego czele. Towarzystwo przystąpiło niezwłocznie do budowy Orłęcej Nekropolii oraz ekshumacji rozproszonych po mieście i okolicy zwłok poległych Obrońców.

Po ekspatriacji znalazła się W. Mazanowska w Krakowie. W ostatnim okresie życia zamieszkała w Zakładzie Helców i tam zmarła w 1951 roku. Miała dotąd skromną, zapadającą się z czasem mogiłę. Nie wiedzieliśmy do niedawna o istnieniu Jej grobu na krakowskim cmentarzu.



Wanda Mazanowska (zdjęcie sprzed I wojny)

W ostatnim roku – realizując myśl prezesa Fundacji „Straż Mogił Polskich Bohaterów” Antoniego Bernharda – miejsce pochówku W. Mazanowskiej odnalazł Adam Gyurkovich z OK TMLiKPW. Sprawie nadał rozmach, bo wziął ją w swoje ręce sekretarz gen. Rady Ochrony Pamięci WiM Andrzej Przewoźnik. Nową, piękną płytę nagrobną przywieziono z Warszawy i wbudowano na Rakowicach.

Uroczystość rozpoczęła się mszą św. w kościele cmentarnym, którą odprawił i wygłosił homilię ks. prof. dr Józef Wołczański. On też nową płytę na grobie poświęcił. Przemawiali min. A. Przewoźnik i prezes ZG TMLiKPW dr A. Kamiński. W uroczystości wziął udział wnuk (po drugim synu W. Mazanowskiej), p. Andrzej Mazanowski, przybyły z Gliwic wraz z żoną i przyjaciółmi.



ŻYCIORYS POLEGŁEGO SYNA SPISANY PRZEZ JEGO MATKĘ WANDE MAZANOWSKĄ

Józef Mazanowski



Śp. podpor. Józef Marian Mazanowski student II roku praw, urodzony 10 czerwca 1899. Ciężko ranny 28 grudnia 1918 na Persenkówce w walce z Ukraińcami, zmarł śmiercią męczeńską 20 kwietnia 1919

w szpitalu Technika. Obrz. rzym.-katol. Syn Aleksandra i Wandy z Lewickich Mazanowskich.

Po złożeniu matury z celującym wynikiem w gimnazjum Franciszka Józefa (obecnie Stefana Batorego) we Lwowie zgłosił się jako jednoroczny ochotnik do szkoły artylerii w Preszburgu. Po ukończeniu jej został przydzielony na front przeciw bolszewikom i ranny w Nikołajowie pod Odessą w kwietniu 1918 w płuca kulą dum-dum. Przebył kurację w polowym szpitalu niemieckim w Rosji, a następnie jako rekonwalescent przewieziony do Krakowa do szpitala. Użytkowski urlop wypoczynkowy w oddziale wojskowym, przybył w październiku do Lwowa i tu go zastał 31 października 1918 r.

Od 1 listopada 1918 śp. chor. Józef Mazanowski wraz z rotm. Abrahamem organizowali Obronę Lwowa. 5 listopada koło godz. 6 wieczór bronił koszar; było ich trzech, dwóch na dole, a śp. Mazanowski na górze i biegali od okna do okna i strzelali. Ukraiń-

ców było około 80, ale pod wpływem ich strzelaniny ustąpili.

Następnie wraz z Abrahamem organizował ochronę Góry Stracenia, gdzie walczył i otrzymywał kilkakrotne odznaczenia. Wymieniony był w „Pobudce” w rozkazach dziennych dnia 14 listopada i 17 listopada. W noc 22 listopada 1918 na czele zaledwie kilkorga młodzieży zajął teatr, Dom Narodny, odwach i stanawszy pod ratuszem o godz. 5.40 rano, zdarł wraz z rotm. Abrahamem ruską chorągiew, a zawiesił polską.

Po odbiorze Lwowa walczy Mazanowski pod Grzybowicami, Laszkami, Dublanami, Sokołnikami i Sołonką, zagrzewając przykładem do męstwa. Wreszcie 28 grudnia 1918 pod Persenkówką w nierównej walce ciężko ranny, ze strzaskanym biodrem, dostaje się 29 grudnia do szpitala na Politechnice, gdzie po 4 miesiącach strasznych cierpień 20 kwietnia 1919 r. życie zakończył.

Po śmierci za waleczność odznaczony rangą porucznika, orderem Virtuti Militari, 4-krotnym Krzyżem Walecznych, odz. Rycerzy Śmierci „Góry Stracenia”, Krzyż Obr. Lwowa, odzn. III odcinka, i Orłętami.



Obraz w Muzeum Historycznym we Lwowie: oddział por. Mazanowskiego w walce na Persenkówce 28 XII 1918

BRODZIANIE PO RAZ CZTERNASTY

Zgodnie z wieloletnią już tradycją, ekspatrianci z Brodów spotkali się w czerwcu tego roku jak zawsze w Wiśle. Pamiętamy, że wybór właśnie Wisły wynikł z miejsca zamieszkania niezapomnianej śp. dr Stanisławy Valis Schyleny († 2004, jej życiorys podaliśmy w CL 1/05), założycielki ogólnopolskiego Koła Przyjaciół Brodów i jego animatorki.

Otwarcia XIV Zjazdu dokonała obecna przewodnicząca p. Joanna Karpacka-Nasiek, zamieszkała w Gliwicach. Na wstępie uczczone pamięć dwojga odeszłych członków brodzkiej społeczności, ale zarazem powitano je d e n a ś c i o r o nowych! To dobra wiadomość.

Spośród tematów poruszanych w czasie spotkania – poza rutynowymi sprawozdaniami z bieżących prac Koła oraz finansowego – trzeba zanotować:

- zebranie książek dla Brodów;
- przekazanie pieniędzy ze zbiorów na spotkania świąteczne dzieci i dorosłych

w Brodach, dofinansowanie przyjazdu dzieci z Brodów na kolonie w RP (organizowane przez Caritas) oraz przyjazdu 50 osób z Brodów na spotkanie z papieżem Benedyktem XVI;

- wydawnictwo „Zeszytów Brodzkich”;
- przygotowanie wystawy o Brodach;
- zbiórka funduszy na kontynuację budowy kościoła w Brodach (w ciągu 8 lat zebrano ponad 90 tys. zł);
- propozycja organizowania zjazdów okręgowych.

P. Wacław Fastnacht (zam. w Krakowie) przedstawił zebrany kolejne sylwetki wybitnych brodzian:

- gen. Franciszka M. Paszkowskiego, żołnierza Legionów Polskich, historyka, filozofa i badacza literatury;
- Kazimierza Missony, filologa klasycznego, językoznawcy, publicysty i pedagoga;
- płk. Tadeusza Runge, żołnierza I i II wojny światowej, organizatora struktury terenowej, skierowanej przeciw spodziewanej okupacji sowieckiej;
- Kazimierza Klicha, nauczyciela i rzeźbiarza.

P. Zbigniew Grata omówił stan starań o budowę pomnika pisarza Józefa Korzeniowskiego w Brzegu. Zapadła już decyzja tamtejszej Rady Miejskiej, wyznaczająca konkretne miejsce lokalizacji pomnika i niebawem ma się rozpocząć budowa postumentu. Pomnik ma stanąć do wiosny '07.

Notatki

◆ W tym roku (w lutym) obchodzono w Przemyślu 40. rocznicę święceń biskupich **ks. arcybiskupa Ignacego Tokarczuka**, em. metropolity przemyskiego.

Ks. abp Tokarczuk pochodzi z Łubianki k. Zbaraża, urodził się w r. 1918. Seminarium duchowne ukończył we Lwowie, święcenia otrzymał od ks. biskupa Baziaka. Był wikarym w Złotnikach k. Podhajec i u św. Marii Magdaleny we Lwowie. Po ekspatriacji był w Katowicach, następnie – po dalszych studiach na KUL – był także wykładowcą. W 1965 r. powołano go na ordynariusza diecezji przemyskiej, podniesionej później do rangi archidiecezji i metropolii.

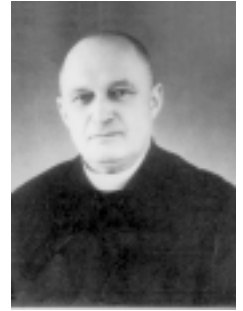
W czasach komunistycznych ks. abp Tokarczuk okazał się silnym człowiekiem Kościoła. W CL 1/03 zamieściliśmy *sylwetkę* ks. Arcybiskupa.

◆ W Krakowie został formalnie wszczęty proces beatyfikacyjny **Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego** (1905–1974), duszpasterza katolików na Wołyniu i Kazachstanie w czasie i po II wojnie światowej.

Przy okazji informujemy, że w Bibliotece „Wołania z Wołynia” ukazały się *Wspomnienia z Kazachstanu* ks. W. Bukowińskiego oraz *Zapiski z Kazachstanu* o. Serafina Kaszuby. Można je zamówić pod adresem: Ośrodek „Wołanie z Wołynia”, 34-520 Poronin, skrytka pocztowa 9.

◆ Z początkiem sierpnia '06 zmarł w Krakowie w wieku 91 lat **ks. biskup Stanisław Smoleński**, profesor Wydziału Teologii UJ i PAT, suffragan krakowski. Został pochowany w krypcie kościoła św. Piotra i Pawła przy ul. Grodzkiej (gdzie spoczywa również ks. Piotr Skarga).

Ks. bp. Smoleński przewodniczył w 1991 r. koncelebrowanej mszy św. w intencji obrońców Lwowa w Bazylice Mariackiej.



Polacy z Polakami

Do zapamiętania

➔ Mieszkańcy Nowego Sącza od pewnego czasu **wspierają parafię w Borysławiu**, gdzie przed rokiem spłonęła drewniana kaplica – jedyna świątynia dla tamtejszych wiernych rzymskich katolików. Obecnie trwają starania o budowę nowej, większej, z salką katechetyczną. Dziś msze św. odprawiane są w prywatnym domu, katecheza zaś w sali udostępnionej przez ukraińskich harcerzy.

Budowa nowej kaplicy przerasta możliwości parafian borysławskich, w większości Polaków (na mszy niedzielnej bywa do 80 osób, w święta 140–160). W Nowym Sączu z okazji pierwszopiątkowych nabożeństw

organizuje się kwesty na ten cel. Niedawno przebywał w N. Sączu o. Jakub Zieliński, redemptorysta, proboszcz parafii w Truskawcu (podlega mu też Borysław) i głosił kazania w bazylice św. Małgorzaty.

Zwróćmy uwagę, że w Borysławiu istnieje piękny kościół, który jednak został zabrany na cerkiew.

➔ **List od ks. Andrzeja Jagiełki CR**, proboszcza parafii MB Nieustającej Pomocy na Zboiskach we Lwowie:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Krakowie Szczęść Boże.

Dziś w Święto Alberta Chmielowskiego przybyły do mnie Panie Krystyna i Emilia przekazując dar 1000 zł od zacnych Sióstr Albertynek i ofiarę 550 zł od TMLiKPW w Krakowie, jako wsparcie dla dokończenia budowy kościoła tu, we Lwowie. Jestem niezmiernie wdzięczny za wszelki trud i ofiary składane, by nam dopomóc w dokończeniu tej budowy.

Niech Maryja, ta Nieustającej Pomocy, wspiera i umacnia w działaniu. Z darem modlitwy i podziękowaniem, w imieniu parafialnej wspólnoty.

Lwów, 17.06.2006 r.

Wymienione z imienia – to panie Krystyna Czarniecka i Emilia Fedyk, członkinie Oddziału TMLiKPW w Krakowie, które były we Lwowie z okazji 350. Rocznicy Ślubów Jana Kazimierza. Kwota pochodziła z doraźnej zbiórki w czasie jednego z comiesięcznych spotkań w Klubie „Zaułek”.

➔ Napisał do Zarządu Oddziału Krakowskiego TMLiKPW **ks. Krzysztof Panasowicz z Doliny**:

Składamy serdeczne podziękowanie za wspaniałą dar w postaci 15 worków całkowicie nowej odzieży dla młodzieży i dorosłych. Dzięki sprawnej organizacji mogliśmy od razu w dniu przyjazdu przenieść worki z „Sokoła” [gdzie mieści się siedziba OK TMLiKPW] do Schroniska na Oleandrach, gdzie byliśmy zakwaterowani w czasie pobytu Ojca św. Benedykta XVI w Krakowie.

Odzież przeznaczoną dla Polaków rozdzielono następująco: 5 worków do Doliny oraz po 5 worków do Odessy i Romanowa na Ukrainie.

skim rektorem uczelni był prof. Kazimierz Szczudłowski, kier. Katedry Chirurgii Zwierząt. Siedziba Akademii mieściła się przy ul. Kochanowskiego 67–69.

Wojna i okupacja Lwowa przyniosła bolesne straty w gronie przedwojennych pracowników Akademii: zamordowany został prof. E. Hamerski (Kat. Chorób Zakaźnych Zwierząt), w getcie lwowskim zginął prof. A. Gizelt (Kat. Farmakologii), w łagrach syberyjskich przebywał prof. J. Aleksandrowicz (Kat. Histologii), rektor Akademii w latach 1935–37, późniejszy żołnierz armii gen. Andersa, a pozostając na emigracji zyskał światowy rozgłos, prowadząc pracę naukową w Anglii.

W czasie pierwszej okupacji sowieckiej uczelnia, oparta głównie o polskie siły naukowe, była czynna jako *Lwowski Weterinarny Instytut*. W okresie okupacji niemieckiej w lutym 1942 r. na jego bazie utworzono *Staatliche Tierarztliche Fachkurse Lemberg*, gdzie wielu wykładowców Polaków zastąpili weterynarze niemieccy i ukraińscy. Władze drugiej okupacji sowieckiej przekształciły w 1944 r. tę placówkę z powrotem w *Lwowski WI*. Pod koniec tegoż roku polscy profesorowie dawnej Akademii Medycyny Weterynaryjnej – wraz z wykładowcami, asystentami, laborantami – opuścili Lwów, przybywając do Krakowa, a w latach 1945–46 do Wrocławia, tworząc główną bazę Wydziału Weterynaryjnego, który został utworzony w ramach Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, jako wydział tej pierwszej dwuczłonowej uczelni polskiej w tym mieście. Jego pierwszym dziekanem został prof. Z. Markowski, b. rektor lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej w latach 1920–23 i 1927–30. Kilku profesorów pozostało we Lwowie.

Danuta Nespiać

CZUKIEW

Wieś w powiecie samborskim, wojew. lwowskim, położona między Dniestrem a jego prawobrzeżnym dopływem, rzeczką Czukiew (dawny Szczukiew, a pierwotna nazwa wsi brzmiała Kotkowice).

Najwcześniejsza wzmianka historyczna o Kotkowicach pochodzi z 1415 r., kiedy to Władysław Jagiełło zezwolił na przeniesienie wsi na prawo niemieckie. Zapewne w tym samym roku erygowana tam została parafia rzym.kat. Od roku 1419 dziesięciny z parafii stanowiły beneficje kościelne (najpierw przypisane katedrze przemyskiej, od 1457 r. kościołowi parafialnemu w Samborze, a od 1631 r. do końca XVIII w. kolegium

KULTURA NAUKA

190 LAT NASZEJ SZKOŁY

Lwowska Szkoła nr 10 – nasza szkoła św. Marii Magdaleny – obchodziła w tym roku 190-lecie swego założenia. Przypomnijmy, że powstała w 1816 r. w budynku probostwa przy kościele św. Marii Magdaleny*. W obiekcie tym dotrwała do r. 1831, po czym przeniesiono ją na przeciwną stronę ulicy (późniejszej Leona Sapiehy), gdzie najpierw wynajmowano domy prywatne, a potem wybudowano nowy „czerwony” gmach. Był on w połowie dla chłopców, w połowie dla dziewcząt, dopiero po I wojnie zbudowano skrzydło „białe” jako szkołę męską, tamta pozostała żeńską**. Po II wojnie ostała się tylko ta „biała”, nadal jako szkoła polska nr 10 (przed wojną nr 8). Mimo więc licznych zmian i perypetii doczekała 190-lecia.

Uroczystość jubileuszową w sobotę 23 września rozpoczęła msza św. w wypełnionym kościele św. Marii Magdaleny. Koncelebrował ją ks. kard. Marian Jaworski z dwoma biskupami pomocniczymi oraz księżmi. Modlitwę wiernych odczytała dyrektorka Szkoły p. Marta Markunina i uczennice, homilię wygłosił ks. bp Leon Mały, proboszcz w tym kościele.

Tego samego dnia po południu odbyła się akademie rocznicowa w sali teatralnej na placu u zbiegu ulic Zielonej i Jabłonowskich***. Wypełniło ją kilkaset osób – miejscowych i gości, przybyłych z RP – z MEN, ze „Wspólnoty Polskiej z Krakowa oraz przed-

Rocznicowa msza św. w kościele św. Marii Magdaleny. Modlitwę Wiernych czyta dyr. Marta Markunina. W czasie mszy św. Po lewej dyr. W. Zagórny z VII Liceum w Krakowie

Część oficjalna akademii rocznicowej. Na estradzie dyr. M. Markunina i Konsul Gen. W. Osuchowski. W części artystycznej zapowiadają Teresa Iwanow i Rafał Makowski

Polonez otwiera część artystyczną akademii rocznicowej



stawiciele szeregu szkół zaprzyjaźnionych z lwowską jubilatką, w tym p. dyr. Wojciech Zagórny z krakowskiego VII Liceum im. Nałkowskiej. Część oficjalną prowadziła p. Dyrektor Markunina. Było wiele przemówień, gratulacji i życzeń oraz dekoracji odznaczeniami (krótką wypowiedź najmłodszej nauczycielki zamieszczamy w ramce obok). Warto tu wspomnieć sympatyczną przemowę dyrektora miejscowego wydziału oświaty.

A potem wspaniała część artystyczna, wyreżyserowana przez prof. M. Iwanową. Wykonawcami byli uczniowie Szkoły i jej absolwenci, zarówno mieszkający we Lwowie, jak i przybyli na tę piękną okazję z RP. Tak się składa, że większość zespołów młodzieżowych i dorosłych, a także ich prowadzących znamy od lat, jednak zaskoczył nas już nawet nie wysoki poziom, lecz perfekcja wykonawcza i obycie na estradzie.

Zaczął się od pełnego elegancji poloneza – jakież naród może się poszczycić taką wizytówką? (szkoda, że nasz styl bycia w ostatnim półwieczu tak bardzo kontrastuje z tamtym, sprzed lat). Podobne wrażenie zrobił kończący występy mazur (oba pod kierunkiem S. Durysa). Nie ustępowały im w niczym uroczyste występy taneczne dwóch zespołów – młodszego i starszego – prowadzonych przez E. Sosulskiego. I jeszcze Teatr „Baj”, zespół „Magdusia” i całkiem dorosły, świetny zespół Z. Jarmilki „Wesoły Lwów”. Taniec wspólny zaprezentowali 8-klasiści pod kierunkiem R. Jakobsze, a 5-klasiści pod kier. I. Słobodiany dali orientalną inscenizację.

Pięknie deklamowała Zagajewskiego A. Kokodyńska, równie udane były recytacje B. Hałas, M. Kretowicz, A. Lewak, Z.B. Sokołowskiej i H. Wróblewskiej. K. Oleńska ujęła słuchaczy swoim śpiewem, na skrzypcach pięknie grała G. Kuc, a *Rewolucyjną* Chopina na fortepianie A. Kindebaluk. Zapowiadali Teresa Iwanow i Rafał Makowski.

Czy było coś, czym nie byliśmy zachwyceni? No, tak: taniec cza-cza, a ściślej styl, jaki zaprezentowało dwoje młodych wykonawców. Przepraszamy, ale nie ma róży bez kolców.

Drugi dzień (niedziela) rozpoczęła msza św. w kościele św. MM, odprawiona przez ks. bpa Leona. Po ewangelii celebrians odczytał list otrzymany od jakiejś *hołowy*, z którego wynikało, że świątynia nie zostanie oddana prawowitym właścicielom, bo to godziłoby w kulturę miasta. Nie pomogły widać

scholastyków w Jarosławiu). Nazwa Czukiew po raz pierwszy występuje w 1521 r. (*Kothkowycze alias Czukyew*). Do połowy XVIII w. obie nazwy używane były wymiennie.

Pierwsza wiadomość o kościele parafialnym w Czukwi pochodzi z protokołu wizytacji przeprowadzonej w 1636 r., w którym znajduje się zapis, że w 1623 r. kościół spalony został przez Tatarów. Nowy, drewniany kościół postawiono w roku 1628. Teren przykościelny otaczały drewniane fortyfikacje.

Obecny kościół parafialny pw. Narodzenia NMP pochodzi z 1726 r., a konsekrowano go w 1743 r. Wybudowany z kamienia łupanego i cegły, tynkowany, złożony z trójprzęsłowej nawy i wyższego od niej prezbiterium, zamkniętego ścianą prostą, do której przylega zakrystia. Po bokach prezbiterium dwie prostokątne kaplice. W 1928 r. do nawy dobudowano kruchtę zaprojektowaną przez inż. Manasterskiego z Sambora. XVIII-wieczne wyposażenie kościoła zastąpiono pod koniec XIX w. ołtarzami w stylu neoromańskim.

W 1957 r. kościół został zamknięty i zamieniony na skład chemikaliów. Ostatni proboszcz, ks. Jan Wajda, zdołał wywieźć część ruchomości kościelnych (w tym obrazy ołtarzowe). W 1990 r., po odzyskaniu kościoła przez tamtejszą wspólnotę parafialną, powróciły one do Czukwi. Kościół zachował się w dobrym stanie. Po odzyskaniu go odmalowano wewnątrz i wybudowano nowy chór muzyczny.

Wśród zachowanych zabytków najcenniejszy jest obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, ze srebrnymi sukienkami i koronami; umieszczony w prowizorycznym ołtarzu.

TYŚMIENICA

Położenie. Miasteczko w powiecie tłumackim, wojew. stanisławowskim, położone o 14 km na płd.wsch. od Tłumacza i 12 km od Stanisławowa. Leży na wys. 252 m n.p.m., w dolinie rzeczki Worony, dopływu Czarnej Bystrzycy. Przechodził tędy gościniec ze Stanisławowa do Niżniowa.

Tyśmienica stanowiła i pozostaje do dziś centrum przemysłu białoskórniczego (skóry szlachetne).

Historia. Pierwotnie była to osada rozłożona na wzgórzu zwanym Horodyszczce. W 1062 r. osiedlili się tu Ormianie, których 200 lat później licznymi przywilejami obdarzył król Kazimierz Wielki. Tyśmienica należała do dóbr królewskich i w 1448 r. król Kazimierz Jagiellończyk wydał przywilej nadający jej miejskie prawo magdebur-

zapewnienia, że i w tym kościele – jak w setkach innych w cywilizowanym świecie – mogłyby się odbywać koncerty organowe.

Pani Dyrektor zaprosiła przyjezdnych gości na zwiedzanie Szkoły. Obejrzelśmy szereg doskonale urządzonych gabinetów przedmiotowych. W trakcie tej wędrowki przeżyłem niezwykle zdarzenie.

Kiedy znaleźliśmy się na I p., zwróciłem uwagę zwiedzających na wnękę w ścianie, gdzie dziś stoją wazon z kwiatami. Opowiedziałem, że pamiętam doskonale wykonywanie tej wnęki – był to kwiecień–maj 1939 r. Pewnego dnia ustawiono nas, wszystkich uczniów, wzdłuż tego korytarza, a wnęką była zasłonięta materiałem. Dyrektor Opalek wygłosił do nas przemówienie, a potem zerwał ów materiał i ukazało się popiersie Józefa Piłsudskiego. Myślę, że było to 12 maja, rocznica śmierci Marszałka. W parę miesięcy później, po wejściu do Lwowa sowieców, rzeźba została usunięta, prawdopodobnie zniszczona...

Zeszliśmy na parter i tam Pani Dyrektor wprowadziła nas do gabinetu historycznego. Na szafce po lewej stronie ujrzelśmy... popiersie Marszałka. Dowiedzieliśmy się, że niedawno robiono porządki na strychu szkoły, usuwając stosy starych gratów, narosłe przez kilkadziesiąt lat. Spod tych gratów ukazała się – zapewne wtedy schowana – owa rzeźba. Została teraz umieszczona w gabinecie historycznym jako dokument nie tak dawnych dziejów.

Tego samego dnia w południe spotykali się w Szkole dawni uczniowie – nie było niestety nikogo z mego przedwojennego rocznika. Na koniec, po południu odbył się w Szkole wieczór poezji pt. *Miasto siedmiu wzgórz*. Niestety nie udało mi się już posłuchać utworów Hemara, Zbierzchowskiego, Budzyńskiego, Schlechtera, Kryski-Karskiego, Masiora, Wasylkowskiego i jeszcze kilku innych poetów, a także paru utworów muzycznych, w wykonaniu uczniów Szkoły. Żałowałem.

Andrzej Chlipalski

* Kościół ten stał się parafialnym po usunięciu dominikanów w ramach tzw. kasaty józefińskiej. Klasztor zamienili austriaccy zaborcy na więzienie dla kobiet. Większość klasztorów lwowskich podzieliła ten sam los – przykładem więzienie u Brygidek, urząd celny u Kларыsek, uniwersytet u Trynitarzy itd.).

** Historię szkoły MM opisała szczegółowo Teresa Dutkiewicz w książce wydanej we Lwowie na 180-lecie szkoły (1996). Dziś mówi się o nowym, poszerzonym jej wydaniu.

*** Plac ten przed samą II wojną – wedle przedwojennego planu miasta – nosił nazwę gen. Orlicza-Dreszera.

WYPOWIEDŹ BEATY PACAN-SOSUL-SKIEJ, najmłodszej nauczycielki lwowskiej Szkoły nr 10

Czcigodni Goście!
Szanowna Dyrekcjo!
Kochani Koledzy!

Dla naszego pokolenia los był łaskawy, bo urodziliśmy się w tym wspólnym mieście, gdzie nawet w latach ZSRR były czynne szkoły z polskim językiem nauczania. Wielu naszych rówieśników tego nie miało.

To, że wpisaliśmy się w historię Szkoły św. Marii Magdaleny, zawdzięczamy naszym Rodzicom, bo to oni nam ją wybrali, podjęli trud przyprowadzania na lekcje czasem z bardzo odległych zakątków Lwowa i okolic. W owym czasie DOM, SZKOŁA i KOŚCIÓŁ to były trzy ostoje polskości, gdzie czuliśmy się swojsko. Dzięki naszym Profesorom pokochaliśmy tę Szkołę. Dzięki osobom Pani Dyrektor i całego Grona ta szkoła ciągle się rozwija. A my, ponieważ kochamy to miejsce, wracamy jako nauczyciele i – kontynuując tradycje naszych Rodziców – przyprowadzamy swoje dzieci, które zajmują swoje miejsce w naszych klasach.

Wracamy też do Szkoły, jako działacze społeczni, bo ona zawsze ma otwarte przed nami swoje podwoje.

I oby dalej tak trwało.



Odnalezione na strychu Szkoły popiersie Marszałka Piłsudskiego, ukryte we wrześniu 1939 r.

DNI LWOWA W POZNANIU

Od 8 do 10 września odbyły się w Poznaniu pod protektoratem Wojewody Wielkopolskiego IX Dni Lwowa, urządzone corocznie przez tamtejszych działaczy Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW. Było mi miło znaleźć się wśród zaproszonych gości jako redaktor naszego kwartalnika, cieszącego się w Poznaniu i północno-zachodnich regionach kraju specjalnym uznaniem.

Niestety nie udało mi się zdażyć i wysłuchać niezwykle ciekawych prelekcji pierwszego i przed południem drugiego dnia spotkań. Straciłem więc wykład prof. dra arch. Aleksandra Grygorowicza, który mówił o *urbanistyce i architekturze historycznego Lwowa*. Tego żałowałam potrójnie, jako architekt, jako lwowianin zamiłowany w historii naszego miasta, a wreszcie jako pamiętający A. Grygorowicza z jego lat krakowskich, gdy był jeszcze bardzo młodym asystentem na wydziale architektury PK.

Drugi stracony przeze mnie temat to również ciekawy wykład dra Marka Figury pt. *Konflikt polsko-ukraiński w prasie Polski Zachodniej w latach 1918–1920*.

W sobotę (9 IX) po południu odbyła się na Zamku Poznańskim *Biesiada Lwowska*. Spotkanie otworzył i powitał gości wiceprezes OP TMLiKPW Stanisław Łukasiewicz wraz z Panią Krystyną Feldman, znakomitą aktorką, osiadłą i działającą od wielu lat w Poznaniu, ostatnio wslawioną niezwykle rolą w filmie *Nikifor* (pisałiśmy o tym w CL). Śpiewał chór „Echo”, zaproszony na tę okazję ze Lwowa, pod dyrekcją Edwarda Kuca.

Po części oficjalnej zaproszono na przyjęcie (ho ho!), a w dodatku czas umilała „Paka Rycha” z niezastąpionym Adaśkiem Żurawskim na czele. Na Biesiadę przybyło paręset osób (było elegancko!), w tym wojewoda T. Dziuba i wiceprezydent miasta. Była znakomita okazja do licznych sympatycznych rozmów z Czytelnikami naszego pisma z samego Poznania i szeregu innych miast tamtych stron kraju (po Koszalin włącznie).

Ostatni dzień rozpoczęła okolicznościowa msza św. w poznańskiej farze. Celebrujący ksiądz wygłosił homilię, w której szeroko i serdecznie nawiązywał do Lwowa, jego historii i znaczenia w polskiej kulturze. Potem zwiedzano jeszcze wystawę fotograficz-

skie. W 1513 r. miasto zostało doszczętnie spalone przez Turków, Tatarów i Wołochów. Część mieszkańców ocalałych z pogromu przeniosła się w dolinę Worony, zakładając tam nowe miasto. Nie wiadomo, kiedy Tyśmienica przeszła w ręce prywatne. Na początku XVI w. właścicielami jej byli dziedziczni panowie z Paniowa. W XVII w. należała już do Potockich. Mikołaj Potocki, hetman wielki koronny, ufundował w 1631 r. parafię rzym.kat., do obsługi której sprowadził dominikanów. Pierwszym przeorem tutejszego klasztoru był o. Szymon Okolski, autor dzieła *Russia gloriosa*, wydanego w 1646 r. we Lwowie, a opisującego dzieje tamtejszej prowincji dominikańskiej. O. Okolski pełnił także przez pewien czas funkcję kapelana i kaznodziei obozowego hetmana Potockiego.

Tyśmienica była kilkakrotnie niszczone podczas napadów tatarskich, tureckich i wołoskich i za każdym razem szybko się odbudowywała. Wraz z miastem niszczone były także drewniany kościół i klasztor dominikański, które po ostatnim zniszczeniu pożarem w 1763 r. odbudowano z cegły. Dominikanie utrzymali się w Tyśmienicy aż do 1936 r., kiedy to ich tutejszy klasztor jako zbyt mały został zlikwidowany przez władze generalne zakonu.

Wielkim wydarzeniem w historii miasta był pobyt Jana III, który w 1686 r. zbierał tu wojska i zegnał się z królową Marysienką przed wyprawą na Wołochów. Tyśmienica przez długi czas należała do Potockich, z pewną jednak przerwą (nie ma pewności kiedy i jak długo), wiadomo jedynie, że dziedzictwo rodowe przejął na nowo w 1755 r. Stanisław Potocki (z rąk Michała Wielhorskiego), a po nim jego syn Józef (zm. 1802).

Ludność Tyśmienicy była wielonarodowościowa i wielowyznaniowa. Grekokatolicy oprócz drewnianej cerkwi parafialnej mieli jeszcze dwie inne, a w latach 1732–44 istniał tu monaster bazylianów. Ważną rolę odgrywała w Tyśmienicy gmina ormiańska, powiększona przez Dominika Potockiego, który w 2. połowie XVII w. osiedlał tu ormiańskich uchodźców z zajętego przez Turków Kamieńca Podolskiego. Ormiańscy kupcy mieli w Tyśmienicy składy towarów, a zajmowali się głównie handlem skórami safanowymi. Mieli także własną parafię z kościołem początkowo drewnianym, a po 1759 r. murowanym. Około 1739 r. przy kościele ormiańskim istniała szkoła. Była w Tyśmienicy także bóżnica żydowska, wybudowana w XVIII w.

Z XIX-wiecznych dziejów Tyśmienicy znamy tylko nieliczne fakty. Wiadomo, że w 1806 r. ce-

ną Krzysztofa Hejke z Warszawy (znany jego piękny album z Cmentarza Obróńców Lwowa), a na koniec – *Piknik Lwowski* na Rynku poznańskim. Na jego program złożyły się: koncert lwowskiego chóru „Echo”, występ Wojciecha Habeli ze świetnym programem, znanym nam w Krakowie (z grubszą, bo ze zmianami) z Piwnicy pod Ratuszem, a wreszcie – przewijające się między tamtymi kapitalne piosenki, skecze i anegdotki bytomskiej „Paki Rycha”. Poznaniacy szaleli z wrażenia – klaskali, tańczyli i wtórowali. Z tego powodu ów Piknik można uznać za najważniejszy: Lwów wyszedł z kręgu swoich i zstąpił na ulice Poznania.

Wielkie uznanie trzeba wyrazić organizatorom: p. Prezes Bożenie Łączkowskiej, pp.

Stanisławowi Łukasiewiczowi, Hannie Dobias-Telesińskiej i Edmundowi Podbielskiemu, którzy – jak się nam zwierzyli – niezwłocznie przystępują do przygotowań do X Dni Lwowa '07. Wszystkiego najlepszego!

PS Lwowski program Wojciecha Habeli znalazł się na płycie CD, którą po raz pierwszy zaprezentowano właśnie w Poznaniu. Jej tytuł: *LWOWSKIE KRAJOBRAZY SERDECZNE*. Miło mi donieść, że z rąk Autora otrzymałem pierwszy egzemplarz płyty, z autografem Wojtka oraz jego aranżera i akompaniatora Romana Hudaszka.

Andrzej Chlipalski

Wiceprezes Stanisław Łukasiewicz otwiera „Lwowską Biesiadę”

Dekluuje Gabriela Kucze Lwowa

Krystyna Feldman jako Gość Dni Lwowa w Poznaniu. Obok p. Halina Makowska ze Lwowa i S. Łukasiewicz

Piknik Lwowski na poznańskim Rynku. Śpiewa Paka Rycha



KOLEKCJA KULCZYCKICH POKAZANA NA WAWELU

W stulecie (1906–2006) powstania we Lwowie kolekcji kobierców i tkanin wschodnich Włodzimierza i Jerzego Kulczyckich* otwarto na Wawelu jej wystawę (czerwiec–wrzesień). Na zbiór składało się ok. 200 zabytków, szczęśliwie uratowanych w czasie II wojny pomimo dwóch wejść armii sowieckiej do Lwowa (1939 i 1944) oraz frontu niemiecko-sowieckiego w 1941 r., wywiezionych po wojnie do Warszawy. W 1964 r. rodzina sprzedała 66 obiektów (w tym zbiór kobierców dworskich) na Wawel, w 1977 r. Anna Kulczycka (wdowa po Jerzym) ofiarowała dalszych 65 cennych tkanin Muzeum Tatrzańskiemu w Zakopanem (dziś ekspozowane są w dawnej willi Koziańskich na Bystrem, reszta pozostaje nadal w rękach rodziny. Wybór z wszystkich trzech zespołów pokazano obecnie na Wawelu, wzbogacając ekspozycję o próbę odtworzenia atmosfery lwowskiego domu Kulczyckich.

Wystawa – tak jak kolekcja – składa się z czterech działów, związanych z miejscami powstania tkanin: tureckiego, perskiego, kaukaskiego i z krajów Azji Centralnej. Najstarsze zabytki pochodzą z XVI w., a dalej: cenne kobierce ogrodowe z XVII i XVIII w., kobierce rytualne (modlitewniki, końskie czapraki itd.).

Na wernisażu była obecna p. Anna Kulczycka, opiekunka rodzinnej spuścizny.

* Prof. Włodzimierz Kulczycki (1862–1936) i jego syn Jerzy Kulczycki (1893–1974) mieszkali we Lwowie przy ul. Snopkowskiej i tam znajdowały się ich zbiory. Dziś mieszczą się one na Bystrem w Zakopanem.

PRZEMYSŁ ROMAŃSKI

W CL 2/06 drukowaliśmy relację prof. A. Żakiego o romańskiej rotundzie na przemyskiej górze zamkowej. Całkiem świeżo (badania zakończono w 1998 r.) odkryto w Przemyślu w podziemiach gotyckiej katedry drugą rotundę, jeszcze starszą, która powstała w czasach Mieszka I. Obecnie przygotowuje się obie do zwiedzania.

Udostępnienie wczesnośredniowiecznych dokumentów polskości Ziemi Przemyskiej

skiej ma ogromne znaczenie wobec powtarzających się – a naukowo bezpodstawnych – rewelacji, kwestionujących polskość i prapolskość tego obszaru, sięgającego daleko jeszcze na wschód od Przemyśla,

Tematowi temu – jak Czytelnicy pamiętają – poświęcamy dużo uwagi i sporo miejsca w naszym kwartalniku. Oczekujemy jednak, że wszystkie te badania – zwięzłe i zakończone pozytywnymi efektami – trafią wreszcie do świadomości ogółu Polaków. A przede wszystkim do podręczników szkolnych.

JUBILEUSZ JERZEGO KOWALCZUKA

Z końcem października uroczyste obchodzono na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie 80-lecie urodzin Profesora Jerzego Kowalczuka, który przez kilkadziesiąt lat prowadził pracę naukowo-dydaktyczną na tej uczelni – jako kierownik Zakładu Geofizyki, wicedyrektor Instytutu i prodziekan Wydziału Geologii, Geofizyki i Ochrony Środowiska. Był uczestnikiem wypraw polarnych PAN na Spitsbergen, autorem kilkunastu prac naukowych.

Jerzy Kowalczuk był w latach 1989–96 pierwszym prezesem oddziału TMLiKPW. Lata na emeryturze poświęcił opracowywaniu monografii lwowskich przedwojennych szkół średnich – wydał ich już kilka, następne są w przygotowaniu. O tym wszystkim pisaliśmy w CL parokrotnie (m.in. w CL 1/99, także w tym numerze), a w CL 2/2000 zamieściliśmy rozmowę z Profesorem.

Jubilatowi sedecznie gratulujemy i dziękujemy za Jego wkład w utrwalanie wiedzy i pamięci o naszym wspólnym polskim Mieście.

W krakowskim „Dzienniku Polskim” 14/06 ukazała się niezwykle interesująca (i sentymentalna zarazem) rozmowa M. Lisińskiej-Koziół z Jerzym Kowalcukiem. Profesor pięknie mówi o Lwowie, a także o Żółkwi (gdzie dorastał) i Kuliukowie (gdzie się urodził jako syn sędziego). Opowiada o swoich poszukiwaniach archiwalnych i satysfakcji ze zdobyczy, które już zaowocowały i nadal owocują monografiami kolejnych lwowskich szkół.



sarz austriacki Franciszek I nadał miastu przywilej na jarmarki roczne; że pod koniec lat 50. przebywał tu poeta Wincenty Pol oraz że w 1882 r. miasto zniszczył pożar.

W czasie II wojny światowej miasto zostało bardzo zniszczone, po wojnie zaś zabudowane blokami.

Z historycznych zabytków Tyśmienicy do dzisiaj ocalała tylko drewniana cerkiew z 1736 r. i dzwonnica oraz część murów kościoła i klasztoru dominikańskiego. Obecnie nie ma tam żadnego kościoła rzym.kat.

Maria Taszycka

SPIS HASEŁ SŁOWNIKA ZAMIESZCZONYCH W ROCZNIKU 2006

Czukiew	4/06
Jablonica	1/06
Janów	1/06
Jezierna	1/06
Kozłów (miasto)	1/06
Kozłów (wieś)	1/06

Lwów – pomniki, figury, rzeźby 2/06

- Rzeźby na Rynku
- Pomniki na ulicach, placach i w parkach
- Rzeźby, figury, nagrobki w mieście i na cmentarzach

Lwów – uczelnie akademickie

- Akademia Handlu Zagranicznego 4/06
- Akademia Medycyny Weterynaryjnej 4/06
- Politechnika Lwowska 3/06
- Uniwersytet Jana Kazimierza 2/06

Peczenizyn	1/06
Rozwadów	3/06
Tłuste (miasto)	3/06
Tłuste (wieś)	3/06
Tłusteńkie	3/06
Trzcieniec	3/06
Tyśmienica	4/06

SPISY HASEŁ ZAMIESZCZONYCH W POPRZEDNICH ROCZNIKACH

1995–1996	CL 1/97		
1997	CL 1/98	2002	CL 4/02
1998	CL 1/99	2003	CL 4/03
1999	CL 1/2000	2004	CL 4/04
2000	CL 4/2000	2005	CL 1/06
2001	CL 4/01	2006	CL 4/06

CO TO ZA ROCZNICA?

dokończenie ze s. 53

w historii Polaków (nieraz o nich piszemy) mogła się wydać wiarygodna. Zwróćmy przede wszystkim uwagę na kilka podstawowych przekłamań.

Co się stało 750 lat temu, tzn. w roku 1256? Pamiętamy, że ziemie łędziańskie zostały najebrane i opanowane w. 981 r. przez księcia kijowskiego Włodzimierza i pod władaniem ruskim – pomimo kilkakrotnych prób odbicia ich przez królów i książąt polskich – trwały aż do połowy XIV wieku, kiedy to odebrał je Kazimierz Wielki. Czy więc w 1256 r. ówczesny władca tzw. Rusi Halickiej wydał jakiś akt lokacji miasta? Nie, data ta wiąże się wedle ruskich kronik (*latopisów*) z obserwowanym jakoby ze Lwowa pożarem Chełma. Dziś uważa się, że żadna łuna z takiego pożaru nie mogła być nawet w Wysokiego Zamku widziana (ponad 150 km), zapis więc wynika raczej z fantazji kronikarza. Można przeto uznać, że w r. 2006 przypada rocznica pierwszej wzmianki historycznej z użyciem nazwy Lwowa.

Jest więc oczywiste, że gródek, a może i osada, już tam istniał – na górze zamkowej, na jego stokach lub u stóp. Nie była to jeszcze stolica Rusi Halickiej (wtedy był nią Chełm), lecz punkt obronny, związany z częstymi najazdami Mongołów. Pytanie

jednak, czy nie egzystowała tam jeszcze wcześniej osada łędziańska? Wydaje się, że było to odwieczne miejsce zamieszkania ludzi, jako niezwykle korzystnie położone w pobliżu skrzyżowania dróg wschód-zachód i północ-południe, ukryte wśród wzgórz i lasów, górujące nad dobrze osłoniętą doliną. Miejsce to więc na pewno nie zostało odkryte dopiero przez księcia Daniela lub Lwa, lecz zabrane zastanym tam łędziańskim mieszkańcom.

Szersze omówienie wczesnych dziejów Lwowa i całego regionu zawiera I rozdział książki Leszka Podhorodeckiego *Dzieje Lwowa* (Warszawa 1993), który tu obok ze skrótami cytujemy.

* * *

I drugie przekłamanie w wypowiedzi p. Juszczenki: co miała Litwa do Lwowa? Można się domyślać, że bezpodstawne wprowadzenie wątku litewskiego oraz zaproszenie prezydenta Litwy na rzekome 750-lecie Lwowa wynikało z chęci rozmocy i jego wielowiekowej polskości. Nb. bardziej sensowne byłoby zaproszenie prezydenta Węgier, bo przecież Węgrzy parokrotnie usiłowali zaanektować nasze ziemie południowo-wschodnie. Kres temu położyła dopiero Królowa Jadwiga – córka króla węgierskiego (pisaliśmy już o tym w CL).

KOLORÓW MOŻE BYĆ WIELE

Kiedy toczyła się *pomarańczowa rewolucja*, a nasi politycy gnali do Kijowa i bez miary wykrzykiwali swoje poparcie dla Juszczenki, zapytywaliśmy czy to polityczni e? Przecież – po pierwsze – nie wiadomo było, kto wtedy zwycięży, po drugie – co będzie, gdy się z czasem odmieni? Politykiem jest nie ten, kto pełni taki zawód, lecz ten, kto jest rozsądny, przewidujący wszelkie warianty.

Jest taki obyczaj w dyplomacji, że głowa państwa lub szef rządu, jadąc z wizytą do innego państwa, spotyka się z głową tamtego państwa lub jego premierem, ale zawsze również z przywódcą opozycji. Wiadomo wszak, że w najbliższych wyborach role mogą się zamienić! Nasi jeszcze tego nie przerabiali. Dobrze pamiętamy, kto najgłośniej wykrzykiwał na kijowskim placu...

No i stało się. Co, jak i kto – wiemy z mediów. Sprawa interesuje nas generalnie jako Polaków, ale nasze środowisko ma jeszcze inne zmartwienie. Czujemy się związani z opuszczoną *małą ojczyzną* i rodakami, którzy tam żyją, i dlatego o tym piszemy. Zacytujmy słowa politologa z Żytomierskiego Uniwersytetu Państwowego, Polaka i prezesa Polskiego Towarzystwa Naukowego, S. Rudnickiego:

...wybór Janukowycza na premiera może się odbić nie tylko na stosunkach ze sprzyjającą „pomarańczowym” Polską, ale również na mniejszości polskiej [podkr. red.]

Nasz niepokój jest więc uzasadniony.

HERBY NASZYCH MIAST

W CL 3/06 pisaliśmy o wydanych przez Gorzowski Oddział TMLiKPW serii 23 kartek pocztowych z herbami miast województwa lwowskiego. I oto otrzymaliśmy z Gorzowa przesyłkę z kolejną serią kartek – tym razem 25 herbów z województwa stanisławowskiego. Prezes Piotr Franków donosi, że niebawem ukaże się wojew. tarnopolskie, ponadto zbierane są materiały do województw wołyńskiego i nowogródzkiego. Herby są bardzo ładnie opracowane graficznie, rysował je plastyk Dariusz Sapkowski.

Poprzednią informację zamieściliśmy w dziale *Wertując wydawnictwa* (s. 71). Ni-

niejszą wiadomość przedstawiamy w dziale *Kultura–Nauka* z rozmysłem: wydanie serii kilkudziesięciu kartek z herbami miast to wspaniały dokument polskiej historii i kultury naszych Ziemi Wschodnich. Róbmy wszystko, by kartki te *trafiły pod strzechy*. Podajemy więc powtórnie adres, na który można zgłaszać zamówienia:

Centrum Sieci Pocztowej, 66-400 Gorzów Wkp., ul. Jagiellończyka; lub: p. Robert Kulig, tel. (0-95) 72-10-229.

Kilka kartek z mniej zapewne znanymi herbami reprodukowujemy.



Kronika

◆ Dyrekcja i Pracownicy Zamku Królewskiego na Wawelu uczcili mszą św. w Katedrze wawelskiej **50. rocznicę śmierci Tadeusza Mańkowskiego**, pierwszego po II wojnie dyrektora Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu i twórcy pierwszego wojennego kształtu muzeum na Zamku Królewskim.

Tadeusz Mańkowski (1878–1956) był w Lwowie adwokatem, ale równocześnie stał się wybitnym historykiem sztuki i badaczem, autorem szeregu fundamentalnych, niezastąpionych dotąd, dzieł naukowych w zakresie historii sztuki. W Londynie wydano w 1974 r. jego *Dawny Lwów, jego sztuka i kultura artystyczna* (nakładem Fundacji

Lanckorońskich i emigracyjnej Polskiej Fundacji Kulturalnej), a wcześniej, w 1959 r. Ossolineum wydało *Orient w polskiej kulturze artystycznej*, co oczywiście w dużej mierze dotyczy Lwowa i ziem południowo-wschodnich.

Warto by pomyśleć o powtórnym, krajowym wydaniu pierwszego z wyżej wspomnianych dzieł. Nikt dotąd nie podjął podobnej pracy i nie zanoszą się na to. Może zainteresowałyby się tym Fundacja „Semper Fidelis”?

Obszerne *curriculum vitae* Tadeusza Mańkowskiego pióra Jerzego T. Petrusa, obecnego wicedyrektora Zamku Królewskiego na Wawelu, zamieściła „Gazeta Wyborcza” z 21 VIII '06. Niektóre dane tam zawarte pozwalamy sobie wykorzystać w *Sylwetce* w tym numerze.

◆ Towarzystwo Internistów Polskich obchodziło w tym roku swoje stulecie. Powstało w 1906 r. we Lwowie i do 1923 r. nosiło nazwę Towarzystwa Internistów Ziemi Polskich. Inicjatorem założenia organizacji oraz jej pierwszym prezesem był profesor Uniwersytetu Lwowskiego Antoni Władysław Gluziński (1856–1935). W tym roku przypadła zarazem 150. rocznica jego urodzin. TIP jest jednym z największych stowarzyszeń lekarskich. Stworzone przez Gluzińskiego czasopismo „Polskie Archiwum Medycyny Wewnętrznej” ukazuje się do dziś jako miesięcznik.



Z okazji jubileuszu Poczta Polska wydała 3 znaczki z portretami A. Gluzińskiego i jego szczególnie zasłużonych następców: W. Orłowskiego (Warszawa) i E. Szczeklika (Wrocław). W tle

znaczków widać miasta, w których działali. Na znaczku Gluzińskiego (najdroższym – 3 zł) widać pomnik Mickiewicza, kamień Sprechera i wieżę Katedry).

Córka Gluzińskiego, Janina, była żoną Kornela Makuszyńskiego.

◆ W Krakowie kolejna **wystawa w więk-szości z naszych zbiorów lwowskich**: w czerwcu–lipcu czynny był w Kamienicy Szolańskich pokaz plakatów znanego grafika czeskiego Alfonsa Muchy (1860–1939), które pochodzą z Muzeum Przemysłowego we Lwowie (a dziś pozostają w tamtejszym Muzeum Etnografii i Rzemiosła Artystycznego, które mieści się w dawnym gmachu Galicyjskiej Kasy Oszczędności na rogu ulic Legionów i Jagiellońskiej). Kolekcja Muchy została zgromadzona przed stu laty. Są tam m.in. plakaty tworzone dla Sary Bernhardt.

◆ W „Dzienniku Polskim” 192/06 znaleźliśmy informację, że **słynny krynicki „Lwigród”** – przez ostatnie ćwierćwiecze (zawdzięczając to gospodarce PRL i kilkunastu lat III RP) popadający niemal w ruinę – został odkupiony przez „króla polskiej porcelany” M. Kwietnia i odnowiony jako *Ośrodek Konferencyjno-Wypoczynkowy*.

Upadek olbrzymiego gmachu, już wcześniej coraz bardziej zaniedbywanego, zaczął się w 1981 r. i przez 25 lat budynek pozostawał nieogrzewany i pusty. W międzyczasie wykradzono część cennych płócien K. Sichulskiego i F. Wygrzywalskiego (alarmowała o tym wielokrotnie prasa, także w CL o tym pisaliśmy), które w liczbie 20 zdobiły jadalnię i hol sanatorium. Obrazy, przedstawiające historię tańca i sceny mitologiczne, zostały odnalezione i obecnie są w gestii dyrekcji Uzdrowiska, nie wykluczone jednak, że Spółka „Posejdon” (firma M. Kwietnia) je wykupi.

„Lwigród” powstał w 1928 r. za pieniądze ze składek lwowskich urzędników i stał się jednym z najnowocześniejszych i najpiękniejszych obiektów uzdrowiskowych w Polsce. W Krynicy (i nie tylko) stanowi nadal perłę architektury. Odnowiony został starannie pod okiem konserwatorskim.

Przypomnijmy – czego nie dopisano w artykule – że twórcą tego obiektu był znakomity architekt lwowski Eugeniusz Czer-

wiński (1887–1930). Lwowianami byli również obaj wybitni malarze, autorzy wspomnianych obrazów.

Leopolis ubique praesens...

◆ Znany malarz krakowski – lecz **urodzony we Lwowie przed 100 laty – Eugeniusz Waniek** (patrz CL 2/01) obchodził w tym roku swój wielki jubileusz. W związku z tym został mianowany Honorowym Profesorem tutejszej Akademii Sztuk Pięknych.

◆ W lipcu '06 przebywał na terenie Małopolski **Młodzieżowy Kameralny Chór im. J. Słowackiego z Krzemieńca**. Po kilku występach w kilku podkrakowskich miasteczkach chór zaprezentował się w niedzielę 23 VII w Krakowie w kościele św. Józefa przy Rynku Podgórskim. Na program składały się pieśni religijne, śpiewane podczas dwóch mszy św. oraz po ich zakończeniu – jako półgodzinny koncert. Chór śpiewał na kilka głosów z partiami solowymi oraz z towarzyszeniem instrumentów muzycznych. Popisowym numerem było wykonanie *Litanii do Matki Boskiej Ostrobramskiej* Stanisława Moniuszki (2 poł. XIX w.). Ponad 20-osobowy chór wykazał się wysokim poziomem artystycznym, koncertu słuchało się z ogromną przyjemnością.

Kierownikiem artystycznym i dyrygentem Chóru jest p. Anatol Galiszewski, opiekunem artystycznym zaś dobrze nam znana p. Jadwiga Guśławska (także nasza Autorka – patrz CL 2/98 *Krzemieńca się nie zapomina*).

Przy okazji niektórzy mieszkańcy krakowskiego Podgórze (prawobrzeżna dzielnica Krakowa – informacja dla nie-krakowian) dowiedzieli się, że gdzieś daleko na Wołyniu jest Krzemieniec. Wielu przypuszczało pierwszy raz o tym słyszało...

◆ W połowie września odbył się na Zamku przemyskim **Międzynarodowy Festiwal Kresowej Pieśni Patriotycznej Przemysł 2006**. Celem imprezy stało się – jak napisali organizatorzy – *ocalenie od zapomnienia tego, co wiąże się nieodwołalnie z naszą historią, tradycją, kulturą, zwłaszcza kresową. Taką nieodłączną towarzyszką naszej historii była zawsze pieśń. Pieśń, która podtrzymywała naród na duchu w trudnych dla Polski chwilach. Pieśń, która zagrzewała do walki, gdy była taka potrzeba. Pieśń, która*

koła zranione serca Polaków. To ona dawała siłę, świadomość więzi narodowej i wiarę w przetrwanie. To także pieśń, która posiadała moc, powodowała uczucie dumy i wielkiej radości wynikającej z faktu bycia Polakiem. Festiwal jest także próbą nadania żywego znaczenia słowom już nieco zapomnianym, takim jak: patriotyzm, ojczyzna, honor...

W Festiwalu wzięły udział zespoły z Małopolski Wschodniej: z Sambora – chór mieszany „Sursum Corda” i dziecięcy „Cantate Domino” (oba pod dyr. Krystyny Husarz), ze Złoczowa – „Bijące Serduszka” (Luba Muryn), z Borysławia – „Wesoła Szkoła”, z Sądowej Wiszni – „Lilia” (Halina Wójcicka), z Drohobycza – „Odrodzenie” (Maria Galas), z Czortkowa – „Jaskółka”, a także z Lidy na Nowogródczyźnie, z Baru na Ukrainie i z Niemenczyzna na Wileńszczyźnie.

◆ W piątek 29 września codzienny poranny (6–9) program TVP1 „Kawa czy herbata” został nadany z e L w o w a. Prowadzili jedni z najbardziej znanych i lubianych prezenterów: Anna Pawłowska i Paweł Pochwała.

Przeprowadzono liczne rozmowy, głównie oczywiście z Ukraińcami, ludźmi kultury różnych zawodów i stanowisk, reprezentujących dzisiejsze elity tamtego społeczeństwa. I co: prawie wszyscy (z wyjątkiem pani od mody i jednej studentki) – w różnym wieku – średnim, młodym i całkiem młodym (a starszych nie było wcale) mówili sprawnie po polsku. O polskości mówiono jako o czymś normalnym, a młody historyk powiedział, że nowe pokolenie naukowców musi znać język polski, by korzystać z zasobów archiwalnych i bibliotecznych zarówno we Lwowie, jak i po tej stronie granicy. Okazuje się, że nie tylko naukowcy...

Prezenterzy rozmawiali też z konsulem RP amb. Wiesławem Osuchowskim, ze Zbigniewem Chrzanowskim, dyrektorem Polskiego Teatru we Lwowie, oraz z grupą polskich przewodników. W tle pokazywano ulice Lwowa, panoramę miasta, zabytki. Tym dźwiękowym były piosenki lwowskie, śpiewane po polsku i... ukraińsku. Zapowiedziano kolejny program ze Lwowa.

Tego samego dnia około południa usłyszeliśmy rozmowę z *merem* Lwowa Andrijem Sadowym, który po polsku mówił bezbłędnie.

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Ta książka zrobiła na nas duże wrażenie. Czy szczególną formą artystyczną? Nie, choć literacko jest bez zarzutu. Czy jakąś porywającą fabułą? Też nie, mimo że tę fabułę trudno uznać za pełną łagodnego ciągu zdarzeń. Szczególnymi opisami przyrody lub historycznych wypadków? Wcale nie, choć z grozą historii i przyrody ma wiele wspólnego. A może przedstawia niezwykłych bohaterów? I to nie, bo mowa tam o ludziach zwykłych. Prawdziwym bohaterem książki jest pokolenie – pokolenie polskiej młodzieży, które dorastało lub dorosło na styku wolnej Polski i najgorszej z wojen.

Książką, którą mam przed sobą, są wspomnienia Alicji Bober – **Życie autorem** (wyd. Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Kolbuszowej, 2005). Pani Alicja przypisuje autorstwo książki wydarzeniom krótkiego w istocie okresu swego życia – 1940–44, ale to nie były zwykłe lata ludzkiego życia.

Wspomnienia Alicji Bober dotyczą jednego, lecz jakże niejednorodnego ciągu wydarzeń: wywózki w 1940 r. do Kazachstanu, a potem – po opuszczeniu *niehumanitarnej ziemi* – kilku lat spędzonych w Palestynie, gdzie napłynęła rzesza głównie młodych Polaków.

Dziewczęta i chłopcy mogli się tam wreszcie pozbyć poczucia zniewolenia i nadrobić stracone lata nauki, tworząc zarazem podstawy polskich sił zbrojnych.

Wydawcy książki przypominają wcześniejsze relacje z lat zniewolenia: J. Czapskiego, M. Wańkowicza, B. Obertyńskiej, ks. Z. Peszkowskiego, S. Lisickiego itd., a ostat-

nio doszła do nich opowieść Hanki Ordonówny, którą omawialiśmy w poprzednim numerze CL. To wszystko są wspaniałe dokumenty, jednak książka A. Bober zawiera coś więcej: wspomnianą wyżej opowieść o latach nauki i służby w Nazarecie, widzianej oczami jednej z tych dziewcząt. Dodajmy: przeżywanej osobiście do samego końca tamtego okresu historii własnej, a także historii części pokolenia Polaków, najbardziej poszkodowanego.

Postawmy „kropkę nad i”: czy naprawdę chodzi tylko o historię Autorki i jej pokolenia? Wcale nie. Weźmy pod uwagę, że po latach ci młodzi ludzie, kiedy minęło najgorsze, stanęli – lepiej lub gorzej – na nogi. Założyli rodziny, znaleźli (przeważnie) zawody i pracę, doczekali się dzieci i wnuków. Jednak w istocie chodzi o dramat o wiele większy. O ogromną część tej młodzieży nie wróciła do kraju, a w każdym razie nie do swoich stron rodzinnych. Chłopcy i dziewczęta, którzy – gdyby nie wojna – dorosliby we własnym kraju, we własnych stronach, na rodzinnej ziemi. We Lwowie czy w innych miastach tworzyliby dalsze ogniwa rozwoju naszego społeczeństwa, nowe pokolenie wschodniomałopolskich (lub wileńskich, wołyńskich) Polaków. To, że stało się to niemożliwe, uznajmy za najwiedźszy dramat, bardziej okrutny niż cała suma indywidualnych losów.

Przeczytajmy i zastanówmy się nad relacją Pani Alicji, która opisuje swoją podróż latem 1977 r. na rodzinne zaproszenie do USA (ss. 281–83).

[...] *U Hanki w Chicago zastałam jej młodszą siostrę Baškę, która przyleciała z Londynu odwiedzić chorą. Hanka wracała do zdrowia. Wcześniej owdowiała, lecz nie była całkowicie samotna, gdyż córka, zięć i wnuk mieszkali w Chicago. Przed odlotem Baški pięć koleżanek z jej klasy stawilo się na pożegnanie. Jedna pamiętała mnie i Wandę* z Guzaru. Właśnie ona, Irka Piątek (Zapaśnik), przeznaczyła wolną sobotę, aby razem z mężem pokazać mi swój dom i Chicago.*

Wieczór pożegnalny [...] natchnął obecne do zaproponowania mi pracy nauczycielki języka polskiego w szkółce sobotniej [...], zapewniły, że postarają się, żebym użyła również w tygodniu. Polacy, wyjeżdżający na weekend z miasta, nie posyłają dzieci do



sobotnich szkółek, choć pragną, żeby się języka ojczystego uczyły. Dzięki koleżankom miałam szansę podreperować budżet. Żałowały, gdy zrezygnowałam z tej oferty ze względu na sytuację rodzinną i zawodową w kraju.

Hanka skontaktowała mnie z Dąbrowskimi, byłam u Ludki, czyli Mici. Iruś, jej mąż, ciężko ranny we Włoszech w 1944 roku, cierpiał wskutek odnawiania się ran i w ciągu pięciu lat przechodził kilka razy operację nogi; skończyło się amputacją. Nie załamał się. Zaocznie studiował sztuki plastyczne, wykładał na uczelni. Dom zdobiły jego rzeźby. Micia osiem lat pracowała na nocnej, dobrze płatnej zmianie w banku, by utrzymać rodzinę. Mają dwie córki.

Oleńka z mężem chemikiem i trzema synami mieszkała w Kanadzie (Windsor) i pracowała w Detroit, gdzie była profesorem psychologii na uniwersytecie katolickim. Obwoziły mnie obie po mieście i okolicy. Zobaczyłam Orchard Lake z polskim wydziałem teologii. Irena Glowacka, mimo że była po poważnej operacji, zawiozła mnie do Toronto na spotkanie z koleżankami i nad wodospad Niagara, pokonując kłopot, bowiem nie miałam wizy. Nadzwyczajna.

Oleńka skontaktowała mnie z Zochą Grudzińską, która telefonowała z Los Angeles. Rozmawialiśmy tak długo, że aż wystraszyłam się, iż za ową rozmowę zapłaci majątek. Uspokoila mnie. To niewielka suma w porównaniu z kosztem przelotu przez cały kontynent, z czego zrezygnowała wskutek ostatnich wydatków: odnowienie domu. Jej życie z Włodkiem, którego poślubiła w Palestynie, układało się bardzo dobrze, chociaż nie mieli dzieci. Matka Zosi wróciła do Polski, spoczywa na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Irka Świstunowicz telefonowała i uzgodniła z moją kuzynką, że w drodze powrotnej z Saint Louis wstąpię do niej, stamtąd odwiezie mnie do Nowego Jorku na lotnisko. Spędziłam u niej trzy dni, które wyrwała ze swego dwutygodniowego urlopu, przysługującego jej raz na rok. Irka wyszła za mąż – w Bolonii – za Mietka, którego poznaliśmy w Palestynie. Był lekarzem, a Irka kierownikiem laboratorium analitycznego, ich córka studiowała medycynę w Krakowie. Własnoręcznie odrestaurowali tanio nabyty budynek mieszkalny; bardzo zniszczony i zanie-

dbany, pięknie położony wśród dębów i sosen. Uczynili z niego cacko, przytulny dom rodzinny. [...]

Zebrałam trochę wiadomości o koleżankach i naszym kochanym gronie pedagogicznym. Pani Haneczka jest w Londynie. Pani Kościalkowska, dyrektorka, profesorka Madey i Kotowicz oraz pani komendantka Sychowska już nie żyją. Zocha Strzelec leciała specjalnie z Londynu do Sao Paulo, by odnaleźć grób komendantki. Dzięki prezydentowi miasta trafiła do męża i dzieci zmarłej. Pokazano jej grób na cmentarzu, gdzie złożyła kwiaty; w prasie ukazał się artykuł o wdzięczności ludzkiej; przedstawił w serdecznym tonie sylwetkę Polki, która zaskarbiła sobie serca dzieci uratowanych w czasie wojny. Tę wiadomość znalazłam w Księdze Pamiątkowej – wydanej przez nazaretanki** w Londynie – którą przejrzałam u Hanki. [...]

O niektórych koleżankach ktoś coś wiedział. Iga Zemanek została z mężem w Anglii. Jej siostra Zosia nie żyje. Irma Frączek także. Siostra Armey Wandzia w Aglii. Krysia Andrzejowska skończyła medycynę i z mężem pracuje na Filipinach. W Kanadzie osiedliły się: Wanda Bania, Krysia Turek, Krysia Marchut i Marysia Schmall, której siostra Alicja mieszka w Lodynie. Wszystkie wyszły za mąż za Polaków. Nie wiem nic o Krysi Kowalskiej, Marysi Parczewskiej, ani o tych koleżankach, z którymi studiowałam medycynę w Edynburgu na przełomie lat 1944–1946.

Nazaretanki, rozsiane po świecie, zajęte swoimi obowiązkami i wtłoczone w najrozmaitszą rzeczywistość, zwolują się systematycznie – początkowo co dziesięć lat, teraz – co pięć lat, aby zanurzać się w ożywczy nurt wspomnień młodości; zwróconej nam w tamtych dniach przez garstkę ludzi dobrej woli, i aby cieszyć się nadal więzami przyjaźni. Jak dobrze część takiej tęczy zachować na jesień życia.

No cóż, od tamtych spotkań minęło 30 lat. Dziewczęta, jeśli jeszcze żyją, mają po 70–80 lat. Ich dzieci, które nie mogły uczęszczać do sobotnich szkółek, po polsku się za wiele nie nauczyły. Wnuki – zapewne już narodowo mieszane – czy wiedzą cokolwiek o przytoczonych historiach, i czy je to w ogóle obchodzi? Zauważmy, że dokładnie tak samo jest w Anglii, Francji, Włoszech, Ka-


nadzie, w Ameryce Południowej, Australii, nawet na Filipinach i setkach innych miejsc świata.

I jeszcze zauważmy, że w ostatnich parudziesięciu latach wyjechała z kraju rzesza Polaków – starszych, dorosłych z dziećmi, młodzieży. W tym setki powojennych ekspatriantów, przecież wszyscy takich znamy. Czy będzie można ich nazwać polską diasporą? Ależ nie, ich dzieci wejść jeszcze szybciej w obce społeczeństwa, bez sentymentów, bez świadomości, skąd ich ród...

Ale m y musimy o tym wiedzieć.

-
- * Irena Wanda Bober, zam. Majchrzycka, starsza siostra autorki. Patrz *Notatki* w CL 3/06.
 - ** Mianem *Nazaretanek* określano wszystkie dziewczęta, które po wyjściu z ZSRR znalazły się w Nazarecie (nie ma związku z zakonem ss. Nazaretanek)

ALICJA BOBER, zam. Michałowska, ur. 1922 we Lwowie. Przed wybuchem wojny uczennica Liceum Pedagogicznego. W lutym 1940 wywieziona z rodziną do Kazachstanu. W 1942 opuściła rodziców i wraz ze zwolnioną z łagru siostrą Wandą wstąpiła do armii Andersa w Uzbekistanie. Wraz z wojskiem dotarła do Palestyny, gdzie ukończyła Wojskową Szkołę Młodszych Ochotniczek. Po wojnie w W. Brytanii, przez dwa lata studiowała medycynę na Polskim Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Edynburgu. W 1947 wraz z mężem wróciła do Polski. Nie mogąc kontynuować medycyny, ukończyła filologię polską na UMCS w Lublinie. Przez lata mieszkała i pracowała w Kraśniku, obecnie na emeryturze w Gdańsku. Wydała tomiki poetyckie.

 Podobny los, który wyznaczył drogę autorce poprzednio omówionej książki – choć jej etapy nieco inaczej się układały – prowadził **Ewę z Cieńskich Fedorowicz**. Swoje losy, smutne w istocie, spisała w niedawno wydanej książce **Wędrowki niezamierzone** (Wydawnictwo LTW, Dziekanów Leśny 2005).

Ewa Cieńska pochodzi ze znanej wschodniomałopolskiej rodziny ziemiańskiej, związanej przede wszystkim z Oknem na Pokuciu i Pieniakami k. Brodów, ale sama wywodzi się z gałęzi osiadłej nad Dniestrem (Ossowce). Najbardziej jednak czuje się związana z Jezupolem Dzieduszyckich – autorka jest rodzoną siostrzenicą znanego nam Pana Wojciecha-Tunia i prawnuczką

ślawnego z dowcipu, hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, XIX-wiecznego polityka i filozofa, profesora Uniwersytetu Lwowskiego, austriackiego ministra dla spraw Galicji. Urodzona w 1923 r., uczyła się u Sióstr w Jazłowcu i Niżniowie. W sierpniu '39 jej ojca powołano do wojska, znalazł się potem na Zachodzie. Matkę z trzema córkami wywieźli sowieci do Kazachstanu. Dla większości kobiet życie wyglądało tam tak (s. 96):

Wszyscy zostali wystąpi do mieszania kiziaku. Okropność! Do wielkiego dołu wrzucano na przemian świeży kiziak, czyli gnój „prosto od krowy”, dorzucano do tego słomę i wszystko, udeptując to na bosaka, mieszało się razem. A musiała ta papka być gładka, jednolita, prawie jak masło. Tak więc kobiety, stare i młode – niedawne lwowskie elegantki – młodzież, a nawet dzieci, wszyscy całymi godzinami, od rana do wieczora, chodzili w kółko po tym krowim łajnie. Kiedy było już dobrze wymieszane, ładowano je do drewnianych form i robiono cegły. Cegły zostawiano potem na słońcu, by przeschły, a następnie układały w piramidy; zimą cały kotłochoz wykorzystywał je jako opał. Była to katorżnicza praca, w pałacyku słońcu i niebywałym smrodzie. Ciężki kiziak przyklepał się do nóg, ledwo je można było wyciągnąć z tej mazi! Jeszcze dziś mam przed oczami panią Boekenheim, przemiłą, młodą i piękną kobietę, wyraźnie nieprzyzwyczajoną do jakiegokolwiek pracy fizycznej, która mozoli się z widłami pełnymi gnoju, a obok niej dwoje malutkich dzieci. Sprawiała wrażenie takiej bezradnej i przerażonej. Nie wiem, co się z nimi stało, nigdy ich potem nie spotkałam. Ciekawa jestem, czy przeżyli.

Po układzie Sikorski-Majski niewolnicy zostali formalnie zwolnieni. W międzyczasie niestety zmarła na tyfus jedna z sióstr, 17-letnia Ania. Sama Ewa też znalazła się w szpitalu.

Jedna z moich towarzyszek szpitalnych, Rosjanka, niezmiernie wzruszyła się na wiadomość, że jestem Polką: „Co to za cudowny kraj, ta Polska! Byłam tam podczas woj-



ny, w Równem. Wyobraź sobie, jak mi się tam wspaniale powodziło, Miałam trzy garnki do dyspozycji, w każdym mogłam gotować osobno, w jednym zupę, w drugim kartoszki, w trzecim wodę na czaj. Ot, kultura!”. Inne Rosjanki nie mogły się tym opowiadaniom nadziwić i traktowały mnie z wielkim szacunkiem (s.131).

Wyjazd z nieludzkiej ziemi nastąpił we wrześniu 1942 r. Zatrzymano ich w obozie dla uchodźców w Teheranie. Ale nim to nastąpiło:

Najważniejszym naszym problemem było wtedy odnalezienie Lili i Zosi. Gdzie one mogły się podziać? Pojechały w sierpniu przez Morze Kaspijskie do Pahlevi, nie wszystkie jednak transporty trafiły do Teheranu. W takim razie gdzie? Wiedziałyśmy, że niektóre sierocińce zostały już odesłane do Nowej Zelandii, Meksyku, Indii lub Afryki. Gdzie ich teraz szukać? Mama była zrozpaczona. Już nie chodziło o to, że gdzieś wyjechały, były przecież pod opieką, ale mówiono, że wiele dzieci zmarło w drodze lub potopiło się w otwartych kloakach. Podobno najwięcej zmarło na plażach w Pahlevi i tam zostały pochowane. Z własnego doświadczenia wiedziałam, że ewidencji prawie nie było i znikąd nie można było zasięgnąć informacji. Szukałyśmy więc po wszystkich czterech obozach. Byłyśmy w szpitalu hinduskim, gdzie leżało wielu Polaków i gdzie śmiertelność była podobno większa niż w Jungi-Julu. Wielu ludziom, którzy mieli silną wolę przetrwania i aż do wyjazdu z sowieckiego raju trzymali się jakoś, teraz nagle nie starczało sił do dalszej walki. Umierali często nie z powodu chorób i wycieńczenia, a z powodu nagłego dobrobytu. Po prostu organizm nie potrafił się w tak krótkim czasie przystosować do zwiększonej ilości jedzenia (s.147).

Potem był Bagdad i Palestyna – spotkanie z ojcem, nauka w polskiej szkole, wreszcie Nazaret i matura. W 1945 r. Ewa Cieńska dostała się na studia w Bejrucie (nauki polityczne).

Po zakończeniu wojny zlikwidowano Wojsko Polskie na Bliskim Wschodzie, a Polacy wyjeżdżali do Anglii. Autorka znalazła się tam z końcem 1947 r. W Londynie miała się różnych zawodów, a w 1951 r. wyszła za mąż za Jana Fedorowicza, z zawodu rolnika, ziemianina z Tarnopolskiego, który tak-


że przeszedł przez sowiecką gehennę – został aresztowany już 17 września '39 w rodzinnym majątku, potem był Starobielsk, wreszcie Teheran, Szkocja i front z dywizją gen. Maczka.

Jan Fedorowicz był bratem dwóch wybitnych kapłanów: księży Aleksandra i Tadeusza, z których pierwszy po II wojnie uczynił z Lasek pod Warszawą słynne centrum życia religijno-społecznego; drugi w 1940 r. dobrowolnie wyjechał do Kazachstanu i tam pełnił posługę duszpasterską dla deportowanych Polaków, po wojnie krajowy Duszpasterz Niewidomych i kapelan w Laskach. Warto dodać, że również po stronie autorki było dwóch stryjów – znakomitych kapłanów: ks. Włodzimierz Cieński, przed wojną proboszcz kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie, po wojnie trapista we Francji, oraz ks. Jan – w latach powojennych proboszcz w Złoczowie, mianowany przez papieża biskupem „in pectore” – był w owym czasie jedynym biskupem, choć niejawnym, w okupowanej archidiecezji lwowskiej. Wszyscy czterej byli wielkimi patriotami, bohaterami narodowego oporu przeciw sowieckiemu agresorowi.

Ewa i Jan Fedorowiczowie, po latach spędzonych na emigracji, w r. 1975 zdecydowali się na powrót do Polski. Kupili sobie domek w Laskach pod Warszawą, tam Jan zmarł w 1994 r.

W książce można przeczytać o wielu jeszcze innych niezwykłych postaciach, które na swej lwowsko-kazachstańsko-bliskowschodniej i emigracyjnej drodze spotkała autorka. Wśród nich były Beata Obertyńska, Włada Majewska i środowisko kabaretu Hemara, gen Anders, nawet Halina Mikołajska – okazuje się, że też uczyła się w Jazłowcu.

Książka pełna tragizmu, ale ciekawa i świetnie napisana.

 Bardzo dobrze napisany zbiór reportaży z wędrowek po Ziemiach Wschodnich zawierają dwa tomy **Katarzyny Węglickiej: Kresowym szlakiem** i **Wędrowki kresowe** (wyd. „Książka i Wiedza”, Warszawa 2005 i 2006). Reportaże te nie są jednak zwykłym opisem miejsc zwiedzanych – mówi o tym jednobrzmiący podtytuł w obu tomach: *Gawędy o miejscach, ludziach i zdarzeniach*. Oba też liczą po ok. 400 stron, sporo ilustra-



cji (także kolorowych, na wkładkach), mapy. Pierwszy zawiera 43 rozdziały, drugi 65. Każdy rozdział jest poświęcony wybranemu miejscu lub okolicy, związanym z naszą historią i kulturą. Dość zabawny jest sposób uszeregowania rozdziałów: alfabetycznie wedle tytułów, tak więc czytelnik ma do wyboru – czytać po kolei,

zmieniając co chwilę region, epokę, nastrój, albo wyłuskać tematy, które go interesują szczególnie.

Dedykacja umieszczona przez autorkę brzmi: *Tym, którzy trwają na Kresach – z podziękowaniem, Młodym Polakom – by nie zapomnieli!* To ostatnie wezwanie dotyczy zapewne młodych po obu stronach kordonu. Zamierzenie realizuje Węglicka konsekwentnie: wiąże odwiedzane miejsca nie tylko z zabytkami lub krajobrazami, ale za ich pośrednictwem z ważnymi wydarzeniami naszych dziejów, z wielkimi Polakami. Także z dziełami literatury i ich bohaterami, przez nie rozstawionymi w naszej kulturze. A więc z tym wszystkim, o czym Polacy, szczególnie młodzi w RP i na Wschodzie – wiedzieć powinni. Dla tutejszych to prostsze (gdyby się tylko zechcieli zainteresować), dla tamtych bardziej skomplikowane, bo przecież nawet w nielicznych polskich szkołach państwowych czy nieco liczniejszych sobotnio-niedzielnich – o polskiej historii i kulturze niewiele można mówić (w tych drugich także z braku wystarczającego czasu i odpowiedniej literatury). Byłoby więc korzystne, gdyby bodaj nauczyciele i działacze polskich towarzystw tego typu książki dostali do rąk.

Na owych w sumie 108 rozdziałów-opowiadań – Lwowa i Małopolski Wschodniej dotyczy 35, a więc jedna trzecia, co niewątpliwie świadczy o szczególnym znaczeniu naszej Ziemi w polskiej historii i kulturze. Dodajmy do tego bliskie sąsiedztwo: Wołyń, Kamieniec Podolski, Bukowinę. Jasne, że drugim takim wspaniałym jądrem polskości jest Wilno i cała Wileńszczyzna, Grodno. I wreszcie nie mniej ważne miejsca pol-

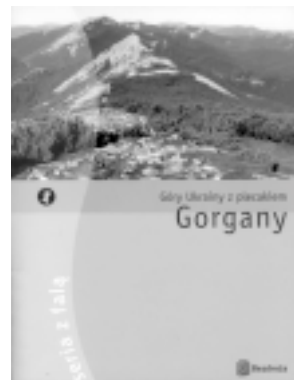
skich zdarzeń i ludzi oraz zabytki – na Litwie, Białej i Czarnej Rusi, na ziemiach ukraińskich. Żałować trzeba, że brakuje Kresów północnych – Kurlandii i Inflant, które też przecież tak wiele i tak wielu Polsce dały. A może będzie jeszcze tom trzeci?

📖 W księgarniach dostępny jest od niedawna przewodnik po środkowym paśmie wschodniokarpackim – między Bieszczadami wschodnimi a Czarnohorą – **Gorgany** (wyd. „Bezdroża”, Kraków 2006). Autorami jest dwoje młodych ludzi: Krzysztof Bzowski i Eliza Malawska-Kłusek, którzy – jak można się domyślić – musieli rozpoznać topografię od podstaw, ponieważ poza rzeźbą terenu wszystko uległo zmianie. Zagładzie uległy przedwojenne schroniska, oznakowanie, a nawet i dróżki, które przez kilkadziesiąt lat uległy zatarciu. Od niedawna dopiero tu i ówdzie buduje się coś nowego (często w niezgodzie z zasadami ochrony krajobrazu), dostępne są też gdzieś prywatne kwatery, ale tak czy owak, wybierając się na większe „wyrypy”, trzeba liczyć na własne wyposażenie biwakowe.

Opracowanie przewodnika uzupełniają dobre mapki i przekroje pionowe tras, orientujące w odległościach i różnicach wzniesień.

Na końcu przewodnika zamieszczono ogólne informacje krajoznawcze (topografia terenu, przyroda, historia-kultura-zabytki sztuki). Nie zadbano jednak, a szkoda, o wiele wiadomości istotnych dla Polaka*. Prawie nic o bogatej wszak literaturze**. Parokrotnie wspomniano nazwiska Ossendowskiego i Vincenza, jednak bez bliższych wyjaśnień. Nie wspomniano powieści Bieniasza *W puszczy nad Salatrukiem* i jej przeróbki dla dzieci *Turul, król karpackiej puszczy*. Nie padło nazwisko prof. Stefana Lenkiewicza i jego wspomnień *Dawnymi szlakami Gorganów*, a także całego grona pionierów międzywojennej turystyki w tamtych górach.

Wreszcie opis miejscowości regionu – tu kilka negatywnych za-



skoczeń. Kościół w Dolinie dość dawno przestał być salą gimnastyczną i jest czynną świątynią, z aktywnym ośrodkiem oazowym dla polskiej młodzieży z Małopolski Wschodniej. W Jabłonicy od dwóch lat czynny jest kościół, pierwszy pod wezwaniem św. Zygmunta Gorazdowskiego. Jaremcze – z uporem nazywane *Jaremcza*, a tak mówiono za czasów sowieckich. Mikuliczyn – było tam sanatorium uczelni I w o w s k i c h, a nie Uniwersytetu Jagiellońskiego (zapewne pomyłono UJ z UJK!). Mniejszym przeoczeniem jest zapewne mylna nazwa: po polsku Broszniów, a nie *Broszniew*. Szkoda, że nie wspomniano, że w Delatynie urodził się wybitny malarz Fryderyk Pautsch, profesor krakowskiej ASP, który wraz z K. Sichulskim i K. Jarockim utrwalali uroki Huculszczyzny i jej górali, zyskując miano „trójki huculskiej”.

* Generalnie mamy żal do Wydawnictwa „Bezdroża”, że mało dba o naszą polską godność. Omawiany przewodnik ma nadtytuł: *Góry Ukrainy z plecakiem*. Czy nie wystarczyłoby *Karpaty Wschodnie z plecakiem*? Ten sam autor napisał inny przewodnik z tytułem *Ukraina Zachodnia*. Nie omawialiśmy go, ponieważ w księgarniach jest dość innych przewodników, o mniej drażniących tytułach.

** Nie podano bibliografii przedmiotu, a trudno sobie wyobrazić, by autorzy nie przeczytali przedwojennych przewodników. Nie wspomniano naszych pionierów turystyki po Karpatach Wschodnich.

📖 Czytelnicy CL dobrze pamiętają, kim jest ks. Witold J. Kowalów: proboszczem w wołyńskim Ostrogu i redaktorem naczelnym „Wołania z Wołynia”. Od czasu do czasu relacjonujemy kolejne numery WzW (wyszło ich dotąd ponad 70), ale przede wszystkim wydawane przez Redakcję książki. Właśnie nadeszły dwa nowe tomy. Pierwszy z nich to ***Akademia i Drukarnia Ostrogska*** autorstwa **Tomasza Kempy** (nr 46, Ostróg 2005)

Prawosławna Akademia Ostrogska została założona przez Konstantego Wasyla Ostrogskiego (1524/25–1608), wojewodę kijowskiego. Ten podobno najmożniejszy magnat Rzeczypospolitej wywodził się z kniazów ruskich, którzy z czasem spolonizowali się (podobnie jak niektóre inne nasze wielkie rody litewskie czy ruskie – Radziwiłłowie, Czartoryscy, Sanguszkowie, jed-

nak Ostrogscy wcześniej wymarli), a w końcu przechodzili na rzymski katolicyzm (lub protestantyzm, podobnie jak i liczni Polacy tamtego czasu).

Akademia Ostrogska w czasie swego parodzieścioletniego istnienia stała się głównym ośrodkiem myśli prawosławnej na terenie tzw. ziem ruskich Rzeczypospolitej*, o specyficznym charakterze: słowiańsko-grecko-łacińskim, łącząc tym samym grecko-słowiański obszar kulturowy z katolicką Europą. Wzorce ostrogskie zostały przejęte przez późniejszą Akademię Kijowską.

* Nie zaliczamy do nich oczywiście Małopolski Wschodniej – były to ziemie koronne.

📖 Osobom zainteresowanym historią XIX-wiecznych polskich zesłańców w głąb Rosji polecić można pracę **Wiktorii Śliwowskiej: *Ucieczki z Sybiru*** (Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 2005).

Ogromne przestrzenie Rosji – głównie azjatyckie – przez co najmniej stulecie (nie mówiąc o XX wielu) zasiedlane były polskimi zesłańcami. Autorka książki zajęła się historią XIX wieku. Zapoznała się z materiałami archiwalnymi (protokoły z procesów), literaturą, pamiętnikami, i na tej podstawie opracowała dzieje tragicznych – nieudanych i nielicznych udanych ucieczek z rejonu Irkucka, Zabajkala i innych części Sybiru.

Byli tacy skazańcy, którzy w chwili zakładania im kajdan zaczęli myśleć o ucieczce. Byli tacy, którzy przygotowywali ucieczkę przez wiele miesięcy, nikomu nie powierając tajemnicy swych zamiarów. Albo i tacy, którzy próbowali buntować się z bronią w ręku, i ich koniec był tragiczny. Najciekawsza i najlepiej udokumentowana jest udana ucieczka Rufina Piotrowskiego, który w przebraniu rosyjskiego chłopca-państwa pieszo pokonał tysiące kilometrów od Bajkału do Rosji europejskiej, aby na koniec znaleźć się w Paryżu. Ta ucieczka była tak nieprawdopodobna, że ludzie nie chcieli wierzyć.

Praca podzielona jest na dwie części: I – *Zesłańcy polistopadowi* i II – *Zesłańcy postyczniowi*. Do tego dodany jest rzetelny wstęp o polskim Sybirze pt. *Cnota w kajdanach to cnota prawdziwa* oraz indeks osób i nazw geograficznych (łącznie 440 stron i 45 ilustracji – fotografii i rysunków). (DTS)

📖 Rzeszowskie środowisko historyczne (które już niejednokrotnie zwracało naszą – pełną nadziei – uwagę, wydało niezwykle ciekawy zbiór wspomnień i relacji z czasu pierwszych lat II wojny: **Lwowskie pod okupacją sowiecką (1939–1941)**, pod redakcją **Tomasza Berezy** (wyd. IPN, Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, seria „Relacje i wspomnienia” tom 9, Rzeszów 2006).

Pojęcie *lwowskie* jest tu rozumiane po dawnemu: chodzi o obszar międzywojennego województwa lwowskiego – sięgało wszak po zbieg Wisły i Sanu*, a geograficznie – Małopolskę środkową, historycznych Ziemi Przemyskiej i Sanockiej, które od paru wieków grawitowały ku Lwowowi.

W książce znalazło się 29 tekstów, spisanych przez ludzi – przeważnie pochodzących z regionu przemysko-rzeszowskiego – którzy albo na swoim terenie, albo we Lwowie i innych miejscowościach Małopolski Wschodniej (Mościska, Stary Sambor, So-

kał) albo na *nieludzkiej ziemi* przeżyli dramaty sowieckiego terroru.

Teksty, profesjonalnie opracowane przez grono historyków, dają nam sporo nowych informacji o odciętej części województwa lwowskiego, ze Lwowem na czele. Czy to samo grono nie zechciałoby rozszerzyć swego zainteresowania na inne jeszcze obszary Małopolski Wschodniej, choćby – zgodnie ze swym ścisłym zainteresowaniem – na tamtą część historycznej Ziemi Przemyskiej, a to przecież Sambor, Dobromil i Chyrów, Turka, Drohobycz i Borysław. Dokumenty zapewne są, a i ludzie jeszcze żyją (uwaga: ostatnie dzwonienie!).

* Po stronie wschodniej kończyło się tuż za Lwowem – np. podlwowskie Zadwórze to już wojew. tarnopolskie).

Barbara Barta, Danuta Trylska-Siekańska
(DTS)

Wertując wydawnictwa

➔ Wiemy coraz więcej o losach deportowanych w trakcie obu okupacji sowieckich z Kresów II RP, szczególnie z Małopolski Wschodniej (najświeższymi przykładami książki Alicji Bober i Ewy Cieńskiej-Fedorowicz, których omówienie w tym numerze), choć i to jeszcze mało. Jednak prawie nieznamy nam jest **dramat Polaków wywożonych w latach 1930. z ziem ukraińskich**, gdzie zamieszkiwali od paruset lat. Ziemię tę zagarnęło w XVII i XVIII wieku carskie imperium*.

Jakieś części tamtejszych Polaków udało się – w czasie lub zaraz po rewolucji bolszewickiej – zbiec z tamtych terenów. Były to jednak głównie „górne” warstwy społeczne: ziemiaństwo, inteligencja, mieszczaństwo. Pozostała najliczniejsza – masy wiejskie, rozrzucone po ogromnych obszarach wschodniego Podola i Wołynia oraz dawnych województw bractawskiego, kijowskiego i czernihowskiego. Ci nie mieli szans wyrwania się ze swych „małych ojczyzn”,

ani miejsc w II Rzeczypospolitej, do których mogliby się udać.

Wielką część tych polskich mieszkańców ziem między Zbruczem a Dnieprem, a nawet dalej, spotkała rzecz najgorsza: wywózki w głąb nieludzkiej ziemi. Zostali uznani za wrogów ZSRR i wywiezieni do Kazachstanu bez prawa powrotu. Stało się to w okresie od maja do października 1936 r. – właśnie mija od tamtego czasu 70 lat – a ogół Polaków w kraju miał o tym małe pojęcie. Gdy Polska międzywojenna wychodziła ze światowego kryzysu i rozpoczynała na nowo rozwój, naszych Rodaków z Ukrainy spotkało to, co miało w 4–5 lat później stać się udziałem mieszkańców miast i wsi naszych Ziemi Wschodnich, od Wileńszczyzny po Pokucie. Choć – przyznajmy to sprawnie – nie w takiej skali i nie tak bez nadziei. Bo wywiezieni z Kresów II RP – jeżeli nie zmarli – na ogół stamtąd się wyrwali – albo na Zachód z Andersem, albo jako repatrianci po zakończeniu wojny.

Tamtym się to nie udało (prawnie nie byli obywatelami polskimi), w większości są tam do dziś**. Albo jeszcze gorzej: starsi wymierają, ich dzieci dożywają już swych lat. Kolejne pokolenia wynaradawiają się.

Nielicznym udaje się wyrwać, ale jakże mało sympatycznie są przyjmowani nad Wisłą...

W piśmie „Wołanie z Wołynia” (nieraz na naszych łamach przywoływany) nr 2/06 ukazał się artykuł Stanisława Ciesielskiego: *Deportacja Polaków do Kazachstanu w 1936 roku*. Jeśli miejsce i czas nam jeszcze pozwolą (!), to za zgodą Księdza Redaktora przedstawimy ów artykuł w jednym z najbliższych numerów.

* Czytelnikom zainteresowanym przekazujemy kilkanaście tytułów książek o deportacjach sowieckich – jednak z lat II i po II wojnie. Wspomnień z wywózek z Ukrainy lat 30. nie znamy.

- W. Wielhorski, *Trzy pytania i trzy odpowiedzi. Prawda o deportacjach Polaków pod panowaniem sowieckim*. Londyn 1964, Kraków 1986 (niejawne).

- M. Wigierski, *Ze Lwowa na Kołymę*. Wrocław 1998.

- Hanka Ordonówna, *Tułacze dzieci*. Bejrut 1948, Dziekanów Leśny 2005.

- A. Bober, *Życie autorem*. Kolbuszowa 2005
- *Deportacje i przemieszczenia ludności polskiej w głąb ZSRR, 1939–1945*. Warszawa 2005. Przegląd piśmiennictwa.

- S. Ciesielska, G. Hryciuk, A. Srebrakowski, *Masowe deportacje radzieckie w okresie II wojny światowej*. Wrocław 1993.

- o. M. Karaś, *Szlakiem zesłańców. Szesnaście trudnych lat w ZSRR 1944–1959*. Kraków 1998.

- J. Tomczyńska, *Z Tamopola przez Sybir do Wadowic*. Kraków 1992.

- ks. Z. Hałuniewicz, *Zostaje tylko pamięć. Listy z łagru 1947–1953*. Lwów–Kraków 1998.

- M. Myśliwski (wybór), *Wschodnie losy Polaków*. Łomża 1991.

- K.K. Karasowski, *Wspomnienie z zesłania*. Kęty 1998.

- M. Kulczyńska, *Lwów–Donbas 1945*. Warszawa 1998.

- Z. Stanek, *Biała gama*. Kraków 1997.

- Z. Stanek, *Listy z Syberii. Lata 1951–1957*. Kraków 1991.

- Z. Stanek, *Listy z Syberii. Aneks*. Kraków 2003.

- Z. Zwarycz, *W syberyjskiej szkole*. Warszawa 2004.

** Obecnie w Kazachstanie mieszka ok. 50 tys. Polaków, z których wciąż wielu marzy o powrocie do ojczyzny przodków. Skoro w RP – jak czytamy ostatnio w prasie – „praca szuka ludzi” (a nie, jak dotąd, odwrotnie), to byłaby to okazja do szerszego zakresu repatriacji rodaków, zamiast ściągania niezbyt pożądanym sąsiadów.

➔ Krakowski krytyk, historyk literatury, publicysta, Jan Pieszczachowicz* napisał książkę: **Stanisław Vincenz. Pisarz uniwersalnego dialogu** (wyd. z dotacji Wydziału Kultury i DN UMK, Kraków 2005). Vincenz to dla nas przede wszystkim autor huculskiej epopei *Na wysokiej połoninie*, ale książka, którą tu przywołujemy, dotyczy – zgodnie ze swym tytułem – głównie problematyki polsko-ukraińskiej i polsko-żydowskiej w zainteresowaniach i twórczości tego pisarza**.

Vincenz (1888–1971) był rozmiłowany w swej małej ojczyźnie i wszystkim, co się na nią składało: krajobrazie i przyrodzie, historii, ludziach i ich kulturze. Być może, że to zamknięcie się w lokalnej problematyce kierunkowało go niekoniecznie obiektywnie i niekoniecznie odpowiedzialnie, ale takie jest prawo artysty. Nie zdawał sobie zapewne sprawy, że jego pisarstwo – wbrew równowadze, którą mimo wszystko utrzymywał w życiu i twórczości – może posłużyć jako jeszcze jeden argument, usprawiedliwiający wszystkie przekręty polityczne i historyczne, jakie wydarzyły się po II wojnie światowej. Ale on był wtedy daleko, oderwany od brutalnej rzeczywistości. I zbyt stary...

Czytajmy piękną Vincenzowską epopeję, ale wystrzegajmy się historiozoficznej nadbudowy, jaką nam serwują mędrcy***.

Okładkę omawianej książki przygotowała art. plastyk Krystyna Grzegocka, lwowianka, zamieszkała od paru lat w Krakowie.

* Autor jest redaktorem naczelnym miesięcznika „Kraków”, który już nieraz cytowaliśmy, ponieważ znajdujemy tam *leopolitana*, którymi chętnie dzielimy się z Czytelnikami.

** Podobną orientację przejęli po śmierci pisarza jego żona i syn (zamieszkali za granicą), jednak bez talentów *Homera Huculszczyny* (jak go nazwał inny pisarz, Andrzej Kuśniewicz).

*** Przy pewnej dozie „dobrej woli” i „sprzyjających” warunkach można by podobnie potraktować *małe ojczyzny* Ślązaków, Kaszubów, a nawet tatrzańskich Górali. Próby były, tylko talentów zabrakło.

➔ W „Ozonie” (numer nie zanotowany) artykuł *Ormianie: dubeltowi Polacy*. Mowa tam o **wystawie kultury Ormian polskich, otwartej w kwietniu '06 w Warszawie** – a jest to, jak sądzimy, powtórzenie wystawy

ormiańskiej w krakowskim Muzeum Narodowym sprzed paru lat. Z ciekawszych rzeczy dowiadujemy się z artykułu o losach najcenniejszego eksponatu: ewangeliarzu z 1198 roku, który znajdował się w Katedrze Ormiańskiej we Lwowie, a teraz ma trafić do Biblioteki Narodowej.

Autorka artykułu, L. Łuniewska, opisuje różne ciekawostki z historii polskich Ormian, uzyskane w rozmowach z przedstawicielami tej nacji, i przenosi na łamy liczne błędy. Głównym jest informacja o pani *Zerygiewicz*, która w wojnie polsko-bolszewickiej miała stracić *trzech synów*. Prawda jest inna: pani Stefania *Zarugiewiczowa*, lwowianka rodem z Kut, straciła pod Zadwórzem jednego syna, Konstantego. I rzeczywiście to ona wskazała jedną z trzech trumien nierozpoznanych poległych Polaków do Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Inne błędy, to przekręcanie nazwisk: nie *Agopszowicz*, lecz *Agopsowicz*, a znany wszak szeroko duszpasterz Ormian, ks. Tadeusz, nazywa się *Isakowicz-Zaleski*, a nie *Isakiewicz*...

➔ Ktoś nam podrzucił dodatek *Wysokie obcasy* do „Gazety Wyborczej” (17/06). Na jednej ze stron prezentują jakąś pisarkę ukraińską, która urodziła się – gdzie i kiedy, nie ważne – a dorastała w miejscowości **Jaremcha w Karpatach**.

Nie wiadomo, co lepsze, czy *rosyjska* wersja nazwy (Ukraińcy używają na powrót starej nazwy *Jaremzcze*), czy angielska pisownia. Jednym słowem *Je w r o p a* w tej redakcji.

➔ W niezawodnej „Gazecie Wyborczej” (z sierpnia '06, numeru nasz korespondent nie zanotował) znalazło się wspomnienie – nieważne o kim – napisane przez Macieja Zarembę (?), który swój tekst rozpoczął tak:

Żegnamy (Józefa...) ze Stanisławowa – miasteczka niegdyś położonego na terenie zaboru austriackiego, potem Polski, ZSRR, Ukraińskiej SSR, pod okupacją niemiecką, a obecnie na Ukrainie [...].

Dla autora z GW informacje o Stanisławowie i tamtej Ziemi nie mają zapewne żadnego znaczenia, co jednak nie usprawiedliwia wyjątkowych bzdur serwowanych czytelnikom, którzy jeszcze to pismo nabywają.

Po pierwsze: Stanisławów to może nie jedno z wielkich miast polskich – obecnie odcięte jałtańską granicą – ale w o j e - w ó d z k i e, stare i kulturalne. Po drugie – całkiem tak, jak w krakowskiej encyklopedii, którą cytowaliśmy w CL 2/06 (s. 72)*: był zabór austriacki, krótko Polska, potem ZSRR, Ukraina – jednym tchem. A wieki polskości przed zaborem austriackim?

Nie wiemy, kim jest p. Zaremba, wygląda na to, że nie mieszka w Polsce. Ale skąd zaczerpnął te nieco „skrótowe” informacje? **Czy prezentowana ignoracja usprawiedliwia pismo**, które to drukuje bez zastrzeżeń?

* W tym jednak wypadku powołana encyklopedia informuje prawidłowo.

➔ **O problemie zwiedzania i przewodników** pisaliśmy już parę razy. I oto ostatnio w krakowskim „Dzienniku Polskim” znalazły się dwie relacje, bardzo się od siebie różniące.

W nrze 199/06 pisze znany krakowski dziennikarz Waclaw Krupiński, który we Lwowie przebywał zaledwie *parę godzin, by odświeżyć sobie obraz miasta*. Był to czas *wystarczająco jednak długi, by odrodził żal do wyroków historii*. Krupiński daje krótki opis rzeczy we Lwowie widzianych, także Cmentarz Łyczakowski – *jeden z najbogatszych zespołów sztuki sepulkralnej w Europie, jak ocenia prof. Jan K. Ostrowski. Tu wszystko jest Polską, kamień każdy i okrucz każdy...* – *kojarzą mi się słowa Wyspiańskiego o Wawelu*. Tymi słowami kończy Krupiński swoją relację. Oprowadzała go Kasia G., która nie tylko dawała objaśnienia, ale wzbogacała je anegdotami z dawnego Lwowa.

Druga relacja (w nrze 202/06) ma dwa aspekty. Pierwszy dotyczy wyjazdu w Bieszczady, w ramach którego biuro podróży reklamuje i organizuje wyskok do Lwowa. O przewodniku z tegoż biura autor relacji (WAK) pisze m.in.:

Na zwiedzanie [Lwowa] zostało raptem ok. 6 godzin i nie było ani widoków z Wysokiego Zamku, do apteki-muzeum wpadliśmy na nasze wyraźne żądanie, podobnie zresztą przegłosowaliśmy wejście do teatru [...] Znacznie więcej czasu zajął nam za to obiad, na który sprytnie namówił niemal całą grupę przewodnik, opisując smakowitości w „naj-

lepszego restauracji miasta” Daliśmy zatem po 19 zł (ok. 30 hrywien), by wylądować w jakimś pubie karmiącym jakże mizernie. Odradzam!

Jeśli jednak potraktować taką wycieczkę jako urozmaicenie pobytu w Bieszczadach, warto się na nią wybrać – zwłaszcza jeśli trafimy na tak miłą i kompetentną przewodniczkę, jaka towarzyszyła nam. Bo Lwów to naprawdę urzekające, choć i rodzące smutek w duszy miasto.

➤ Jeszcze inne wspomnienie z wycieczki za wschodnią granicę – tym razem na **Huculszczyznę** – przeczytaliśmy w tej samej gazecie nr 204/06 (bo to czas wakacji!). Autorem jest 65-letni stryjeczny wnuk bohatera Obrony Lwowa 1918 r., brygadiera Czesława Mączyńskiego, pan Andrzej T. Mączyński. Wrócił pełen zachwytu, a swoją relację – po odwiedzeniu Cmentarza Obrońców Lwowa i grobu swego antenata – zakończył słowami: *Modliłem się nad tym grobem w skupieniu i mogę powiedzieć jak on, cztery pokolenia później – Kocham tę ziemię, jej polskość będzie żyć w moim sercu.*

➤ W „Dzienniku Polskim” 192/06 artykuł G. Starzak pt. *Ratunek ze wschodu*, który przedstawia – jak nietrudno się domyślić – problem siły roboczej w miejsce Polaków, wyjeżdżających masowo na Zachód, gdzie praca i wyższe zarobki czekają. W Polsce

odczuwa się coraz bardziej brak ludzi zarówno na poziomie wyższego i średniego wykształcenia, jak i pracowników fizycznych.

Niestety autorka artykułu zauważa jedynie doraźną, ekonomiczno-ilościową stronę zagadnienia. Jednak obserwacja Zachodu – przede wszystkim Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec – każe zastanowić się szerzej. Doświadczenia tamtych krajów, które dziś przeżywają dość istotne problemy demograficzno-obyczajowe, a także społeczno-polityczne – nie brane wcale pod uwagę przed parudziesięciu laty – **zmuszają do analizowania nie tylko bieżących potrzeb, ale również tego wszystkiego, na co nacięły się tamte kraje.** Polsce na pewno w mniejszym stopniu zagraża imigracja z kierunków, jakie dotyczyły Europy zachodniej, mamy natomiast specyfikę naszej strony rubieży Europy. I o tym myślimy, żeby nie zbudzić się z ręką... (przepraszamy!).

➤ W „Gazecie Wyborczej” z 14–15 VIII '06 znalazła się informacja A. Dudzińskiej i B. Kurasia: *Jak studiować, to tylko we Lwowie.* Tytuł może zbyt optymistyczny, ale dowiadujemy się, że **na uniwersytecie lwowskim studiuje obecnie kilkuset młodych ludzi z RP**, głównie takich, którzy nie dostali się na krajowe uczelnie, a studia w tamtych szkołach wyższych są o wiele tańsze niż w RP (należy sądzić, że po roku–dwóch zechcą powrócić). Paradoks w tym, że

Naszym zdaniem

POLONISTYKA WE LWOWIE NIEZBĘDNA

Pewien profesor KUL (nb. b. minister i brat b. ministra z kręgów b. Unii Demokratycznej) wystosował – jak przeczytaliśmy w „Dzienniku” 85/06 – list do rektora Uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie, zapraszając go na wspólną konferencję na KUL (październik br.) pt. *Rozwój zrównoważony na szczeblu krajowym, regionalnym i lokalnym – doświadczenia polskie i możliwości zastosowania ich na Ukrainie.*

Wspaniale; sądzimy jednak, że pierwszym z tematów wspólnej konferencji po-

winno być zobligowanie tamtejszego rektora do powołania na obecnym uniwersytecie we Lwowie polonistyki z prawdziwego zdarzenia – dotychczas jest tam tylko lektorat!

Kandydaci na polonistykę z tamtej strony granicy muszą jeździć na studia polonistyczne do Krakowa, Warszawy, Lublina lub innych miast RP. Równocześnie w Krakowie ukrainistyka (w różnych ujęciach tematycznych) jest dziś na dwóch wydziałach UJ.

Liczmy na Pana, Profesorze, tym bardziej, że przyznaje się Pan do lwowskości po kądzieli, więc powinien Pan problem rozumieć. I może młodzi Polacy ograniczą coraz powszechniejsze opuszczanie Lwowa.

równocześnie młodzi Polacy ze Lwowa i Małopolski Wschodniej starają się o studia na uczelniach polskich – o tym pisaliśmy szerzej we wcześniejszych numerach.

Studia we Lwowie w języku ukraińskim kosztują 2200 USD za cały rok, w języku rosyjskim 2300, a angielskim 3300. Młodzież z RP wybiera jednak te ostatnie, co oczywiście rozumiale.

Artykuł zilustrowano fotografią gmachu Uniwersytetu Lwowskiego. Szkoda, że nie napomknęto, co to właściwie jest. Ale czy młodzi dziennikarze – nawet nie posiadając o złą wolę – wiedzą w ogóle cokolwiek?

➔ **W „Gazecie Lwowskiej” 14/06 znaleźliśmy kilka interesujących materiałów:**

- Dwa teksty, wystosowane przez Prezydium Rady Naczelnej Federacji Organizacji Kresowych, w sprawie odsłonięcia pomnika w Pawłokomie – wydarzenie to w rzeczywistości przysłoniło istotę ludobójstwa ukraińskiego, eksponując nieporównywalną w swym rozmiarze reakcję odwetową AK na rzezie OUN-UPA. Teksty te oczywiście znamy, jednak budujący dla nas jest fakt opublikowania ich we Lwowie.

- O obchodach 130. rocznicy śmierci Aleksandra Fredry we Lwowie i w Rudkach w lipcu br.

- Sylwetka Teodora Torosiewicza, aptekarza i naukowca lwowskiego (1789–1876), napisana przez świetnego popularyzatora naszej kultury J. Smirnowa.

Do ww. numeru GL załączono 14. numer „Z Grodu Rewery”, gdzie przede wszystkim:

- o Hucułach i Huculszczyźnie sprzed półtora wieku.

W GL 15/06 – poza cd. o T. Torosiewiczu – znajdujemy wspomnienie Stanisławy Nowosad o profesorze i księdzu *in pectore*, Henryku Mosingu, postaci, która domaga się pośmiertnego wyróżnienia. Omawia Jego pracę i osiągnięcia zawodowe oraz niezwyklej działalność – podczas licznych podróży po całym obszarze imperium ZSRR – wśród Polaków-katolików. Wspomina lata we Lwowie:

[...] *Jakie to były czasy – i jaka Jego pozycja? Było kilka zaufanych domów, gdzie gromadzono się przy zastłoniętych oknach, w najgłębszym sekrecie. Prowadził tajny*

Instytut Wikariatu pod wezwaniem św. Wawrzyńca, gdzie wychowywał, kształcił młodych ludzi – kandydatów do stanu kapłańskiego. Były to szczególne komplety, biorąc pod uwagę Jego wielką erudycję i zrozumienie stanu duchownego. Będąc człowiekiem stałej, głębokiej, wewnętrznej modlitwy, w sposób szczególny wszczepił to swoim wychowankom. Wielu doprowadził do kapłaństwa, zbierając bogate, złote żniwo jeszcze za życia. Jego wychowankowie okazali się kapłanami nadzwyczaj godnymi. Wśród nich – jeden otrzymał sakrę biskupią, inny – z ogromnym poświęceniem, z pieczołowitością i troską najczulszej matki służył Mu w Jego chorobie do końca. Męczeństwo, o którym mówił często (chyba o nim marzył) spełniło się w Nim. [...]

Jak żył w opinii świętości, całkowitym oddaniu się Panu Bogu, tak zmarł w tej opinii 27 listopada 1999 roku, mając prawie (bez 2 miesięcy) 90 lat.

➔ **Redakcja**

„Dziennika” zaaranżowała w sierpniu br. cykl 5 wywiadów z wybitnymi przedstawicielami polskiego życia publicznego na temat: *Jak się Pan czuje w IV RP? Nas zainteresowała głównie wypowiedź lwowianina – jednego z najwybitniejszych żyjących polskich kompozytorów* (jak pisze prowadząca rozmowy J. Lichočka, 23 VIII '06). Rozmowa nosi tytuł: **Wojciech Kilar, *Po mimo błędów w IV RP czują się lepiej.***

Warto przytoczyć informację biograficzną o W. Kilarze, zamieszczoną obok wywiadu.

WOJCIECH KILAR, wybitny polski kompozytor muzyki poważnej, a jednocześnie jeden z najbardziej znanych na świecie kompozytorów muzyki filmowej. Absolwent PWSM w Katowicach i PWSM w Krakowie. Sztuki kompozycji uczył się w Paryżu u Nadii Boulanger. Lauteat wielu nagrań, m.in. Fundacji im. Lili Boulanger w Bostonie (1960), Fundacji A. Jurzykowskiego (1983). Do jego naj-



bardziej znanych dzieł należą: *I Symfonia na orkiestrę smyczkową*, *II Symfonia koncertująca na fortepian i orkiestrę*, *Oda „Bela Bartok in memoriam” na skrzypce, instrumenty blaszane i perkusję*, balet *Maska czerwonego moru*, poemat symfoniczny *Kościelec 1909*, *Missa pro pace*. Skomponował muzykę do ponad 100 filmów, m.in. Zannussiego, Kutza, Konwického, Hoffmana, Stuhra, Polańskiego (*Frantic*, *Pianista*), Coppoli (*Draacula*), Wajdy (*Ziemia obiecana*, *Pan Tadeusz*).

Do tego dodajmy: urodzony we Lwowie w 1932 r., mieszka w Katowicach. W roku 1994 nadesłał na naszą prośbę swój utwór na koncert *Homagium Leopoli* (24 XI '94 w Filharmonii Krakowskiej, dyrygował Stanisław Gałański), zatytułowany *Preludium chorałowe*

➔ Obszerne, ciekawe i serdeczne wspomnienie o Kazimierzu Górskim – Kaju, zamieścił w „Gazecie Wyborczej” prof. Tadeusz Łodziana. Tekst przedrukował „Semper Fidelis” 4/06.

UCRAINICA

➔ Z okazji 15-lecia proklamowania niepodległości państwa Ukraina „Dziennik” z 24 VI '06 przedstawia trzy głosy pod wspólnym tytułem: **Ukraina wciąż na rozdrożu**. Rozważa się trzy scenariusze:

- Kijów wchodzi do NATO (L. Kuczma, b. prezydent Ukrainy),
- Ukraina buduje wschodnioeuropejski sojusz z Rosją (A. Rahr, ekspert niemiecki),
- Państwo rozpada się na dwie części: wschodnią i zachodnią (O. Suszko, politolog ukraiński).

Dywagacje poprzedza kilka zdań wstępu, wspominających pomarańczową rewolucję w 2004 r. Cytujemy:

[...] *Nad krajem zawisło widmo rozpadu na dwie części: wschodnią ze stolicą w Doniecku lub Charkowie, która opowiadała się za Wiktorem Janukowyczem, i zachodnią ze stolicą we Lwowie lub Kijowie – jednoznacznie popierającą kandydata opozycji, a dziś prezidenta, Wiktora Juszczenkę [...].*

Zastanawiamy się jednak, czy poza Lwowem (nie mówiąc o Kijowie) nie byłoby god-

niejszego usytuowania stolicy zachodniego państwa? Czy musi to być wielkie miasto, a nie – jak choćby w Kanadzie – mniejsza miejscowość, np. historyczne miejsce urodzenia jakiejś wybitnej postaci ukraińskiej – poety, pisarza...

➔ W „Dzienniku Polskim” 229/06 (z 30 IX) artykuł Tomasza Kułakowskiego (nie znamy) pt. *Magiczne miasto*. Dowiadujemy się, że Lwów stał się obiektem zainteresowania licznych Ukraińców, przybywających tu ze wschodniej Ukrainy i zainteresowanych miastem. *Urzeka ich średniowieczna zabudowa, brukowane (!) uliczki, dziesiątki kościołów, renesansowe kamienice.*

Autor informuje, iż *politycy docenili, że Lwów jest jedynym miastem z dwoma tysiącami architektonicznych pamiątek oraz średniowieczną zabudową. Uchwalono ustawę, w której zamieszczono 10-letni plan rozwoju miasta. Jego realizacja ma się rozpocząć 1 stycznia 2008 r.*

No proszę, ocknęli się. Lwów spadł zapewne z nieba. Na całym świecie, a w każdym razie w Europie, miasta starsze lub młodsze, ładniejsze lub brzydsze, nie stanowią samotnych wysp, różnych od wszystkiego wokół. Tak jest jednak ze Lwowem – on jest „obcym ciałem” w kraju, w którym nic nie usprawiedliwia – ani historycznie, ani kulturowo – jego obecności.

Sądźmy, że autor tego nie wyczuwa, skoro niezwykle *taktownie* pisze, iż *tysiące Ukraińców oraz obcokrajowców, w tym wielu Polaków (podkr.red.) przybyło do Lwowa, by wziąć udział w rozpoczynających się obchodach 750-lecia miasta. Polacy jako obcokrajowcy. Homo novus albo niewiele mający z polskością...*

Na marginesie: zaniepokoił nas ów *10-letni plan rozwoju miasta*. Czy nie zaczął w śródmieściu powstawać kolejna monstra, jak to przy placu Mariackim? Albo gmaszysko obok Teatru Wielkiego, psujące harmonijną perspektywę Wąłów Hetmańskich? Albo manewry buldożerów, jak niedawno na Rynku i obok Katedry?

Listy do redakcji



Pisze do nas z Torunia Pani Anna Pawlak:

Drogi Panie Redaktorze, pisze nieco starsza koleżanka od Pana ze szkoły Marii Magdaleny!

Nie da się wymazać z pamięci tego, w czym się rosło. Jak w Alei Kasztanowej, ulicy 29. Listopada, ul. Dunin-Borkowskich i dalej... Tramwaj nr 4 stawał przy Leona Sapiehy, aby wbiegać do szkoły i tam spotkać się z koleżankami na lekcji. Był czas, że jechałam dalej, aby na ul. Chorażczyni do p. Anny Niementowskiej chodzić na fortepian. I to minęło. Aż ze zgrzytem zatrzymałam się na ul. Unii Lubelskiej 9, u ss. Nazaretanek. Tam dojrzałam umysłowo i fizycznie, aż popsuła wszystko wojna – którą ze szczęściem przeżyłam w 1945 r. w Krakowie i Gdańsku.

Przeglądając pozostałe wspomnieniowe dowody, znalazłam piękną postać ks. Szmyda, proboszcza kościoła Marii Magdaleny, która powinna moim zdaniem znaleźć się w „Cracovia–Leopolis”. Jako młode dziewczę, pamiętam doskonale tego wspaniałego duszpasterza, który zachodził do moich rodziców. Gdyby nie to, że Pan Bóg powołał Go wcześniej niż wybuchła II wojna światowa – znaleźliby Go Niemcy, którzy Go poszukiwali.

A dziś – pozostało tylko, co mam lwowskiego w sercu, poza tym przeżyte 50 lat zawodowego życia bez Lwowa. Niech Pan Bóg pocieszy nas za tę zaistniałą krzywdę.

Droga Pani Anno, wzruszyło nas to, co Pani napisała, bo przecież i my to samo odczuwamy. Stała się rzecz w historii bezprecedensowa: wyrzucenie Bogu ducha winnego narodu z jego „małej ojczyzny”, przekreślenie jego historii, zniszczenie dorobku, zdeptanie rodzinnego i osobistego życia milionów ludzi.

Bardzo Panią prosimy: proszę spisać swoje wspomnienia: rodzinne, szkolne, towarzyskie. Nie musi być wszystko na raz – zaczniemy od wspomnień najdawniejszych: dom, rodzina, przyjaciele, sąsiedzi... – to, co było normalnym życiem w normalnych czasach. Czekamy i serdecznie pozdrawiamy.

Ważny nie tylko dla naszej lwowsko-krakowskiej historii list od p. Andrzeja

Pawłowskiego, lwowiaka i naszego autora, a zarazem naczelnika w krakowskim „Sokole”:

Drogi Andrzeju, z rozrzewnieniem czytałem opisane przez Ciebie msze święte za duszę Jurka Bitschana, a właściwie poległych Obrońców Lwowa – w ostatnim, 3 kwartalniku CL. Ale pierwsza Msza św. za Orłęta została odprawiona w latach 60. ub. wieku na Wawelu przed ołtarzem Chrystusa Ukrzyżowanego. O tej mszy dowiedzieliśmy się od Twojej Cioci Aliny Łukowskiej i wraz z moim Ojcem Bolesławem uczestniczyliśmy w tej zakonspirowanej Oferze.

W 1980 r. we mszy św. [w kościele Mariackim] za Lwowskie Orłęta (w której nie brałeś udziału) uczestniczył generał Mieczysław Boruta Spiechowicz. To była wspaniała uroczystość z udziałem hutników z nowohuckiej „Solidarności”, harcerzy i innych organizacji patriotycznych, których nazw już nie pomnę. To był czas Pierwszej „Solidarności”, gdy wstaliśmy z kolan, a komuna była w defensywie.

Generał siedział w stalach po lewej stronie prezbiterium, przed Nim leżała czapka generaliska z olbrzymim orlim piórem. Generał był bowiem w latach 1936–39 dowódcą 22 Dywizji Piechoty Górskiej (jako pułkownik) z siedzibą w Przemysłu.

Warto wspomnieć, że Generał – w listopadzie 1918 r. w stopniu kapitana – bronił Lwowa, m.in. był dowódcą IV i V grupy i południowego skrzydła wojsk, wyzwalających Lwów w dniach 21/22 XI 1918.

Serdecznie pozdrawiam Ciebie i zespół redakcyjny „Cracovia-Leopolis”.

Bardzo dziękujemy, Andrzeju, za to wspomnienie. Wstyd mi, że tamto wydarzenie z lat 60. wyleciało mi z głowy, ale teraz już sobie to odtworzyłem w pamięci.

A może jeszcze inni Czytelnicy coś o tym napiszą?

List od p. Krzysztofa Bulzackiego z Jeleniej Góry:

Drogi Andrzeju, nasza korespondencja to tak, jak z tym dziadem do obrazu, ale jestem świadomy, że masz mało czasu, ja też prowadzę niewiele korespondencji. Nie bierz sobie tego do serca, to nie jest krytyka, gdzie się drzewo rąbie, tam wióry leżą. Uważam Wasze pismo za najlepsze i zwerbowałem 10 prenumeratorów [...]

Moje pismo „Na Rubieży” jest specjalistyczne i nie może być porównywane z innymi, chyba tylko pod względem językowym, na co zwracam szczególną uwagę. Polecam Ci naszą publicystykę.

Chcę Ci zwrócić uwagę, że już mówiłem Ci o tym, jak od początku (1978) jeździłem do Krakowa na każde ogłoszenie w „Tygodniku Powszechnym” na mszę za „Jurka Bitschana”.

Wtedy poznałem Stanisława Wasiuczyńskiego. On opowiadał mi, jak to było w koszarach „Bema”. Był świadkiem, jak któryś z oficerów zapytał batiarów, czy znają kanały w stronę koszar? Oczywiście znali i poprowadzili saperów kanałami pod bramę w koszarach. A batiary tak „dobrze” znali kanały, że wysadzono nieco dalej na podwórzu wychodki. Efekt był taki, że Ukraińcy w popłochu opuścili koszary.

Wielkie wrażenie sprawiły stroje pocztów sztandarowych w 1981 roku, o czym napisałeś. Pamiętam Ludwikę Castori, jeszcze ze Lwowa, chodziła do szkoły handlowej na Franciszkańską, była uczennicą mojej mamy, pamiętam atmosferę w kościele, gdy czytała Makuszyńskiego piękny tekst. Była to niezwykle piękna kobieta. Ubolewałem, że była żoną Bronisława Dąbrowskiego, który asystował Wandzie Wasilewskiej w 1936 roku na kongresie we Lwowie – był to skandal! Ojciec Studziński poświęcił mi też nieco czasu, opowiadał mi o Monte Cassino po spotkaniu u oo. Dominikanów. Czy mnie jeszcze pamięta? Po mszy rozdawałem ręcznie powielane moje wiersze patriotyczne, z ręki do ręki, tak by mnie nie namierzili „ochroniarze z безпеکی”. Na jednym kazaniu nawet przywitano mnie, „pielgrzyma” z Jeleniej Góry. [...]

Na stronie 33 [CL 3/06] czytam o cukierni Władysława Zalewskiego, powinno być Zaleskiego [...] Tuż przed wojną właścicielem był Ludwik Zaleski, cukiernia była przy ulicy Akademickiej 22, a Zalescy mieszkali na Krasińskiego, ich syn chodził do szkoły dra Jana Niemca na Słonecznym Wzgórzu koło Cytadeli, często korzystałem z podwiezienia mnie do szkoły, mieszkaliśmy wtedy na Tarnowskiego 72, bardzo blisko Zaleskich. Zresztą, kto nie jadł ciastek od Zaleskiego. Dawnymi laty, gdy miałem wiadomości z Krakowa, dowiedziałem się, że Zalescy osiedli w Krakowie, a kiedyś na ulicy spotkałem tam córkę dyrektora Bembnowicza z Książnicy Atlas.

Drogi Krzysiu, serdecznie dziękujemy za list i dobre słowa pod adresem CL, ale przede wszystkim za ciekawe szczegóły, które uzupełniają naszą wiedzę. Jednak za mało napisałeś o tej historii z kanałami – kiedy to było? A co do słynnej lwowskiej cukierni – to jednak Zalewscy, a nie Zalescy. W Krakowie istotnie mieszka syn ostatniego właściciela, profesor tutejszej ASP, Władysław Zalewski, znakomity konserwator dzieł sztuki.

List z Warszawy:

Szanowna Redakcjo! Przypadkowo kupiłem Wasz kwartalnik CL 4/2005, gdzie na s. 77 zamieszczacie apel p. Wiglusza z Przemysła o informację o Straży Pożarnej we Lwowie, a także w innych miastach.

Ja byłem strażakiem we Lwowie w czasie IV kw. 1943 – II kw. 1944, ale z przypadku, a nie zawodowo, skierowany z grupą kolegów z tzw. LHD, czyli Pomocniczej Służby Obrony Przeciwlotniczej. Po przeszkoleniu nas w Centrali na pl. Strzeleckim służylimy na zmianę w poszczególnych z 4 strażnic, i tylko o tym czasie mogę trochę powiedzieć (po 63 latach).

Pochodzę ze Lwowa, ale większość czasu mieszkałem w Żółtkwi i o tym czasie mogę trochę powiedzieć. Ojciec był do 1939 r. Inspektorem Powiatowym PZUW i chyba (z tej racji) był Honorowym Prezesem OSP w Żółtkwi i łącznikiem z Dyrekcją Wojew. PZUW we Lwowie dla Prewencji ze strony PZUW.

Jeśli uznają Państwo, że może się to przydać p. Wigluszowi, to proszę mu przekazać, że napiszę, co pamiętam. Może i on mógłby mi podać pewne informacje na temat SP we Lwowie w czasie okupacji niemieckiej.

Należę oczywiście do Tow. Miłośników Lwowa i K.Pd.-Wsch. od 1989 r., ale nie mam – mimo chęci – czasu zbyt wiele, więc czytam tylko sporadycznie pisma o Lwowie i Małopolsce.

Chcę również przy okazji wyrazić moje uznanie dla Waszego kwartalnika, jego szaty, charakteru i obszerności tematyki i informacji.

Mam przy okazji pytanie, czy ktoś miałby informację nt. Dworca Głównego we Lwowie – dotyczącej jego konstrukcji, kształtu wnętrza i wymiarów. Jeśli można, proszę o informacje i z góry dziękuję.

mgr inż. Lesław Derecki
02-018 Warszawa, ul. Nowogrodzka 74/42,
tel. 0-22 / 629-15-80

Bardzo dziękujemy. O Pańskim liście powiadomiliśmy telefonicznie p. Mariana Wiglusza – z propozycją nawiązania kontaktu z Panem.

Czytelników, którzy mogliby dać informacje o lwowskim Dworcu Głównym, również prosimy o kontakt listowny lub telefoniczny z p. Lesławem Dereckim.

instruktorami wyszkolonymi w Anglii. Wieczorem w dniu ukończenia budowy obozu odbyły się wybory na tymczasowe stanowiska patrolowych. Do czasu zdania egzaminów patrolowy pełnił funkcję zastępowego.

Druhowie z Tarnopola i Brzeżan wybrali mnie na to zaszczytne stanowisko. Mój zastęp liczył 6 skautów. Mimo że byliśmy w tych sprawach żółtodziobami, to jednak dyscyplina, porządek i pracowitość stały na wysokim poziomie. Naszym poczynaniom pogoda sprzyjała nadzwyczajnie. Powietrze dookoła nasycone było zapachem żywicy i siana. Oddychało się lekko, pełną piersią.

Dzień obozowy

Skoro tylko na skolskim kościele wybiła 6 godzina rano, odzywała się natychmiast trąbka z sygnałem pobudki. W tym momencie odpinały się klapy namiotów, a z ich wnętrz wysypywały się – jak groch ze strąków – rozespiane skauciki. W koszulkach, majtkach i pantoflach gimnastycznych stawaliśmy na placu zbiórki. 15 minut gimnastyki, a potem mycie się nad potokiem, ubieranie i zbiórka do apelu. Po sprawdzeniu stanów ilościowych oraz samopoczucia kursistów – na sygnał trąbką *Do modlitwy* – padała komenda *Bacność*. Po chwili ciszy nasz proporzec o barwach narodowych wznosił się majestatycznie na szczyt masztu. Po komendzie *Spocznij* pomiędzy wzgórzami i dolinami, aż pod mury miasteczka, płynęła modlitewna pieśń poranna:

*Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon, Boże wielki!*

Następnie w karnej kolejce stawało się po śniadanie. Zazwyczaj dostawało się zupę mleczną z makaronem lub z kaszą, kawę z mlekiem i dwie duże pajdy chleba z masłem, obłożone serem względnie wędliną. Jedną kromkę chleba konsumowało się na miejscu, drugą zabierało się na wymarsz.

Zajęcia poranne zaczynały się o godzinie 7, a kończyły o 12. W czasie tych zajęć przerabialiśmy musztrę, ćwiczenia terenowe, sygnalizację i teorię z różnych dziedzin. Przerwa obiadowa wraz z odpoczynkiem trwały 2 godziny. Czas po odpoczynku poświęcano wycieczkom połączonym z ćwiczeniami zwiadu, podchodzenia, pionierki

i terenoznawstwa. Kolacja o godzinie 18 oraz zdjęcie proporca z masztu zamykały dzień pracy szkoleniowej. Najmilsze były wieczory, kiedy przy ogromnym ognisku zbierał się cały obóz i liczni goście ze Skolego. Programy przy ognisku były solidnie opracowane i atrakcyjne. Zebranie wieczorne otwierał zawsze dh Małkowski pogadankami historycznymi, wychowawczymi i przyrodznawczymi. Potem następował dalszy ciąg programu, na który składały się: oryginalne tańce, dowcipne monologi, utwory muzyczne grane przez własną orkiestrę mandolinistów, krotochwilne obrazki sceniczne z przebieraniem się. Wieczór kończyły wspólne z gośćmi piosenki. Repertuar tych piosenek był obfity. Oto urywki najczęściej śpiewanych piosenek: *Hej, strzelcy wraz / nad nami Orzeł Biały...*, *Jak wspaniała nasza postać (kiedy w słońcu błysnie stal...*, *Stańmy, bracia, wraz / ilu jest tu nas...*, *Choć burza huczy wkoło nas / do góry wzniesmy skroń...*, *Czerwony pas, za pasem broń / i topór, co bliższy z dala...*

I naturalnie nigdy niezapomniany *Góralu, czy ci nie żal...* Zabawę przy ognisku kończono o godzinie 20.30.

Skauci stawali na apel celem sprawdzenia obecności kursantów i na modlitwę wieczorną, którą kończono pieśniami: *Wszystkie nasze dzienne sprawy / Przyjm litośnie, Boże prawy...* i na zakończenie: *Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...*

Nasi kochani goście z miasteczka i sąsiedniej wioski towarzyszyli nam do końca apelu, bawiąc się i śpiewając razem z nami. Nieraz wyglądało, że ciężko im przychodzi rozstawać się z naszą młodzieżą.

Śródtytuły i przypisy pochodzą od redakcji.

LUDWIK PIOTR BUŁGAR-NOWAKOWSKI, ur. 1894 w Jarosławiu, zm. 1983 w Krakowie; 1914: ukończył Wyższą Szkołę Realną w Jarosławiu; 1911: w „Zarzewiu” i Polskich Drużynach Strzeleckich; 1912: ochotnik w wojnie Bułgarii przeciw Turcji; 1914–1918 żołnierz 1 i 7 pp Legionów, ranny w bitwie pod Laskami; w Wojsku Polskim początkowo szef zaopatrzenia 5 pp Leg. w Radymnie, dwukrotnie przebijając się z pomocą do walczącego z Ukraińcami Lwowa; potem – 1919: porucznik, d-ca kompanii sztabowej 1 pp w Grodnie i Wilnie, 1924: kapitan, 1924–1929: w Wołyńskiej Brygadzie KOP, 1929–1931: kierownik referatu Biura Personalnego Ministerstwa Spraw Wojskowych, d-ca batalionu 36 pp Legii Akademickiej,

ukończył Wyższy Kurs Oficerów Sztabowych, 1931: major, d-ca batalionu 86 pp Strzelców Mińskich, 1935–1938: dowódca batalionu KOP „Ludwikowo”, 1938: zastępca d-cy 85 pp Strzelców Wileńskich, we wrześniu 1939 r. ranny, jeniec oflagów Brunzów i Woldenberg, po wojnie w stopniu podpułkownika w Szkole Piechoty w Łobzowie i WOP, 1947: aresztowany i skazany na 4 lata więzienia, 1950: zwolniony z wojska (*Na podstawie opracowania Krzysztofa Nowakowskiego*, www.historia.zhr.pl).

¹ Trudno jednoznacznie stwierdzić, o którym kursie pisze Nowakowski. Czesław Blicharski (*Harcerstwo tarnopolskie 1911–1944*, Londyn 1991) pisze, że 5 uczestników z Tarnopola znalazło się na kursie w Skolem dopiero w 1912 r. Pierwszy skautowy kurs w Skolem odbył się

latem 1911 r. Wcześniej mogły być kursy „Sokoła”. Od 1910 istniały Drużyny Młodzieży Sokolej, pracujące podobnie do skautingu. Nowakowski spisywał swoje wspomnienia po wielu latach.

² W lutym 1911 r. doszło do porozumienia „Sokoła” z „Zarzewiem”, a w maju 1911 r. lwowskie Drużyny Młodzieży Sokolej przekształcono w Drużyny Skautowe. Wkrótce powstała Naczelna Komenda Skautowa i Związkowe Naczelnictwo Skautowe.

³ Z pracy Blicharskiego nie wynika, czym mogła być pierwsza sekcja tarnopolska. Może to któryś z patroli drużyny sokolej lub skautowej. Z biografii Nowakowskiego wynika natomiast, że bardziej był zaangażowany w „Zarzewie” niż w skauting. Harcerskie nazewnictwo pojawiło się już przed 1913 r., a potem drużyny nadal nazywano drużynami skautowymi.

Objak *dokończenie ze s. 7*

Po trzech miesiącach obrony lwowskiej przedpoła było tych mogił 23. Takie straty ponieśli jedynie Czwartacy, walczący w sile dwu kompanii. Oto ich nazwiska dla wiecznej lwowskiej pamięci i chwały zapisane:

- 1) por. Leszek Jakób
 - 2) podch. Stanisław Kropaczyński
 - 3) plut. Adam Drużbacki
 - 4) plut. Mieczysław Majcher
 - 5) sekc. Marcin Rogoża
 - 6) sekc. Józef Pach
 - 7) sekc. Tomasz Feluś
 - 8) sekc. Ludwik Sondac
 - 9) sekc. Sebastian Sojka
 - 10) sekc. Symforian Kowalski.
- Szeregowi:
- 11) Józef Tylek
 - 12) Jan Desoń
 - 13) Marian Niżankowski
 - 14) Kazimierz Sereda
 - 15) Stefan Małajny
 - 16) Stanisław Wanat
 - 17) Józef Kaniowski
 - 18) Wilhelm Poni
 - 19) Jan Chronowski
 - 20) Józef Markiewicz
 - 21) Jan Burda
 - 22) Michał Pomulak
 - 23) Alfons Krakowiak.

Podkreśleni nie zostali pochowani na Cmentarzu Obrońców Lwowa i nie figurują w spisie tamże pochowanych.

*Wojenko, wojenko, los termin wyznaczny,
Wtedy wrócą do dom żołnierze tułacze.*

*Kwartal we Lwowie Czwartak był
Często się bawił, często pił,
Bo bronił wciąż ofiarnie
Zboiska i Kościarnię...
Gródek go zna i Kamieniobród,
Tam chruniom moc wyrządził szkód...*

Nadszedł wyznaczony rozkazem czas rozstania, który obwieścił wszem wobec *Dziadek* Markowski na łamach 31. numeru „Objaka” w ten sposób:

*Mamy wyjeżdżać wkrótce do Jabłonnej,
Więc trzeba wysłać Koeba pluton konny
By dobrych kwater znalazł dla zabawki,
W murach Warszawki.*

.....
*Więc czytelnikom mówię „do widziska”,
Człek Lwowianeczkę jeszcze raz wyściska,
Potem zaś pójdzie narobić kalików
Z tych bolszewików.*

Humorystyczny styl tego legionowego pisemka zaowocował we Lwowie w sposób szczególny. Już od 1 marca 1919 wznowił Stanisław Wasylewski wydawanie lwowskiego, tradycyjnego niegdyś tygodnika satyrycznego „Szczutek”, a w okresie kampanii kijowskiej i przygotowań do kontrofensywy przeciw bolszewikom znad Wisły – redagował tygodnik żołnierski o swojskim tytule „Świrk”.

o takie, które świadczą o dziejach polskich społeczności na Wschodzie i które w każdym regionie (mieście, miasteczku, nawet wsi) dzisiejszej Polski – umieszcza się w muzeach regionalnych lub izbach pamięci. To stroje ludowe (Sokolniki i inne wsie wokół Lwowa czy Sambora, nie mówiąc o Wileńszczyźnie lub Grodzieńszczyźnie!), przedmioty życia codziennego, pamiątki archiwalne i rodzinne. Takie skarby po odchodzących Kresowiakach – nierzadko bezcenne – nie zawsze znajdują zrozumienie, nawet u własnych potomnych, nie mówiąc o opiekunach (nawet najlepszych!) lub sąsiadach...

I oto...

Okazuje się, że nasza inicjatywa – jak ziarno rozniesione przez wiatr – zakiełkowała w innych jeszcze miejscach kraju. W Warszawie pojawiły się aż cztery różne koncepcje *Instytutu Kresowego*. Pierwsza⁸ i druga stanowiły modyfikację podstawowego i kompleksowego programu, przygotowanego przez nasze Towarzystwo. Natomiast dwie następne koncepcje wiążą Instytut Kresowy przede wszystkim z czasami współczesnymi, tak co do treści, jak i formy – formy głównie dydaktycznej, wzorowanej na Muzeum Powstania Warszawskiego. Jedna proponuje – jeśli dobrze zrozumieliśmy – trzy równoległe instytuty (czy raczej muzea?) lub jeden *trójinstytut*, obejmujący tematykę Polski Podziemnej, katyńską oraz kresową. Można się przeto domyślać – *per analogiam* – że problematyka kresowa również dotyczy tam wydarzeń XX wieku. Ważnych, ale przecież nie jedynek.

Kolejna koncepcja – tu możemy ujawnić, bo pisano o tym w prasie – trzech młodych warszawskich działaczy samorządowych (burmistrzów dzielnic Stolicy) doprowadziło w Radzie Warszawy do uchwalenia powołania do życia Instytutu Kresowego. Cytujemy z „Rzeczpospolitej”⁹: *Instytut ma ocalić od zapomnienia historię ziem wschodnich. Będzie gromadzić dokumenty, zdjęcia i pamiątki, dziś schowane w szufladach. [...] Jedną z pierwszych większych akcji Instytutu Kresowego miałby być już w przyszłym roku cykl debat o Kresach. Pierwsza dotyczyłaby historycznych wypędzeń. Do wzięcia udziału w takiej dyskusji chciałbym zaprosić Erikę Steinbach – zapowiada Maciejowski¹⁰. Ma też powstać rada programowa, a inicjatorzy chcieliby zaprosić do niej np. żonę Zbigniewa Herberta... (!?)* ▶

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.
Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czalczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl
Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl
Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2
Nakład 750 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

▶ Dużo by na ten temat można mówić. Jednak już teraz wypadałoby zapytać, czy to jest to, o co powinno chodzić? Byłoby niedobrze, gdyby ów Instytut stał się sezonowym fajerkierem, efemerydą albo czymś, co wynika z takich czy innych całkiem personalnych planów. Zadziwia, że każdy z tych pomysłów powstaje z osobna i rozpoczyna rzecz od zera, bez jakichkolwiek konsultacji. W dodatku nasuwa się podejrzenie, że program zamierzonej placówki – to jeszcze *terra ignota*. Jaki ma być zakres geograficzny, czasowy, tematyczny jej zainteresowań? W oparciu o jaki potencjał ludzki i zaplecze ma się pracować? Bo hurra-entuzjazm, to za mało.

Trzeba wiedzieć, o co chodzi najbardziej. Że Kresy to nie tylko II wojna i martyrologia. To ponad tysiąc lat historii, z triumfami i klęskami, to ziemia, która dała ogromną część wielkich Polaków oraz osiągnięć narodowej kultury i nauki. Dobrze, że młodzi inicjatorzy chcą głośno mówić o rzeziach i wypędzeniach – jednak nie ograniczajmy się do tego, nie zapominajmy, że była tam też ludzka praca i twórczość, oświata i nauka, ludzie i ich rodziny, że była polskość od czasów prehistorycznych.

Mimo takich uwag, zastrzeżeń i znaków zapytania, to wielka radość, że dobre ziarno trafiło na dobry grunt. Nieważne kto i gdzie będzie tworzył Instytut Kresowy (a może Instytuty), ważne – żeby powstał. Ale warto zaapelować do wszystkich osób, które chcą tworzyć takie czy inne kresowe instytuty, muzea czy zakłady: jeśli rzeczywiście zależy im na Kresach – niech zrezygnują z części osobistych ambicji, spotkają się razem i wspólnie popracują nad programem, organizacją, infrastrukturą. Niech każdy wniesie to, co może i co potrafi. A nie z osobna.

I nie zapomnijmy, że do debaty trzeba zaprosić najbardziej kresową instytucję w Polsce: Ossolineum. Mogą powstać różne rozwiązania¹¹, ale to jest najmocniejszy fundament.

¹ Inicjator przedsięwzięcia.

² Także ze Lwowa i Londynu.

³ Zwróćmy uwagę – na przykład – że do Europy Ignie tylko ta część obszaru państwa Ukraina, która przez stulecia była związana z Polską.

⁴ Organ Zarządu Głównego TMLiKPW „Semper Fidelis” – pomimo że sprawa Instytutu uchwalona przez ZG nie jest sprawą „krakowską”, lecz ogólnopolską – nie podjął tego tematu. Trochę to dziwne, prawda?

⁵ W kilku miejscach kraju rozeszła się bezpodstawna wersja, że czyniliśmy jakoby próby usytuowania Instytutu w Krakowie, ale nie przyniosły one rezultatu. Otóż w żadnym etapie Kraków nie był brany pod uwagę ze względu na obiektywny fakt nasycenia instytucjami naukowymi, a także szczególne preferencje w stronę własnej problematyki (przynajmy, że bogatej). Zastanawiano się natomiast od początku nad Wrocławiem i Warszawą oraz ewentualnie pomocniczymi filiami w Rzeszowie (dla Kresów pld.-wsch.) i Toruniu bądź Białymstoku (dla Kresów pln.-wsch.)

⁶ Przykładem rękopis *Pana Tadeusza*, przechowywany – obok innych skarbów z całych Ziem Wschodnich – właśnie w Ossolineum.

⁷ Informacja z października '06.

⁸ Wersja ta szybko upadła wraz z przedwczesną śmiercią zainteresowanego.

⁹ Patrz „Rzeczpospolita” 255/06, a także 218/06 oraz „Dziennik 128/06 i „Gazeta Wyborcza” 252/06.

¹⁰ Trzej burmistrzowie – to M. Maciejowski, M. Makuch i T. Zdzikot, wszyscy z PiS (przed wyborami samorządowymi...)

¹¹ W Niemczech jest ponad 40 Ost-Institutów.

Na okładce: Pomnik A. Mickiewicza we Lwowie. Wg litografii Odoną Dobrowolskiego

Prof. Jerzy Kowalczyk zawiadamia, że dostępny już jest kolejny tom monografii z cyklu:
HISTORIA SZKOLNICTWA, OŚWIATY I WYCHOWANIA NA ZIEMIACH ODŁĄCZONYCH
II RZECZYPOSPOLITEJ – KRESACH POŁUDNIOWO-WSCHODNICH:

Tom III – w czterech częściach: III PAŃSTWOWE LICEUM I GIMNAZJUM
im. KRÓLA STEFANA BATOREGO we LWOWIE, lata szkolne: 1867/68–1938/39

Zainteresowani nabyciem tej monografii mogą się skontaktować z autorem:

Jerzy Kowalczyk, ul. Lublańska 24/2, 31-476 Kraków, tel. +48 (12) 411-36-41 lub: kajot@uci.agh.edu.pl

Słowo od Redakcji	1	Naszym zdaniem ODPOWIEDŹ NA LIST ZE LWOWA	44
Felieton		Sylwetki	
Barbara Czańczyńska	1	LWOWIANIN, ŻOŁNIERZ, NARCIARZ...	48
FONTANNA		SZPITALNICY	48
Krzysztof Kołtun	2	Z żałobnej karty	
WOŹYŃSKA PASTORAŁKA		LEKARZ ODDANY NAUCE I LUDZIOM	49
Ludwik P. Bułgar-Nowakowski	2	DROGA WYPADŁA MU PRZEZ MAZOWSZE	49
WSPOMNIENIE UCZESTNIKA KURSU SKAUTOWEGO...	3	Julia Sierkowa	
Tadeusz Krzyżewski	3	SZKOLNICTWO POLSKIE NA UKRAINIE	50
OBJĄK		6 Słownik geograficzno-historyczny LWÓW – AKADEMIA HANDLU ZAGRANI- CZNEGO ♦ LWÓW – AKADEMIA WETE- RYNARII ♦ CZUKIEW ♦ TYŚMIENICA	51
Anna Obfidowicz	8	Ucrainica	
LIST Z KAZACHSTANU	8	CO TO ZA ROCZNICA?	53
Feliks Budzisz	9	W Krakowie i dalej	
O SPRAWIEDLIWE TRAKTOWANIE OFIAR...	9	LWOWIANIE UCZCILI PAMIĘĆ WANDY MAZANOWSKIEJ	54
Adam Trojanowski	11	Wanda Mazanowska	
WSPOMNIENIE PATRIOTYCZNE	11	ŻYCIORYS POLEGŁEGO SYNA...	55
Poezja	17	BRODZIANIE PO RAZ CZTERNASTY	55
Kornel Ujejski		NOTATKI	56
CHORAŁ		Polacy z Polakami	
Proza	18	DO ZAPAMIĘTANIA	56
Ludwik Grzymała Jabłonowski	18	Kultura ♦ Nauka	
BARYKADY I ARMATY (2)	18	190 LAT NASZEJ SZKOŁY	58
Marta Walczewska	23	DNI LWOWA W POZNANIU	61
PANI DR JANINA WINOWSKA...	23	KOLEKCJA KULCZYCKICH NA WAWELU	62
Rozmowy	27	PRZEMYSŁ ROMAŃSKI	62
Janusz M. Paluch	27	JUBILEUSZ JERZEGO KOWALCZUKA	63
ROZMOWA Z DR KAROLINĄ GRODZISKĄ	27	Naszym zdaniem	
Archiwum	29	KOLORÓW MOŻE BYĆ WIELE	64
CZYM ŻYLI POLACY	29	HERBY NASZYCH MIAST	65
Piotr Marek Stański	34	KRONIKA	65
POMNIKI MICKIEWICZA...	34	Książki ♦ Czasopisma	
Anna Piwowska	39	NOWE KSIĄŻKI	68
ŻYCIE TOWARZYSKIE ARTYSTYCZNEJ BRACI (3)	39	WERTUJĄC WYDAWNICTWA	74
Lwowska Weterynaria XX wieku	41	Naszym zdaniem	
Remigiusz Węgrzynowicz	41	POLONISTYKA WE LWOWIE NIEZBĘDNA	77
SUUM CUIQUE...	43	Listy	80
NIE ZACIERAJMY ŚLADÓW...	43		
Ks. Marian Skowrya	44		
ODPOWIEDŹ NA RECENZJĘ...	44		